

*Jan
Bazzkiewicz* Młodość
uniwersytetów



Wydawnictwo „Żak”
Warszawa 1997

Redakcja
Józef Marek Śnieciński

Opracowanie graficzne
Jan Malik

Korekta
Ewa Zakrzewska

Na okładce wykorzystano
fragment średniowiecznej miniatury

© Copyright by Wydawnictwo „Żak” and Jan Baszkiewicz

ISBN 83-86770-60-0

Wydawnictwo „Żak”
Teresa i Józef Śniecińscy
02-127 Warszawa, ul. Mołdawska 13/56
tel./fax 822-82-67

Druk i oprawa: 
Tel. (0-22) 789 38 54

SPIS TREŚCI

OD AUTORA	7
NARODZINY UNIwersYTETU	8
Trzy władze, które rządzą światem	8
Uniwersytet „cesarski” i „królewski”	9
Kryzys szkół kościelnych	11
Przezwrot kulturalny: odkrycie antyku	13
Wczesny nominalizm i dialektyka Abelarda	15
Obrona ortodoksji	16
Prawo rzymskie	17
Szkoła kościelna i uniwersytet	20
Tradycje szkół laickich	22
Dwie stolice nauki: Paryż i Bolonia	24
Oksford	25
Migracje uniwersyteckie i nowe uczelnie	26
Pierwsze fundacje uniwersytetów	27
Społeczne podstawy ruchu uniwersyteckiego	30
Zamówienie społeczne monarchów i papieży	32
DWA USTROJE	35
Uniwersytet – cech intelektualistów	35
Uniwersytet bezdomny	38
Uniwersytet profesorów i uniwersytet studentów	40
Organizacja uczelni paryskiej	42
Uniwersytet paryski i kontrola „z góry”	45
Ustrój paryski w Anglii	47
Bolonia – dyktatura studencka	48
STUDENCI	55
Długa droga do wiedzy	55
Związki ziomkowskie studentów: nacje	57
Jak funkcjonowała nacja: bolońska natio Teutonicorum	59
Małe grupy studenckie: więź społeczna na co dzień	61
Otrzęsiny beana	62
Warunki przyjęcia na studia	63
Uniwersytet uczy z elementarza	65
Terminator i mistrz	67
Problem mieszkaniowy	69
Trochę klasztoru, trochę domu akademickiego: kolegia	71

Początki stypendiów państwowych	73
Dzień powszedni kolegianta	74
Ochrona przed wyzykiem	78
Przywileje studenckiego stanu	78
Kto z czego żyje	81
Studenci-potentaci	82
Szlachta i patrycjat	83
Proletariusze nauki	84
Pieniędzy zawsze mało	86
Operacje pieniężne i kredytowe	89
Atrakcje wielkiego miasta	93
Zatrata religijności	97
Lenistwo – pierwszy stopień do piekła	98
Kłęska powrotu	99
Gaudeamus	100
Gwałty i bijatyki	102
Kradzieże	106
„Surowo wzbronione”	107
 PROFESOROWIE	 109
Od ucznia do profesora	109
Krótką historia doktoratu	110
Doktorzy poza uniwersytetem	114
Pozycja doktorów w komunie włoskiej	117
Czy byli profesorowie zwyczajni i nadzwyczajni	119
Błaski i nędze bakalariatu	121
Profesorowie na stałych posadach	122
Czy wolno brać pieniądze od słuchaczy	124
Student – chlebowdawca profesora	125
Kłopoty finansowe mistrzów	126
Student boloński – klient i pan	129
Profesorskie rywalizacje, tak stare jak uniwersytet	131
Paryż: spory „artystów” i teologów	132
Profesorowie paryscy przeciw zakonnikom	133
Konflikty profesorskie na medycynie i prawie	134
Spory naukowe i plotki	137
Reforma plac na uniwersytecie typu bolońskiego	138
Kontrola uczelni	140
Jak awansować na profesora	141
Kolegia doktorów i początek wydziałów	145
Esprit de corps i spory o pierwszeństwo na uczelni	147

TECHNIKA PRACY UNIWERSYTECKIEJ	152
Dni pracy i dni święta	152
Rozkład zajęć	154
Wykład mówiony i wykład dyktowany	156
Notatki studenckie	157
System pamięciowy	158
Wulgaryzacje: „awerroizm” studencki	162
Wartości łaciny średniowiecznej	164
Wykłady czytane, elokwencja profesorska	165
Studenckie hałasy na wykładzie	166
Krasomówcy i metoda dialektyczna	167
Wiek XIII: próby syntezy	168
Repetycje, dysputy	168
Kwodlibety	170
Publiczne czytanie nowych dzieł	172
Technika wydziałów medycyny	173
Podręczniki	175
Jakość rękopisów	180
Technika pisania	181
Student i książka	182
Kopiści zawodowcy	183
Przemysł księgarski	184
Pecje	185
Finał: egzaminy	186
Przyczyny odkładania egzaminów	192
Promocja	196

OD AUTORA

Uniwersytet europejski jest wynalazkiem średniowiecza. Pewne ślady jego pochodzenia przetrwały powszechnie do dnia dzisiejszego. Są to jednak głównie zewnętrzne rekwizyty uniwersyteckiej tradycji: togi, birety, gronostaje, łacińskie teksty oficjalnych aktów. Współczesne formy i treści pracy uniwersyteckiej odbiegają całkowicie od tych, które wykształciło średniowiecze. Dotyczy to nawet uniwersytetów szkockich, które najwierniej zachowały tradycyjne kształty ustrojowe.

Pragnę przedstawić w tej książce początki szacownej i starodawnej instytucji uniwersytetu, skupić zatem uwagę na dwu stuleciach: XII i XIII. W wielu punktach jednak wypadnie cofnąć się lub wybiec nieco naprzód.

W drugiej połowie XIV wieku uniwersytet stanowił już instytucję wyraźnie zarysowaną, z tradycjami i z dość stabilnym ustrojem. Przedtem jego kontury ustrojowe były płynne, a tradycje dopiero się tworzyły. Tym trudniejsze jest więc zadanie historycznego opisu. Nieraz wypadnie korzystać raczej z przykładów niż z uogólnień.

Książka niniejsza nie ukáže treści naukowych pracy uniwersyteckiej, nie przedstawi też dorobku, który wniosły uniwersytety dwunasto- i trzynastowieczne do dziejów kultury umysłowej, do historii nauki. Przedstawi natomiast w wielkim skrócie organizację warsztatu pracy naukowej i dydaktycznej na uniwersytecie średniowiecznym, przypomni instytucje i obyczaje, pokaże środowisko uniwersyteckie i jego szczególny klimat.

W Polsce współczesnej ze środowiskiem szkół wyższych jest, było i będzie związanych wiele setek tysięcy ludzi. Może zainteresuje ich ta garść informacji o życiu i pracy pionierów uniwersytetu.

NARODZINY UNIWERSYTETU

Trzy władze, które rządzą światem

Autorytet uniwersytetu średniowiecznego był bardzo wysoki, wyższy niż można przypuszczać. Znany jest powszechnie pogląd ludzi średniowiecza, że dwie władze rządzą światem: duchowna i świecka (*sacerdotium et regnum*). Ale w XIII wieku upowszechniał się w kręgach elity intelektualnej pogląd, że są w świecie nie dwie, lecz trzy władze: autorytet władzy duchownej, siła doczesna monarchii, wreszcie potęga nauki, której symbolem jest uniwersytet.

Te trzy władze: *sacerdotium* – *regnum* – *studium*, są fundamentem świata, powiada popularny pisarz niemiecki XIII stulecia, Aleksander von Roes. Te trzy władze są podstawą dobrego ustroju w każdym państwie – twierdzi niemniej wpływowy pisarz i uczony włoski, Tolomeus z Lukki. Pogląd ten reprezentuje także francuski historyk, Wilhelm de Nangis, w nieco tylko zmienionej wersji. Według niego Francją rządzi potrójna cnota: wiara, siła zbrojna i mądrość (*fides – militia – sapientia*). To samo powie później poeta francuski Filip de Vitry, podobne poglądy powtórzą inni pisarze i uczeni późniejszego średniowiecza.

Władca, który nie popierał uniwersytetu, narażał się na miano tyrana. Tępienie studium, a nawet nie dość skuteczne popieranie jego rozwoju, zaliczali pisarze XIII wieku do cech charakteryzujących złego władcę, tyrana. Wedle Tomasza z Akwinu czy Idziego Rzymianina (*Aegidius Romanus*) tyranem jest ten, kto nie chce oświecać poddanych, kto boi się postępów wiedzy i uczoności.

Uniwersytet „cesarski” i „królewski”

Powadze uniwersytetów służyły legendy o ich starożytnej, królewskiej lub cesarskiej genezie, toteż uczelnie dorabiały legendy do swej genealogii. Doktorzy najstarszych i najszacowniejszych uniwersytetów dowodzili, że tylko miasto stołeczne, królewskie lub cesarskie ma prawo do uniwersytetu, *studium generale*. Był to argument nie tylko na rzecz autorytetu własnej uczelni, ale i przeciw konkurentom z nowszych uniwersytetów, które nie stworzyły jeszcze swojej mitologii.

Uniwersytet paryski był pod tym względem najbardziej ambitny. Swoją metrykę wywodził z czasów Platona, od sławnej akademii ateńskiej, którą – według legendy – Juliusz Cezar miał przenieść do Rzymu; z kolei owo studium rzymskie za sprawą Karola Wielkiego przeprowadziło się w czasach zamętu w Italii do Paryża. Legenda ta była bardzo rozpowszechniona we francuskiej historiografii XIII stulecia.

Na rzekomą fundację Karola Wielkiego powoływały się też niektóre uniwersytety północnowłoskie, przede wszystkim w Pawii i w Padwie. Ponadto Pawia mogła przydawać sobie honoru dawną godnością stolicy państwa longobardzkiego, a Padwa tym, że jakoby założył ją legendarny bohater grecki, Antenor.

Jedna z najstarszych i najważniejszych uczelni średniowiecza, uniwersytet w Bolonii, znalazła się w szczególnym kłopotcie. Bolonia nie była nigdy ani stolicą, ani miastem królewskim, ani cesarskim. Ale Bolończycy poradzili sobie. Od XI wieku rozpowszechniali legendę, jakoby w IV stuleciu cesarz Teodozjusz II zburzył w złości Bolonię, potem zaś upomniany przez świętobliwego biskupa Mediolanu, św. Ambrożego, odbudował ją. Aby wynagrodzić Bolończykom wyrządzone krzywdy nadał miastu sławną uczelnię. Tak legenda teodozjańska spełniła od razu dwa zadania: skromną Bolonię podniosła do rangi miasta cesarskiego, a uniwersytetowi bolońskiemu dodała blasku fundacji cesarza. Chcąc umocnić mit i stworzyć widomy symbol świetności uczelni środowisko uniwersyteckie Bolonii w połowie XIII wieku popełniło czyn, którego naganność umniejsza fakt, iż podobne praktyki stosowano wówczas nagminnie. Sporządzono mianowicie falsyfikat dokumentu, mocą którego Teodozjusz II fun-

duże uczelnię bolońską. Wykaligraflowano ten przywilej cesarski zgodnie z manierą kancelaryjną XIII stulecia, a dla podniesienia powagi aktu kazano świadkować na nim wielu wybitnym osobistościom znanym z historii starożytnej. W ten sposób na dokumencie pochodzącym rzekomo z IV wieku znalazł się między innymi żyjący dużo wcześniej wielki pisarz i mówca Cicero. Krytyka historyczna nie była – jak widać – mocną stroną średniowiecznej uczoności, nawet w największych i najlepszych uniwersytetach.

Silny był wpływ owych legend w uniwersyteckich środowiskach. Królewskich tradycji strzeżono zazdrośnie. Kiedy na początku XIII stulecia sławny profesor uczelni bolońskiej, Azon, zaczął wyklądać na przedmieściu Bolonii, w San Stefano, studenci zabronili mu prowadzić tam zajęcia. San Stefano bowiem leżało poza granicami starego miasta, za sławną bramą raweńską, która wyznaczała granicę rzekomej fundacji teodozjańskiej. A wyklądać należało tylko w mieście królewskim.

Żywiolowy rozwój nowych uczelni zadawał jednak porażki snobizmowi królewskiemu i cesarskiemu, mitom i monopolom starych stolic. Nowe miasta, zdobywając uniwersytety, nie dbały często o dorabianie im starożytnych metryk. Powoli torował tu sobie drogę realistyczny punkt widzenia.

Prawnik boloński Pillius de Medicina uznał, że warunki materialne profesury w Bolonii są niekorzystne i przeniósł się wraz ze słuchaczami do Modeny, która nie miała żadnych faktów ani legend na poparcie swego szlachetnego pochodzenia. Bolońscy koledzy zarzucali Pilliusowi zdradę i twierdzili, że nie ma prawa wyklądać w tak podłym mieście. Rozsądny doktor z Modeny odpowiadał na to, że zna przywileje miast królewskich i cesarskich, ale wobec ciężkich ciosów, jakie spadły ostatnio na cesarstwa*, stolice straciły wpływy i teraz można wyklądać wszędzie, gdzie się chce.

W rzeczywistości nie było żadnej ciągłości między ośrodkami antycznej, grecko-rzymskiej uczoności a średniowiecznym uniwersyte-

* Chodzi zapewne o wewnętrzne perypetie cesarstwa zachodniego, rzymskiego z nazwy, w istocie niemieckiego, gdzie toczyły się wówczas ostre spory o tron. Jest to też – być może – aluzja do upadku Bizancjum, podbitego na początku XIII wieku przez zachodnich krzyżowców.

tem. Wielkie szkoły filozofów greckich, kwitnące zwłaszcza w okresie hellenistycznym w Atenach, Aleksandrii, Pergamonie, Antiochii, Edessie upadły bezpowrotnie. Rzymskie szkoły retorów, które przetrwały upadek starożytnego cesarstwa rzymskiego i rozwijały się jeszcze w IV i V wieku na obszarach prowincji rzymskiej w Afryce i południowej Francji, już w V stuleciu zaczęły zamierać. Został po nich tylko system tzw. sztuk wyzwolonych, czyli program nauczania sformułowany przez takich retorów jak sławny Kwintylian. Te sztuki wyzwolone (*artes liberales*) utrzymały się jako podstawa dydaktyki we wczesnośredniowiecznych szkołach biskupich i klasztornych.

Grecki uniwersytet w Konstantynopolu, ośrodek nauki w cesarstwie bizantyńskim, miał swoje wzloty i upadki. Były nawet okresy dłuższych przerw w rozwoju wyższego nauczania w bizantyńskiej stolicy. Co ważniejsze, wskutek braku więzi kulturalnych między Wschodem i Zachodem uniwersytet zachodnioeuropejski organizował się w oderwaniu od ustrojowych wpływów greckich. Odrębnie też kształtowały się ośrodki wyższego nauczania w świecie arabskim, gdzie główne centrum nauki i nauczania stanowił uniwersytet w Bagdadzie. Ten wzór ustrojowy nie odegrał także roli na Zachodzie.

Kryzys szkół kościelnych

Bardzo popularne było w nauce szukanie genezy i wzoru dla uniwersytetów średniowiecznej Europy w kościelnych szkołach biskupich i klasztornych. Pogląd ten wspierano niecisłym zresztą twierdzeniem, że tylko Kościół miał we wczesnym średniowieczu monopol na oświatę i kulturę. Poza nim i jego aktywnością kulturalną dostrzegano jedynie morze ciemnoty i barbarzyństwa.

Szkolnictwo kościelne wcześniejszego średniowiecza skupiało się najpierw przy znanych klasztorach: w Korwei, Monte Cassino, Mar-sylii (sławny klasztor St.-Victor), w Toul (klasztor St.-Evre), w Raty-zbonie (klasztor św. Emmerama) itd. Później na pierwszy plan zaczęły się wybijać szkoły biskupie: w początkach IX wieku papież Eugeniusz II żądał, aby przy wszystkich biskupstwach były ośrodki nauczania. W X i XI stuleciach sieć szkół biskupich pokrywała już całą Europę.

Jak wspomnieliśmy, podstawą nauczania w tych instytucjach kościelnych były sztuki wyzwolone. Obejmowały one szczątki wiedzy i kultury greckiej i rzymskiej, przystosowane do potrzeb dydaktycznych przez późnych gramatyków i retorów rzymskich. To, co przetrwało z antyku, stanowiło jedynie fragmenty klasycznej wiedzy. Ze spuścizny nauki greckiej zostało trochę pism medycznych Hippokratesa i Galena; z wielkiej literatury i historiografii nie znano niemal nic. Język grecki na całym Zachodzie poszedł w zapomnienie, nie przechowywano greckich rękopisów. Z filozofii Greków kopiowano niektóre pisma logiczne Arystotelesa i fragmenty Platona, oczywiście w przekładach łacińskich. Z literatury rzymskiej znano trochę więcej tekstów, nie były to jednak dzieła oryginalne, lecz prace kompilatorów z V i VI wieku: Martianusa Capelli, Kassjodora, Boecjusza, Izydora z Sewilli i innych.

Szkoły kościelne były przede wszystkim seminariami kształcącymi kler. Wstępowało się do nich jeszcze dzieckiem, a opuszczało się je w zasadzie po święceniach duchownych. To całkowicie przesądzało treści nauczania. Wspomniane już nakazy papieża Eugeniusza II, aby tworzyć szkoły biskupie, stwierdzały wyraźnie, że sztuki wyzwolone służyć powinny głównie nauczaniu dogmatów wiary.

Sztuk wyzwolonych zgodnie z tradycją rzymskich retorów było siedem. Trzy niższe: gramatyka, retoryka, dialektyka tworzyły tzw. *trivium*. Wyższym szczeblem nauczania były pozostałe cztery sztuki: arytmetyka, geometria, astronomia i muzyka. Stanowiły one tzw. *quadrivium*. Ponieważ *trivium* było dla kształcenia duchownych ważniejsze, poświęcano mu znaczną większość czasu. Mówiono, że gramatyka wytwarza miecz słowa Bożego, dialektyka go ostrzy, retoryka go poleruje, ale dopiero teologia nim uderza. *Quadrivium* kultywowano raczej marginesowo. I jeden, i drugi cykl sztuk wyzwolonych pozostawał w służbie potrzeb kościelnych.

Gramatykę traktowano jako klucz do egzegezy ksiąg biblijnych. Sławny podręcznik gramatyki z VIII wieku zadanie to podkreślał swoim tytułem: *Scripturarum claves* (Klucze do ksiąg Pisma św.). Retoryka przede wszystkim była nauką kaznodziejskiego stylu i wymowy. Muzykę wprzęgnięto w służbę pieśni religijnych, nabożeństw i uroczystości kościelnych, które miała uświetniać. Astronomię upra-

wiano głównie po to, by można było ustalić tzw. tablice paschalne, to jest określać daty świąt ruchomych. I tak dalej.

W miarę postępu wiedzy ludzie światli coraz wyraźniej dostrzegali wtórność nauki uprawianej w szkołach biskupich i klasztornych. Prymat problemów teologicznych, niechęć do zainteresowań doczesnych, do badań nad człowiekiem i jego naturą, prowadziły do kosztowności tych szkół. Między VI a XII stuleciem ich programy zmieniały się minimalnie. Tętno pracy ściśle naukowej było słabe. Przepisywano wprawdzie uczone księgi w zakonnych scriptoriach, ale kopiści nie angażowali się w tę pracę intelektualnie, nie przeżywali żadnych naukowych emocji. Żmudne i mozolne przepisywanie było aktem pokory chrześcijańskiej i pokuty, która miała skrócić grzesznemu mnichowi czyśćcowe męki. Każdy natomiast błąd w przepisywaniu, po staropolsku mówiąc – „myłka”, stanowił dzieło diabelskiej przekory, które w perspektywie miało przedłużyć czyściec. Książki, pięknie zdobione i kaligrafowane, były zwykle ozdobą biblioteki dworskiej, biskupiej czy klasztornej, cennym składnikiem majątku możnych panów i instytucji. Rzadko stanowiły przedmiot zainteresowań umysłowych właściciela, który na ogół nie oddawał się lekturze swoich ksiąg. Obrót dziełami naukowymi był minimalny, kapitał wiedzy zawartej na pergaminowych kartach pozostawał martwym składnikiem inwentarza majątkowego.

Kiedy od końca XI wieku zaczęło wzrastać zainteresowanie „pogańską”, grecką i arabską filozofią oraz prawem rzymskim – autorytety kościelne, kierownicy szkół biskupich i klasztornych prawdziwie się przerazili. Każda śmielsza nowość filozoficzna prowokowała wołanie o pojawieniu się nowej herezji lub o nawrocie pogaństwa. Obawa przed powrotem poganizmu była prawdziwą obsesją w średniowiecznym Kościele. A za wszelkimi herezjami i „wymysłami pogańskimi” dostrzegano po prostu diabli pazur.

Przewrót kulturalny: odkrycie antyku

W wieku XII dokonała się prawdziwa rewolucja w kulturze średniowiecza. Rutyna martwych szkół klasztornych, słabości szkolnic-

stwa katedralnego uwydatniły się szczególnie jaskrawo, gdy jak świeże powietrze do warsztatów uczonych wtargnęły pod wpływem antyku nowe impulsy i nowe inspiracje.

Okazało się nagle, że to, co znano z kultury starożytnych, było tylko drobną częścią ich dorobku. W Hiszpanii i w Italii, bliskich kulturze arabskiej, zaczęto badać rękopisy wielkich filozofów, matematyków, medyków greckich, a także oryginalny wkład arabski do medycyny, filozofii czy algebry. Poznając nowe dzieła, ludzie fascynowali się horyzontami intelektualnymi, które się przed nimi nagle otworzyły. Gorączkowo tłumaczono greckie i arabskie teksty, aby przyswoić je kulturze łacińskiej, która pogrzebała znajomość greki. Łaciński przekład był warunkiem udostępnienia współczesnym nowych odkryć.

Dopiero teraz uczeni Zachodu zrozumieli, jak niedoskonała była ich wiedza w dziedzinach od dawna już zbadanych przez wielkich starożytnych. Uczony angielski XII wieku, Jan z Salisbury, szydził z zarozumiałych młodzików, którzy mozolnie odkrywają prawdy od dawna znane. Bernard z Chartres, jeden z największych znawców Platona w dwunastowiecznej Francji, pisał ze skromnością prawdziwego uczonego:

„Jesteśmy karłami, które stoją na barkach olbrzymów. Jeżeli widzimy więcej i sięgamy dalej niż oni, to nie dlatego, że nasz wzrok jest bardziej bystry albo nasz wzrost – wyższy, ale dlatego, że oni wynieśli nas w górę i podtrzymują na swej gigantycznej wysokości.”

Postęp wiedzy i kultury, wiara w ogromne możliwości ludzkiego umysłu zaczynały umacniać w świadomości uczonych uwielbienie dla antyku, przekonanie o szczupłości własnej wiedzy i gorączkowe pragnienie dorównania starożytnym, nadrobienia czasu straconego na jałowym komentowaniu ciągle tych samych tekstów, szacownych, ważnych dla teologii, ale niewystarczających filozofowi ciekawemu świata. Pisał wówczas Piotr z Blois:

„Nie można przejść od ciemności niewiedzy do światła nauki, jeśli się nie studiuje z coraz większym umiłowaniem dzieł starożytnych. Niech szczekają psy i niech pochrzążują wieprze: ja zawsze zostanę ich, starożytnych, zwolennikiem.

Dla nich poświęcę wszystkie moje wysiłki, każdy świt mnie zastanie przy lekturze ich dzieł.”

W utworach wielkich Greków: Platona, Arystotelesa, Euklidesa, Ptolemeusza, Hippokratesa, w dziełach Arabów: Rhaziego, Awicenny, Awerroesa szukano wiedzy o świecie, szukano prawd odkrytych rozumem ludzkim. Każdy promień prawdy, każde nowe prawo nauki, każde odkrycie geograficzne czy matematyczny pewnik pogłębiały zaufanie do rozumu, wiarę w możliwość poznania świata i jego zawiłych spraw. Do ośrodków, w których studiowano i odkrywano kulturę antyczną, do Chartres, Reims, Toledo, potem do Paryża, ściągając zaczęli ludzie ogarnięci gorączką poznania. Miasta i mieszczaństwo stanowiły główną podstawę społeczną tego ruchu.

Wczesny nominalizm i dialektyka Abelarda

Konflikt nowej wiedzy z tradycyjnymi, skostniałymi poglądami na świat był nieunikniony. Już od schyłku XI wieku filozofowie ze szkoły tzw. wczesnego nominalizmu zaczęli kwestionować nietykalne i niewzruszalne prawdy wiary. Berengariusz z Tours w imię rozumu podważał dogmat o transsubstancjacji, czyli przemianie chleba i wina w ciało i krew Chrystusa. Chleb i wino w czasie mszy są wedle jego opinii tylko przedmiotami ceremonii symbolicznej. Roscelin z Compiègne poddał próbie rozumowej analizy doktrynę Świętej Trójcy, uznając ją w tradycyjnym kształcie za absurd.

Uczeń Roscelina, Piotr Abelard, znany szeroko dzięki tragicznym dziejom miłości do pięknej Heloizy, największy myśliciel zachodni XII stulecia, nie stworzył monumentalnego systemu filozoficznego, nie zostawił po sobie opasłych woluminów, ale stał się inspiratorem całej późniejszej myśli średniowiecznej. Rewolucyjnym elementem jego doktryny była metoda postępowania naukowego. Zamiast czci dla autorytetu Abelard uznawał chłodną logikę sylogizmu, ściśle zasady racjonalnego myślenia. Reguły logiki przykładał też do zasad wiary. Nie chciał obalać tych zasad, ale nie chciał też wierzyć im ślepo. Pragnął zrozumieć dogmaty, rozwikłać trudne konflikty wiary i rozumu – nie dopuszczając myśli, że konflikt ten może być nierozwiązalny.

Prawdziwym wstrząsem było zestawienie przez Abelarda w *Sic et non* (Tak i nie) sprzeczności zawartych w Biblii, dziełach Ojców Kościoła, kościelnych kanonach. „Pierwszym kluczem do mądrości jest pilne i częste pytanie”. Pytanie i wątplenie miało prowokować badanie, a badanie doprowadzić miało do Prawdy. I nie tylko to jest ważne, że takie twierdzenia publicznie głoszone w XII stuleciu; niemniej ważne było, że tłumy uczniów słuchały tych wywrotowych na owe czasy idei z zapartym tchem.

Nieco później ideologowie Kościoła postanowili skorzystać z metody Abelarda. Jego metoda, dialektyka scholastyczna, miała służyć pogodzeniu wiary z rozumem. Piotr Lombard, potem Albert Wielki i Tomasz z Akwinu – w teologii, mistrz boloński Gracjan – w nauce prawa kościelnego, taki właśnie pożytek robili z dialektyki. Podobnie jak „oswojono” dla potrzeb kościelnych dzieło Arystotelesa, tak postarano się ujarzmić i dialektykę. To, co dla wielu myślicieli było olśniewającym odkryciem i wielką intelektualną przygodą, dla innych, w następnym pokoleniu, stało się rutyną. Ale taki właśnie jest zawiły proces umysłowego postępu.

Obrona ortodoksji

Tymczasem nowe prądy i nowe myśli przerażały konserwatystów. Abelard umarł zaszczyty przez wrogów; doktrynę jego potępiono za sprawą zgryźliwego Bernarda z Clairvaux, czujnego strażnika ortodoksji. Obrona tradycyjnych wyobrażeń o świecie połączyła się w XII i XIII wieku z gwałtowną reakcją przeciw racjonalizmowi. Gdy tzw. moderni (nowocześni) wierzyli w możliwości poznawcze człowieka, mieli zaufanie do jego rozumu, konserwatyści apelowali do mistyki, pokory i wiary odrzucającej wszelkie pytania i wątpliwości.

W Paryżu, dwunastowiecznej stolicy nauk, „tyle jest błędów, ilu doktorów; tyle zgorzeń, ile sal wykładowych; tyle bluźnierstw, ile miejskich placów” – pisał u schyłku XII stulecia Stefan z Tournai. Bernard z Clairvaux sądził, że „w lesie znajdziesz więcej niż w książkach; drzewa i kamienie nauczają cię więcej niż jakikolwiek profe-

sor”. Zbyt wielkie pragnienie wiedzy przynieść może człowiekowi tylko nieszczęście.

Kaznodzieje XIII wieku szeroko rozpowszechniali opowieści o kleryku, który uczył się tak zachłannie, że nawet nie wychodził na spacer i umarł, zanim ukończył studia; o profesorze, którego pycha została surowo ukarana: dumny uczony zaniemówił któregoś dnia z Bożego zrządzenia; inny mistrz zapowiedział, że nazajutrz rozstrzygnie trudny problem teologiczny tak subtelnie, jakby to zrobił sam Chrystus, gdy jednak przyszła godzina dysputy, pyszałek zapomniał nawet alfabetu. Przeciwstawiono tym zarozumiałym doktorom uczonemu, który cieszył się wielkimi sukcesami u studentów, a którego przygotowaniem do wykładu było jedynie słuchanie mszy porannej.

Jeszcze długo, do połowy XIII wieku ciągnęła się beznadziejna walka konserwatystów z postępem wiedzy filozoficznej. Wiele razy papież zakazywali studiowania dzieł Arystotelesa z dziedziny tzw. filozofii naturalnej. Wiele razy potępiano radykalnych racjonalistów, czerpiących z lektury Arystotelesa poglądy sprzeczne z nauką Kościoła. Tak na początku XIII wieku potępiono Dawida z Dinant i Amalryka z Beny, w drugiej połowie tego stulecia tzw. awerroistów łacińskich: Sigera z Brabantu i Boecjusza Duńczyka.

Prawo rzymskie

Czym dla filozofii i medycyny było odkrycie dorobku myśli greckiej i arabskiej, tym dla nauki prawa stało się odnalezienie wielkiego pomnika prawa rzymskiego – zbioru praw cesarza Justyniana z VI wieku (*Corpus Iuris Civilis*). Prawnicy przekonali się nagle, jak ubogie były ich konstrukcje teoretyczne, jak ciasne wyobrażenia o możliwościach nauki prawa. Entuzjazmowi jurystów dla kodyfikacji Justyniana towarzyszyło oburzenie teologów i moralistów na to, że studia pogańskiego prawa odrywają wielu księży i kleryków od zainteresowań teologicznych. Między innymi na tym tle papież Honoriusz III zakazał nauczania prawa rzymskiego na uniwersytecie paryskim.



Portret młodego studenta z początków XVI wieku. Obraz Jana van Scorel



Cesarz Teodozjusz i papież nadają przywileje uniwersytetowi bolońskiemu.
Miniatura z XV wieku

Szkoła kościelna i uniwersytet

Wszystkie nowe treści i nowe metody naukowe rozsądzały skostniałe ramy szkolnictwa kościelnego. Nawet najsłynniejsze szkoły katedralne nie były w stanie objąć spontanicznego ruchu umysłowego, masowej migracji ludzi żądnych wiedzy, pragnących zawodowo parać się pracą intelektualną. Szkoły kościelne kurczowo broniły dogmatów. Gdy pojawiała się wielka indywidualność naukowa torująca nowe drogi postępowi wiedzy, ani ona, ani jej uczniowie i zwolennicy nie znajdowali dla siebie miejsca w starym systemie.

Losy Abelarda w Paryżu są dla tej sytuacji charakterystyczne. Prześladowany przez despotę paryskiej szkoły katedralnej, Wilhelma z Champeaux, musiał przenieść się na prowincję. Gdy wrócił do Paryża, uczył w klasztorze św. Genowefy. Szkoła Abelarda, choć nie mająca świetnej tradycji, którą szczyliła się szkoła przy katedrze Notre-Dame, ściągała tłumy uczniów. Abelard wraz ze swymi uczniami wywarł większy wpływ na postęp filozofii zachodniej niż cały legion wykładowców paryskiej szkoły biskupiej. Takie żywiołowo powstające nowe ośrodki nauki i nauczania, jak szkoła Abelarda, były już zapowiedzią uniwersytetu.

W przeciwieństwie do szkół kościelnych uniwersytet był ośrodkiem nauczania w zasadzie otwartego, często o szerokim międzynarodowym zasięgu. Obejmował programem badań i dydaktyki doczesne, laickie dziedziny wiedzy ludzkiej. Na wydziale prawa kształcił urzędników, sędziów, adwokatów, na wydziale medycznym lekarzy, nawet na wydziale sztuk wyzwolonych, gdzie nadal uprawiano stare *trivium* i *quadrivium*, treść nauczania zmieniała się gruntownie. Zajmowano się tu filozofią i naukami przyrodniczymi, a także językoznawstwem, uprawiano je wszakże nie z punktu widzenia potrzeb kształcenia kleru, lecz dla wprowadzenia młodego studenta w ogólną wiedzę o świecie.

Pewnie, uczono w uniwersytecie średniowiecznym także teologii, kształcono w nauce Kościoła liczne zastępy duchownych. Ale i po powstaniu uniwersytetów główny ciężar nauczania teologii spoczywał nadal na szkołach biskupich czy – rzadziej – klasztornych. Aż do XIV wieku wydziały teologii znajdowały się tylko na bardzo nielicz-

nich uczelniach: w wieku XII na uniwersytecie paryskim i oksfordzkim, w XIII w. zdobyły teologię Tuluza i Salamanka. I to wszystko. Pozostałe uczelnie obywateli się bez wydziałów teologicznych. Dopiero w XIV wieku teologia pojawiła się w znakomitych uniwersytetach Bolonii i Neapolu. Wiadomo też, że uniwersytet założony w Krakowie w 1364 roku przez Kazimierza Wielkiego, nie miał wydziału teologicznego.

Prawdą jest, że w Paryżu teologia była najważniejszym wydziałem uniwersytetu i że tam można mówić o bezpośrednich związkach między dawną szkołą przy katedrze Notre-Dame a dwunastowiecznym uniwersytetem paryskim. Ale to nie reguła, lecz raczej wyjątek. Drugi wielki wydział teologii, w angielskim Oksfordzie, nie rozwinął się wcale z dawnego szkolnictwa kościelnego. Oksford do XII wieku był małą miejsciną bez poważniejszych tradycji naukowych. Nie stanowił nawet siedziby biskupa, a zatem nie miał szkoły katedralnej. Wielkie tradycje oświaty kościelnej stworzyły takie miasta angielskie jak Canterbury czy York. Uniwersytet oksfordzki powstał dzięki napływowi uczonych z zewnątrz, między innymi z zagranicznych ośrodków naukowych, a więc z Paryża, Normandii, Hiszpanii, a nawet z dalekiej Bolonii.

Spśród czterech klasycznych wydziałów średniowiecznego uniwersytetu: teologii, prawa, medycyny, sztuk wyzwolonych, tylko trzy pierwsze decydowały o uniwersyteckim charakterze szkoły. Teologia jedynie w Paryżu miała mocne powiązania ze szkołą katedralną. Dwa pozostałe najstarsze wydziały teologiczne w Tuluzie i Salamance powstały w XIII wieku w wyniku jednorazowej fundacji, a nie żywiołowej ewolucji od szkoły biskupiej do uniwersytetu. O powstaniu innych starych uniwersytetów decydował zazwyczaj rozwój wydziałów prawnych albo medycznych. Tak było w Bolonii, Padwie, Pawii, Sienie, Neapolu, Orleanie, gdzie zaczęło się od studium prawa. Tak było w starożytnym Salerno i w Montpellier, gdzie uniwersytet rozwijał się wokół studium medycyny.

Otóż, studia prawa i medycyny nie miały prawie żadnych powiązań z oświatą kościelną. Wiadomości, jakie zdobywał adept dawnych szkół sztuk wyzwolonych (*artium liberalium*) na temat prawa (kościelnego) i medycyny były więcej niż skąpe. W ciągu wieku XII,

gdy wiedza prawnicza i medyczna poczyniły wielkie postępy, gdy istniały już wielkie ośrodki tych nauk, Kościół zabraniał duchownym, zwłaszcza zakonnikom, poświęcania się studiom prawa świeckiego i wiedzy lekarskiej. Te dwa studia więc, a wraz z nimi większość najdawniejszych uniwersytetów, mają genezę nie kościelną, lecz właśnie laicką.

Tradycje szkół laickich

Błędny byłby pogląd, że Kościół miał absolutną wyłączność w dziedzinie oświaty i nauki średniowiecza. Nawet w okresie największego chaosu, zamieszania i upadku kulturalnego, gdy z wędrówek ludów wyłaniała się dopiero nowa mapa Europy, nie zanikła zupełnie tradycja laickiej oświaty. Na dworach „barbarzyńskich” królów bywali ludzie uczeni, którzy prowadzili szkoły pałacowe. Takie pałacowe wykształcenie (*eruditio palatina*) dawało podstawowe wiadomości z gramatyki i tzw. *ars dictaminis*, czyli sztuki stylu, prowadzenia korespondencji, redagowania aktów kancelaryjnych itd.

Gdy ustabilizowała się sytuacja polityczna, zwiększyła się w różnych krajach także liczba laickich ośrodków nauki i oświaty. W XI i XII wieku szkoły takie działały często przy osobie wybitnego mistrza (*apud quemlibet sapientem*). Zamożne dwory i komuny miejskie wspierały niejedną taką inicjatywę.

Uczeni włoscy G. Cencetti i A. Sorbelli ustalili ponad wszelką wątpliwość, że sławny uniwersytet boloński wyrastał powoli nie ze szkoły kościelnej, ale z laickich szkół prawa skupionych wokół wybitnych mistrzów. Jednym z nich był wielki prawnik Pepo, który w XI wieku nauczał w Bolonii *auctoritate propria* (z własnej inicjatywy), bez kościelnej kontroli. Podobnie Irnerius, właściwy fundator szkoły wyższej w Bolonii, zaczął od prywatnego nauczania. Jeszcze przed Peponem i Irneriusem istniały tu ośrodki nauki prawniczej, szkoły notarialne, całkowicie świeckie. Świeckie szkoły prawa rozwijały się także w innych miastach północnowłoskich: w Pawii i Rawennie.

W Salerno już w IX stuleciu istniał ośrodek wiedzy medycznej, uprawianej przez świeckich. Były to studia prywatne, w których taj-

niki nauk lekarskich przechodziły z mistrza na ucznia, tak jak w starożytnej Grecji za czasów Hippokratesa i Arystotelesa. W Salerno koło Neapolu, leżącym na terytorium dawnej Wielkiej Grecji*, nie wygasły tradycje kultury antycznej. Bliskość Sycylii i Hiszpanii, dwu krajów, w których we wcześniejszym średniowieczu usadowili się Arabowie, sprzyjała z kolei przenoszeniu wpływów nauki arabskiej, wpływów orientalnych. Kulturę orientálną o podkładzie greckim i arabskim łączyli ze światem zachodnim hiszpańscy Żydzi, prześladowani przez fanatyków muzułmańskich i emigrujący do Francji oraz Włoch. Wszystkie te czynniki działały przy powstaniu uniwersytetu w Salerno, którego trzon stanowiło studium medycyny. Wedle legendy założenie szkoły lekarskiej w Salerno było dziełem wspólnej pracy czterech ludzi: chrześcijanina z Zachodu, Greka, Araba i Żyda. Legendy nie zawsze są wiarygodne, ale ta właśnie wiernie odzwierciedla tradycje salernitańskiej uczelni.

Dość podobne wpływy działały także w drugim uniwersytecie medyków – w Montpellier. I tu zespoliły się tradycje greckie, arabskie i żydowskie. Dodać jeszcze wypada, że w obydwu miastach – i w Salerno, i w Montpellier – rozwój szkół medycznych ułatwiał istnienie wielkich ośrodków szpitalnych. Zapleczem dla dydaktycznej i praktycznej pracy wielkich mistrzów medycyny były szpitale i instytucje charytatywne, powstałe nie tylko z fundacji kościelnych, lecz także senioralnych i mieszczańskich. Przed wiekiem XII, zanim studia medycyny obdarzono oficjalnymi przywilejami, zanim zdobyły one charakter zorganizowanego uniwersytetu, sława Salerno i Montpellier była już międzynarodowa. W Salerno w XI stuleciu leczył się normandzki książę Robert, brat króla angielskiego Wilhelma Zdobywcy. Około 1100 roku posłano stąd do króla Anglii wierszowane reguły zdrowia, pod którymi podpisała się cała szkoła salernitańska. Do owych reguł zdrowia dopisywały się zresztą później inne ośrodki: w znanej szeroko wersji tego tekstu mamy kompilację różnych szkół i czasów.

Ścisłe związki między Salerno i daleką Anglią tłumaczą się po części faktem, że i tu, i tam rządili w XI wieku Normandowie.

* Wielka Grecja – to kolonie starożytnych Greków, między innymi na Sycylii i w południowej Italii.

Słynny Robert Guiscard, książę normandzki, który zdobył Apulię, był protektorem uczelni salernitańskiej.

Sława Montpellier także docierała daleko. Z niemieckiego dwunastowiecznego poematu Hartmanna von der Aue *Der arme Heinrich* (Biedny Henryk) dowiadujemy się, że bohater utworu po konsultację lekarską udaje się aż do Montpellier. W tym samym okresie autor żywota Anzelma, biskupa Havelbergu, chwali mistrzów medycyny z Montpellier za głęboką znajomość doktryny i praktyki lekarskiej. Protekcja i poparcie władzy świeckiej stworzyły również i tej uczelni dobre warunki rozwoju nauki i nauczania. Studium medycyny w Montpellier już w roku 1180 otrzymało od hrabiego Montpellier Wilhelma VIII przywilej wolności nauczania. Dopiero w XIII wieku ukształtował się tu drugi wyższy wydział uniwersytecki, na którym nauczano prawa świeckiego i kościelnego.

W XII stuleciu zatem ukształtowały się cztery uniwersytety: w Bolonii, Oksfordzie, Salerno i Montpellier, które nie miały związków ze szkołami kościelnymi istniejącymi wcześniej. Tylko w Paryżu uczelnia rozwinęła się wyraźnie na gruncie dawnej szkoły katedralnej.

Dwie stolice nauki: Paryż i Bolonia

Najstarsze uniwersytety uważały się za najlepsze. Zwłaszcza Paryż i Bolonia odmawiały innym uczelniom najwyższych godności i powagi, monopolizując je zazdrośnie. Doktoratom innych uniwersytetów nie przyznawały równorzędnej wartości z własnymi. Nie bez znaczenia było i to, że Paryż i Bolonia stworzyły dwa wzory ustrojowe, zupełnie zresztą odmienne, które potem naśladowały inne uniwersytety. Wszystkie uczelnie średniowieczne pod względem organizacyjnym reprezentowały albo typ boloński, albo paryski.

Chwałę Paryża głosili już w XII wieku studenci, którzy tu zdobywali wiedzę. Sławny Jan z Salisbury nie miał słów uznania dla uczelni paryskiej i w ogóle dla Francuzów, „narodu najśłodsze go i najgrzeczniejszego w świecie”. Zdaniem uczonego Jana z Neckam Paryż jest rajskim miejscem wszelkich rozkoszy (*paradisus deliciarum*). Tu w XII wieku studiował Stefan Langton, przyszły kardynał i arcybi-

skup Canterbury, wybitny polityk angielski, tu uczył się Mikołaj Breksppear, przyszedł papież Hadrian IV. Studentem paryskiej uczelni był największy historyk niemiecki XII wieku, Otto von Freising, a także wybitny polityk skandynawski, arcybiskup Lundu, Absalon.

W tym samym okresie Bolonia stanowiła niemniej sławny ośrodek uniwersyteckiej nauki prawa. Cesarze, z Fryderykiem Rudobrodym na czele, oraz poeci zachwycali się jej uczonością. *Bononia docta* – uczona Bolonia, tak powszechnie nazywano miasto, które przed powstaniem studium nie wyróżniało się niczym szczególnym. Doktorzy i mieszczenie bolońscy podkreślali przy każdej okazji światowe znaczenie swojego studium. *Petrus ubique pater, Legum Bononia mater* (jak Piotr [papież] jest wszędzie ojcem, tak Bolonia jest matką wszystkich praw ziemskich) – głosił łaciński napis na pieniądzach wybijanych przez bolońską mennicę. Dodajmy przy okazji, że Bolonia była nie tylko siedzibą jednego z dwu najszacowniejszych uniwersytetów, ale także ośrodkiem rzemiosła i handlu, związanych ściśle z pracą naukową. Tu znajdowało się największe w Europie centrum produkcji książek, tu pracowały setki kopistów, introligatorów, miniaturzystów, wytwórców pergaminu i księgarzy. Stąd eksportowano książki, rzecz jasna rękopiśmienne, do całej Europy.

Oksford

Inne dwunastowieczne uniwersytety miały także swoje tytuły do sławy. W dziedzinie medycyny Salerno i Montpellier były bezkonkurencyjne. Oksford również miał już wówczas sławnych mistrzów. Tu nauczali: kształcony w Paryżu, francuski teolog Robert Pullus, filozof normandzkiego pochodzenia Teobald d'Etampes, znawca nauki arabskiej Hiszpan Ademar z Bath czy Włoch z Bolonii Vacarius, sławny prawnik. Nie darmo już w początkach XIII stulecia Oksford nazywano młodszą siostrą Paryża. „*Oxonialis universitas aemula Parisiensis*” (uniwersytet oksfordzki jest rywalem paryskiego) – pisał w XIII wieku angielski kronikarz Matheus Parisiensis. Do rozwoju oksfordzkiej uczelni przyczynił się niemało spór króla angielskiego Henryka II z Francją. Henryka posądzano o spowodowanie śmierci

swego kanclerza, Tomasza Becketa, co popsło jego stosunki z Francją. W rezultacie bardzo liczni studenci angielscy uczący się w Paryżu zostali wtedy (w drugiej połowie XII wieku) odwołani do ojczyzny i powiększyli kadrę uczniów Oksfordu. Migracje studentów z Paryża w początkach XIII stulecia przyczyniły się do wzrostu popularności uczelni oksfordzkiej wśród Anglików, Niemców, Szkotów, a nawet Węgrów i Czechów.

Uniwersytety w Paryżu, Bolonii, Oksfordzie, Salerno, Montpellier były najstarsze. Rozwinęły się żywiołowo i dopiero potem dostawały przywileje i dyplomy confirmacyjne papieży, królów, cesarzy. Nazywano je uniwersytetami *ex consuetudine* (powstałymi w drodze zwyczaju) w odróżnieniu od uniwersytetów *ex fundatione* (z fundacji) założonych jednorazowym aktem.

Migracje uniwersyteckie i nowe uczelnie

Żywiołowo powstawały uniwersytety nie tylko w wieku XII. Także w następnym stuleciu, ba, nawet w wieku XIV, zdarzały się spontaniczne narodziny uczelni, której żaden władca nie fundował. Ale nie był to już ów ewolucyjny rozwój szkół skupionych wokół wybitnych mistrzów, prowadzący stopniowo do utworzenia uniwersytetu. W XIII wieku żywiołowe powstanie uczelni następowało zazwyczaj wskutek migracji studentów.

Student średniowieczny był stworzeniem ruchliwym i drażliwym. Obrażał się łatwo na władze miejskie czy państwowe za złe traktowanie, na mistrzów, którzy źle lub drogo uczyli, na surowość sądów. Chętnie szukał nowego, lepszego miejsca, gdzie życie byłoby łatwiejsze i tańsze, a władze przychylniejsze. Groźba opuszczenia miasta uniwersyteckiego, groźba masowej migracji w poszukiwaniu lepszej uczelni stanowiła często tylko formę nacisku na władze miejskie, państwowe czy kościelne. Jeśli nacisk pozostawał bez rezultatu, wcielano groźbę w życie. Masowe ruchy migracyjne studentów dały początek wielu uniwersytetom, przyspieszyły też rozwój szeregu innych.

Najwięcej nowych uczelni we Włoszech powstało w drodze takiego właśnie „pączkowania”, wskutek migracji studentów i mistrzów

ze studium bolońskiego. W ten sposób na przełomie XII i XIII wieku powstały uniwersytety w Modenie oraz w Reggio Emilia. W początkach XIII stulecia pojawiły się nowe uczelnie w Vicenzy (ta jednak istniała bardzo krótko), Arezzo i w Padwie. Migracja z Padwy dała początek uniwersytetowi w Vercelli.

Na początku XIII wieku secesja studentów oksfordzkich doprowadziła do utworzenia drugiego angielskiego uniwersytetu w Cambridge. Spory między studentami i mieszkańcami Oksfordu za słabych rządów Jana bez Ziemi podważyły znaczenie uczelni oksfordzkiej. Wielu słuchaczy wybrało Cambridge, który od początku stał się poważnym konkurentem uniwersytetu w Oksfordzie.

Bardzo liczne były secesje z Paryża, wśród nich największa w roku 1229. Spowodowało ją niesłuszne ukaranie studentów paryskich przez władze miejskie, za zgodą królowej Blanki, a następnie odmowa królowej udzielenia satysfakcji skrzywdzonym studentom. Emigranci zasilili uniwersytety angielskie w Oksfordzie i Cambridge oraz uniwersytety francuskie: w Orleanie, a zwłaszcza w Tuluzie. Postępy uczelni orleańskiej, bardzo szybkie w XIII wieku, w znacznej mierze były następstwem usunięcia studium prawa świeckiego z uczelni paryskiej. Papież Honoriusz III zabronił bowiem w roku 1219 nauczania prawa „cywilnego”, czyli świeckiego, na paryskiej wszechnicy. W Orleanie rozwinął się w XIII stuleciu bardzo poważny ośrodek studiów prawniczych. Zresztą już u schyłku XII wieku Orlean był siedzibą szkół cieszących się dużym autorytetem.

Z emigracji paryskiej roku 1229 powstał też żywiłowo uniwersytet w Angers, ale nie przetrwał długo.

Pierwsze fundacje uniwersytetów

W tym samym XIII stuleciu powstawały liczne uniwersytety z fundacji władców. Prawnicy średniowieczni powiadali nieraz, że prawo zakładania uniwersytetów ma tylko cesarz i papież, ale twierdzenie to nie odpowiadało prawdzie. Większość uniwersytetów średniowiecznych powstała bez żadnych związków z działaniem średniowiecznego cesarstwa. Jedyny wielki akt cesarski dotyczący spraw uniwersyte-

ckich – to konstytucja *Habita*, wydana w połowie XII wieku przez Fryderyka Barbarossę dla Bolonii. Lecz i ta konstytucja nie zakładała przecież uniwersytetu w Bolonii. Dawała jedynie pewne przywileje uczelni, która już istniała i prosperowała. Właściwie jedyną fundacją cesarską w owym okresie był uniwersytet w Neapolu, założony w roku 1223 przez Fryderyka II Sztaufa. Ale i tę uczelnię założył Fryderyk raczej jako król Sycylii niż jako cesarz rzymsko-niemiecki; miała ona służyć praktycznym potrzebom monarchii sycylijskiej, której losy obchodziły Fryderyka znacznie bardziej niż losy Niemiec.

Ustawodawstwo papieskie dotyczące uniwersytetów było znacznie bogatsze. Papieże ingerowali przede wszystkim w sprawy uczelni paryskiej. Paryż bowiem był największym europejskim ośrodkiem studiów teologicznych i Kościół z natury rzeczy sprawował kontrolę nad jego działalnością. Papieże regulowali nawet szczegóły organizacji wewnętrznej uczelni paryskiej, określali jej przywileje, zabraniali nauczania pewnych gałęzi wiedzy. Uniwersytet paryski, gdzie większość profesorów stanowili duchowni, gdzie studiowały tłumy księży i zakonników, traktowano praktycznie jako instytucję kościelną.

Papieże starali się rozciągnąć kontrolę i nad innymi uczelniami, przede wszystkim zaś nad Bolonią. Grę prowadzili bardzo zręcznie. Popierali studentów bolońskich w ich konfliktach z miastem; ceną tego poparcia była papieska kuratela, sprawowana zresztą oględnie, tak by nie wzburzyć i nie urazić ani studentów, ani profesorów. Papieskie akty dotyczące uniwersytetu bolońskiego miały raczej charakter przywilejów niż surowych ingerencji w autonomię szkoły. Takiej polityce sprzyjały w Bolonii ciągle konflikty między władzami miejskimi a cesarzem Fryderykiem II. Komuna bolońska współdziałała z papieżem we wspólnym froncie walki przeciw cesarzowi. Później, w drugiej połowie XIII wieku, władzę w Bolonii zagarnęła propapieska partia gwelfijska. Zwolenników cesarza, gibelinów, wygnano z miasta. Ułatwiło to papiestwu kontrolę nad uczelnią bolońską, która coraz bardziej uzależniała się od miejscowych władz komunalnych. Do spraw tych jeszcze wrócimy.

Papieskie przywileje dla uniwersytetów były potrzebne, choćby dlatego, że wśród studentów każdego uniwersytetu, nie tylko paryskiego, duży odsetek stanowili duchowni. Mogli oni studiować dzie-

ki temu, że papież zwalniał ich od tzw. obowiązku rezydencji. A więc student-ksiądz mógł jechać na studia i nie tracił dochodów ze swojego beneficjum (probostwa, kanonii, opactwa). I to właśnie zależało od przywileju papieskiego. Jeśli papież „uznał”, potwierdzał jakiś uniwersytet, to duchowni mogli na nim studiować nie rezygnując ze swoich beneficjów. Był to bardzo ważny przywilej.

Jednakże bulle i przywileje papieskie z reguły nadawano już po powstaniu uniwersytetu, dla uczelni już istniejącej. Tak było niemal wszędzie. Nie można ufać stylizacji papieskich dokumentów, które brzmią nieraz tak, jak gdyby papież tworzył nowy uniwersytet. Uczelnia w Montpellier na przykład istniała już na pewno w wieku XII, gdy tymczasem bulla papieża Mikołaja IV z 1289 roku wystylizowana jest tak, jak gdyby uniwersytet ten dopiero dzięki niej miał powstać*.

W rzeczywistości najpierw uczelnia powstawała w drodze powolnego rozwoju lub wskutek migracji studentów, albo też fundowała ją władza świecka; dopiero później papież nadawał jej różne przywileje, próbując przy okazji zdobyć wpływ na jej działalność. To ostatnie dotyczyło przede wszystkim kontroli dyplomów. Doktoraty można było na ogół uzyskiwać tylko z aprobatą różnych czynników kościelnych: miejscowego biskupa, kanclerza katedralnego, archidiakona lub innych. Ci dygnitarze duchowni mieli badać „dobre obyczaje” kandydata, stwierdzać, czy nie jest heretykiem, wrogiem wiary itd.

W XIII stuleciu właściwie jeden tylko uniwersytet powstał bezpośrednio z papieskiej fundacji – uczelnia w Tuluzie. Lecz i ona była fundacją za cudze pieniądze. Utworzono ją w roku 1229 na żądanie dwu kolejnych papieży: Honoriusza III i Grzegorza IX. Bulla papieska nadała jej organizację, ale profesorów opłacał hrabia Tuluzy Rajmund VII.

Wśród trzynastowiecznych fundacji uniwersyteckich wymienić należy cztery uczelnie założone przez królów państw hiszpańskich, a więc przede wszystkim w Coimbrze w królestwie portugalskim, potem kastylski uniwersytet w Palencji, który jednak się nie utrzy-

* Przywilej papieski dla Montpellier z roku 1289 zawiera takie sformułowanie: papież daje odpowiednie przywileje, „aby... istniało odtąd studium generale, w którym by uczyli profesorowie, a studenci swobodnie mogli się uczyć”.

mał. Wielką przyszłość natomiast miał założony nieco później przez Alfonsa IX kastylski uniwersytet w Salamance. W połowie XIII wieku Kastylija wzbogaciła się o jeszcze jeden uniwersytet, w Sewilli, pod koniec stulecia zaś królestwo aragońskie uzyskało własną uczelnię w Leridzie. Waga tych królewskich fundacji była tak wielka, że w kodeksie prawa Kastylii, ułożonym w połowie XIII wieku za rządów Alfonsa Mądrego, *Siete Partidas* (kodeksie Siedmiu Części), ustrojowi uniwersytetów poświęcono osobny rozdział części drugiej. Jest to bardzo wczesny przykład włączenia problemów uniwersyteckich do systemu prawa państwowego. Cechą szczególną uniwersytetów hiszpańskich była kontrola władz państwowych nad ich działalnością.

Fundacją państwową był też uniwersytet w Neapolu złożony w roku 1224 przez cesarza rzymskiego, króla Niemiec i Sycylii Fryderyka II Sztaufa. Po upadku Sztaufów władzę na Sycylii objęła francuska dynastia Andegawenów; król Karol I wskrzesił w drugiej połowie XIII wieku fundację uniwersytecką w Neapolu. Odtąd uczelnia ta odgrywała bardzo poważną rolę w dziejach kultury i nauki włoskiej.

W wieku XIV fundacje królewskie i cesarskie były częstsze. Należy wymienić dwa pierwsze uniwersytety słowiańskie: praski, utworzony przez cesarza Karola IV w 1348 roku, oraz krakowski, ufundowany przez Kazimierza Wielkiego w 1364 roku. Były to pierwsze uczelnie w środkowej Europie. Wyprzedziły one wszystkie uniwersytety niemieckie.

Spoleczne podstawy ruchu uniwersyteckiego

Mówiliśmy dotąd o tym, jak uniwersytety powstawały; z kolei powiedzieć warto, dlaczego powstawały. Wskazywano często na postępy nauki, związane z odkryciem arystotelizmu czy odnowieniem znajomości prawa rzymskiego. Wydaje się jednak, że należy spojrzeć nieco szerzej i głębiej na to interesujące zjawisko.

Podstawową przesłanką rozwoju uniwersytetów był rozwój ekonomiczny Europy od przełomu XI/XII wieku, który przyniósł szybkie postępy urbanizacji. Rosły wielkie miasta, ośrodki handlu i pro-

dukcji, a także życia umysłowego i kulturalnego. Wraz ze wzrostem liczby miast zwiększało się zainteresowanie oświatą, nauką, sztuką. Sukcesy mieszczan w konfliktach z władcami i możnowładcami wpływały na stały rozwój autonomii miejskiej, przywilejów municypalnych. Bogaciły się miasta i mieszczaństwo, a co za tym idzie ożywiały się aspiracje polityczne i społeczne mieszczan. To powodowało wzrost społecznego zapotrzebowania na szkoły, na laicką oświatę, wolną od kościelnej kontroli. W wielkich miastach coraz liczniejsza stawała się kadra ludzi zainteresowanych nauką bądź uprawiających ją zawodowo.

Możnowładca czy rycerz nie miał takich intelektualnych aspiracji. Można całymi stronicami przytaczać świadectwa źródłowe, w których utyskuje się na brak zainteresowania nauką u synów szlacheckich. Wielka polityka, wyprawy wojenne, drobne intrygi i spory sąsiedzkie, polowania i turnieje – oto krąg zainteresowań ludzi ze środowisk feudalnych.

Na pewno decydujący wpływ na rozwój ośrodków uniwersyteckich miało nagromadzenie wiedzy, ogólny postęp kulturalny, którego zewnętrznym wyrazem było właśnie odkrycie arystotelizmu, zainteresowanie nauką arabską, antycznym prawem rzymskim, naukami przyrodniczymi i filozofią. Ale te nowe odkrycia i zainteresowania nie rodziły się z powietrza. Stanowiły przyczynę ożywienia ruchu uniwersyteckiego, z kolei jednak same były skutkiem wzrostu liczby ludzi, których sytuacja życiowa i społeczna stwarzała zamówienie na oświatę i aktywność naukową.

Dlatego powstawały i znajdowały chętnych słuchaczy szkoły wielkich mistrzów filozofii, prawa, medycyny, których sława i zasięg oddziaływania stale rosły. Kolportowano wiadomości o wspaniałych perspektywach intelektualnych, jakie otwierała nauka w tych ośrodkach wiedzy. Wyraźnie formowały się materialne i naukowe podstawy uniwersytetu; trzeba było jeszcze podstaw formalnych, organizacyjnych.

Taki formalny wzór organizacyjny znalazł uniwersytet średniowieczny nie w uczelniach arabskich, bizantyńskich czy też w starożytnych ośrodkach nauczania. Organizację uniwersytetu oparto na wzorach stworzonych przez nową klasę, przez mieszczaństwo. *Uni-*

versitas oznacza w języku średniowiecza po prostu cech. W ruchu korporacyjnym, w rozwijających się miejskich cechach czy gildiach kupieckich znaleziono wzory ustrojowe, przydatne w pracy uniwersyteckiej.

Zamówienie społeczne monarchów i papieży

Rozwój uniwersytetów przebiegałby zapewne inaczej, chyba wolniej i oporniej, gdyby nie natrafił na bardzo sprzyjającą koniunkturę także w środowisku rządzących. Przywileje cesarzy, królów, papieży, książąt, hrabiów, biskupów są świadectwem, że uniwersytety odpowiadały również ich potrzebom. Toteż szybko doczekały się poparcia władz publicznych, które ułatwiały im działalność, ale też coraz ściślej kontrolowały pierwotnie swobodny ruch uniwersytecki.

Z tym poparciem i z tą kontrolą wiązały się doniosłe interesy polityczne i ideologiczne. Nie bez przyczyny Kościół tak bardzo interesował się rozwojem studiów teologicznych, mających dać naukowe uzasadnienie dogmatów. Wiek XIII był na zachodzie Europy wiekiem herezji. W wielkich ruchach heretyckich podawały sobie ręce na wół świadome dążenia plebejuszy: chłopów i miejskiej biedoty, szukających na ziemi lepszego, sprawiedliwszego porządku, oraz nowe prądy filozoficzne, podważające naukę Kościoła.

Uczelnia paryska miała spełniać rolę kuźni kadr wytrawnych teologów, zaprawionych do walki z heretykami. Nieprzypadkowo tak wielką rolę wśród doktorów i studentów paryskich odgrywali członkowie tzw. zakonów żebraczych (franciszkanów, dominikanów), powołanych w XIII stuleciu właśnie do działania w środowiskach miejskich i ludowych, do zwalczania herezji. Nieprzypadkowo papieska bulla kreowała uczelnię w Tuluzie, w samym centrum pokonanego militarnie ruchu albigensów. Nieprzypadkowo pieśniarz krucjaty przeciw albigensom, Wilhelm z Tudeli, kazał jednemu z bohaterów swego eposu mówić, że heretyków winien wytępić „doktor, ogień i miecz” (*pravos extirpat et doctor, et ignis, et ensis*).

Uniwersytet interesował sfery kościelne nie tylko z uwagi na studium teologii. W Paryżu, Bolonii, Tuluzie i w innych wielkich uni-

wersytetach XII–XIII wieku wykładano także prawo kościelne. A prawnik stawał się coraz ważniejszą figurą w ówczesnym Kościele, który rozbudował potężny aparat, sprawne urzędy centralne w Rzymie, rządne diecezje i prowincje zakonne, system sądownictwa interweniującego szeroko w sprawy świeckie. Z każdym rokiem rosło zapotrzebowanie na księży-urzędników, administratorów, sędziów, poborców podatkowych. Te potrzeby zaspokajać miały studia prawa kanonicznego.

Wreszcie potrzeby państwa: polityczne i administracyjne. Już w XII stuleciu Fryderyk Barbarossa otaczał opieką i wysoką cesarską protekcją uczelnię bolońską. Z niej chciał uczynić centrum myśli gibelinińskiej, ośrodek ideologii cesarskiej, oparcie dla wpływów niemieckiego imperium w buntujących się przeciw cesarzowi miastach północnej Italii.

W XIII wieku obserwujemy nieustanny wzrost zadań i roli państwa. Wielkie monarchie narodowe: Anglia, Francja, królestwo sycylijskie, Kastylia wkroczyły już na drogę zjednoczenia, stabilizacji ustrojowej, centralizacji administracyjnej.

Nowe zadania państwa i nowe pola jego działania wymagały silnej kadry urzędników, poczynawszy od ministrów w rządzie, szefów prowincji, aż po najniższe ogniwa administracji. Potrzebni byli światli, wykształceni sędziowie, doradcy królewscy biegli w zawiłych zagadnieniach ideowych i politycznych.

Ta kadra miała zdobywać wykształcenie prawnicze na uniwersytetach. A ponieważ troszczono się o to, by administracja i sądownictwo związane było z problemami środowiska, z potrzebami kraju, dbano też, aby urzędnicy kształcili się na uniwersytetach krajowych. Tym właśnie tłumaczy się między innymi wielka kariera szkół narodowych.

Dlatego królowie hiszpańscy zakładali u siebie coraz to nowe uczelnie wyższe, dlatego królowie angielscy otaczali protekcją Oxford i Cambridge, ściągając do krajowych ośrodków angielskich studentów z Paryża, dlatego uniwersytet w Orleanie stał się wielką pepinią służby królewskiej. Nawet profesorowie orleańskiej uczelni często traktowali uniwersytecką katedrę tylko jako odskocznnię do wysokich urzędów koronnych, ministerialnych foteli i funkcji doradców Korony francuskiej.

Fryderyk II, fundując uniwersytet w Neapolu, miał bardzo rozumny plan przebudowy całego ustroju monarchii sycylijskiej. Zamierzał ustanowić silną władzę monarszą, wprowadzić płatny i sprawny aparat zawodowych urzędników. Uczelnia neapolitańska miała być dla królestwa Sycylii tym, czym orleańska była dla Francji. Fryderyk II zakazał nawet swoim sycylijskim poddanym wyjazdów na inne uniwersytety, a studiującym poza granicami kraju Sycylijczykom polecił wrócić do ojczyzny i kontynuować studia w Neapolu. Mniej konsekwentnie, ostrożniej, ale podobnie widzieli rolę studium neapolitańskiego następcy Sztaufów na tronie sycylijskim, Andegawenowie.

Podobny był wreszcie cel Kazimierzowskiej fundacji uniwersytetu krakowskiego, który miał służyć umocnieniu królewskich rządów i ustrojowej jedności państwa polskiego.

Ze zbieżności żywiołowego ruchu umysłowego i bardzo określonych potrzeb politycznych wyrósł wielki sukces ruchu uniwersyteckiego w XII, a zwłaszcza w XIII stuleciu. Protekcja państwa i Kościoła zapewniła uczelniom bazę materialną i formy ustrojowe.

DWA USTROJE

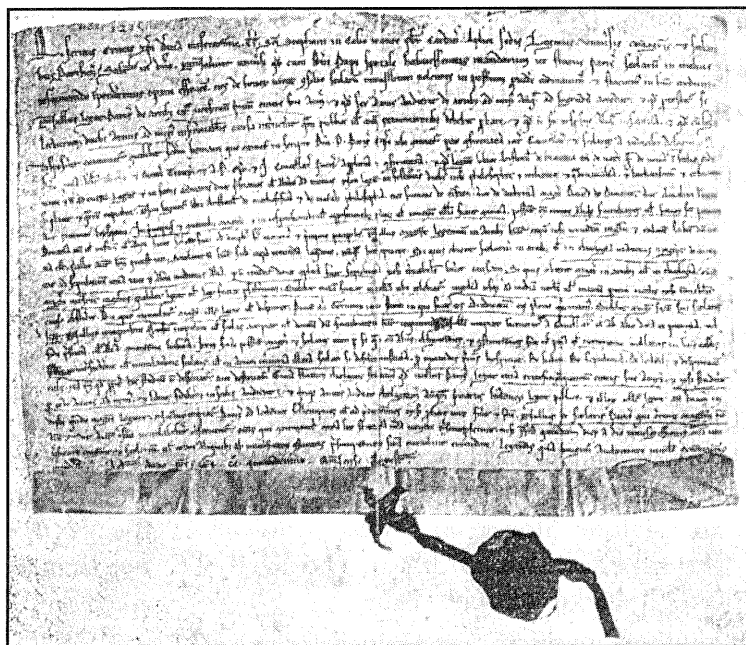
Uniwersytet – cech intelektualistów

Gdy mowa o organizacji uniwersytetu średniowiecznego, warto przede wszystkim zwrócić uwagę, że organizacja ta była jeszcze przez długi czas płynna, zróżnicowania znaczne, a pojęcie uniwersytetu nie dość ustalone. Słowo *universitas* nie miało w XII czy XIII wieku tego samego znaczenia co dzisiaj. W średniowiecznej łacinie oznaczało po prostu korporację, cech.

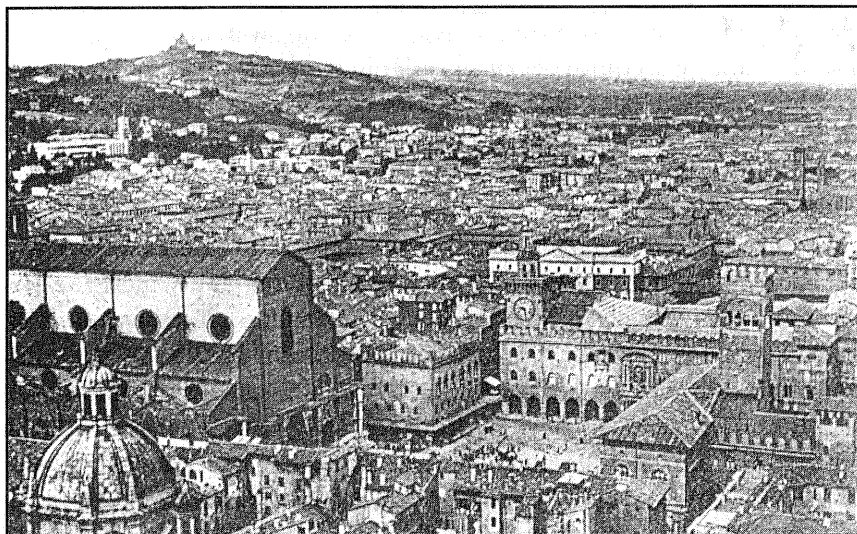
W odniesieniu do uniwersytetu sens pojęcia *universitas* jest także dość szczególny. *Universitas* – to mniej niż uniwersytet w dzisiejszym rozumieniu tego słowa: naukowa instytucja uprawiająca różne dziedziny wiedzy. Temu szerszemu znaczeniu odpowiadało raczej szeroko używane w średniowieczu określenie *studium generale*.

Dzisiaj może wydawać się dziwny fakt, że w jednym mieście, w obrębie jednego *studium generale*, istniało czasem kilka uniwersytetów: uniwersytet prawników, medyków, słuchaczy sztuk wyzwolonych. Ba, co więcej, jedną dyscyplinę naukową mogły reprezentować dwa uniwersytety, zależnie od pochodzenia studentów. I tak w Bolonii długi czas utrzymywały się dwa uniwersytety prawnicze: jeden dla prawników pochodzących z Italii – *universitas citramontanorum* (z tej strony gór), drugi dla przybyszów z obcych krajów – *universitas ultramontanorum* (spoza gór). Natomiast w Paryżu istniał tylko jeden uniwersytet, wspólny dla różnych specjalności i narodów.

Nie od razu powstał wewnętrzny podział uniwersytetu na wydziały czy fakultety. Wykształcił się on dopiero z zebranych naukowych profesorów określonych specjalności. W pierwotnej strukturze uniwersytetu dużo większe znaczenie miał wewnętrzny podział na tzw.



Statuty uniwersytetu paryskiego z roku 1215



Widok ogólny Bolonii



Trzynastowieczne pieczęcie uniwersytetów w Oksfordzie,
Cambridge i Paryżu

nacje, grupujące profesorów i studentów lub samych tylko studentów wedle kryterium pochodzenia nie tyle narodowego co geograficznego. Nacja bowiem rzadko miała charakter ściśle narodowy.

Uniwersytet bezdomny

Uniwersytet kojarzy się nam dzisiaj z wielkimi kompleksami gmachów, z przestronnymi audytoriami, laboratoriami, salami do ćwiczeń, profesorskimi gabinetami.

Niczego podobnego nie było w wiekach średnich. Uniwersytet dorobił się swoich gmachów dopiero u progu nowożytnej ery. Wykłady odbywały się gdzie popadło: czasem w wynajętych pokojach prywatnych, czasem – gdy profesor był bogaty – w domu mistrza. Gdy powstały duże hospicja i kolegia dla studentów, coś w rodzaju naszych domów akademickich, wykładano nieraz w gmachach pobudowanych dla owych kolegiów. Jeśli nawet kolegium znajdowało się pod kontrolą władz uniwersyteckich, to domy nie należały do uniwersytetu. Tak więc z reguły wykładano w pomieszczeniach prywatnych.

Aby zapobiec spekulacji, regulowano szczegółowy sposób wynajmowania audytoriów od mieszczan. W roku 1245 ogólne zgromadzenie doktorów paryskich w kościele klasztoru St.-Mathurin wydało w tym przedmiocie osobne statuty. Zakazano spekulacji przy podnajmowaniu sal wykładowych i podbijania cen. Każdy profesor miał prawo tylko do jednej sali na swoje wykłady. Jeśli właściciel domu odmawiał wynajęcia audytorium po uczciwej cenie, dom jego wciągano na czarną listę; przez pięć lat żadnemu mistrzowi ani studentowi nie wolno było mieszkać ani wyklądać w takim domu.

Pomieszczenia uniwersyteckie (sale wykładowe, mieszkania mistrzów i uczniów) często koncentrowały się w jednej dzielnicy. Paryski wykaz pomieszczeń i cen najmu z 1282 roku ujawnia, że wydział teologii skupiał się głównie przy dwóch ulicach: Grande rue de St.-Jacques, rue de la Montagne Sainte Geneviève. Jeszcze wcześniej liczny i ruchliwy wydział sztuk wyzwolonych paryskiej uczelni uplasował się wzdłuż wąskiej i długiej ulicy, zwanej rue du Fouarre, ulicą

Słomianą (*fouarre* albo *feurre* w języku starofrancuskim oznacza słomę). Nazwa ulicy pochodziła od słomy, którą wykładano podłogi audytoriów wydziału sztuk wyzwolonych, zawsze przeludnionych, nie mających z reguły ławek. Na słomie siadali po turecku bardzo młodzi na tym wydziale studenci. Rue du Fouarre zyskała sławę szeroko poza granicami Paryża i Francji, stała się symbolem studiów filozoficznych. Tutaj uczyła się największa część paryskiej młodzieży akademickiej. O rue du Fouarre wspominał nawet wielki Dante w *Boskiej Komедii*, w dziesiątej pieśni *Raju*.

Audytoria mieściły się najczęściej w domach mieszczańskich, dopiero później przeniosły się w większości do kolegiów i domów mistrzów. Miało to swoje złe strony. Francuski historyk Jacques de Vitry oburzał się w początkach XIII wieku, że w tym samym domu paryskim na piętrze znajdowała się sala wykładowa, a na parterze... zamtuż. Sale były na ogół złe albo wcale nie opalane. Tylko słoma chroniła przed zimnem. Zastrzegano jednak, że audytorium musi mieć okna, a nie każdy pokój wtedy je miał. Oświetlenie bywało zwykle marne, bo prawdziwe szkło w oknie stanowiło wielki luksus. Udręk przysparzała studentom także ciasnota sali wykładowej. Miniatury i płaskorzeźby średniowieczne ukazują, w jakim tłoku pracowali studenci na wykładzie, ściśnięci gęsto jeden obok drugiego. Nic więc dziwnego, że w Bolonii domagano się, aby wybitni i popularni mistrzowie wykładali na publicznych placach. Oczywiście pomysł taki mógł się zrodzić tylko w łagodnym klimacie Italii.

Uroczyste zebrania uniwersytetu: promocje doktorskie, wybory władz uczelni, ogólne zgromadzenia nacji czy też wszystkich studentów, odbywały się z reguły w kościołach, a w mniejszych miastach uniwersyteckich – często w katedrze, największym i najważniejszym kościele. W średniowieczu w ogóle brak było sal przeznaczonych na wielkie zgromadzenia i zjazdy. Publiczne zebrania naukowe czy polityczne, a więc też zjazdy królów, wiece i sejmy baronów i prałatów, odbywały się właśnie w kościołach i nikogo to nie raziło.

Uniwersytet profesorów i uniwersytet studentów

Najbardziej charakterystyczne dla średniowiecznego uniwersytetu jest istnienie dwu różnych ustrojów, które kształtowały się w XII i XIII wieku. Dopiero później różnice te zaczęły się zacierać.

Uniwersytet wedle wzoru paryskiego był cechem profesorów, wedle wzoru bolońskiego – cechem studentów. W pierwszym przypadku główną postacią na uczelni był doktor, mistrz, profesor, w drugim – rządy nad uniwersytetem (od strony organizacyjnej) sprawował ogół studentów.

W zasadzie można powiedzieć, że im silniejsze wpływy na uniwersytecie zyskiwała teologia, tym bardziej uczelnia dopasowywała się do wzoru paryskiego. I przeciwnie, im większe znaczenie miały studia przedmiotów laickich, prawa rzymskiego i medycyny, tym wierniej kopiowano ustrój boloński.

Wyjaśnienie przyczyn, dla których powstała ta dwoistość ustrojowa, będzie możliwe dopiero po przedstawieniu całości stosunków w obrębie grona profesorskiego i wśród studentów, a także relacji między pierwszym i drugimi. Na razie dość powiedzieć, że akceptowanie ustroju paryskiego lub bolońskiego zależało od różnorodnych czynników.

Ustrój paryski zrodził się na uniwersytecie, gdzie prymat teologii zapewniał silną kontrolę papieską regulującą z góry formy działania uczelni, gdzie profesorowie byli dobrze uposażeni kościelnymi beneficjami, gdzie bardzo wielu studentów – to ludzie niedorośli, nie-raz wprost dzieci.

Ustrój boloński powstał na uczelni, której studenci (prawnicy, medycy) byli starsi, bogatsi, bardziej niezależni. Uniwersytet rozwijał się tu żywiołowo ze szkół prywatnych; długo też w Bolonii istniała wolna konkurencja między doktorami. Student wybierał sobie profesora: tańszego albo lepszego. Honoraria studenckie były podstawą utrzymania mistrza, pozbawionego beneficjów kościelnych, a początkowo także wszelkich stałych poborów. Student miał więc pozycję mocniejszą – płacił profesorowi i narzucał mu swoje wymagania.

Nowo powstające uniwersytety wybierały jeden albo drugi typ ustroju. Wybór zależał często od osobistych powiązań tych, którzy nową uczelnię fundowali. Ale decydował stan faktyczny istniejący

na nowo tworzonej uczelni, jego podobieństwo do sytuacji bolońskiej lub paryskiej. Oczywiście rzadko przyjmowano ustrój paryski albo boloński w stanie „chemicznie czystym”. Najczęściej modyfikowano przyjęte wzory, zmieniano w szczegółach, a nawet mieszano elementy obu ustrojów. Zdarzało się też, że w jednym mieście, w ramach jednego *studium generale* powstawały uniwersytety oparte na odmiennych wzorach.

Przy tym mieszaniu różnych form, przy różnaitości rozwiązań organizacyjnych jest jednak kryterium niezawodne, które pozwala określić, kiedy uczelnia działa na zasadach paryskich, a kiedy na włoskich, bolońskich. Wystarczy zbadać, kto wybiera władze uniwersyteckie, czyje interesy reprezentują te władze i z jakiej kategorii ludzi uniwersytetu się wywodzą.

Jeśli rektor obrany przez studentów sam jest studentem, mamy do czynienia z wzorem bolońskim. Jeśli władze uczelni składają się z doktorów i przez doktorów są wybierane, uczelnia rządzi się wedle reguły paryskiej.

W XII–XIII wieku typ boloński był popularniejszy. Upowszechnił się nie tylko we Włoszech, gdzie zresztą większość uniwersytetów powstała z uczelni bolońskiej przez „pączkowanie”, w drodze migracji. Stał się także wzorem dla niektórych uniwersytetów francuskich i hiszpańskich.

Rzecz ciekawa: wzór paryski nie opanował wszystkich uniwersytetów francuskich. W klasyczny sposób reprodukuje go ustrój uczelni w Tuluzie. To zrozumiałe, Tuluza była fundacją papieską, podstawą studium miała się stać teologia. Działały tu te same sytuacje faktyczne, które wytworzyły system paryski. Ale już Montpellier miało ustrój wzorowany na typie bolońskim, a uniwersytety w Orleanie i w Angers, choć powstały w znacznym stopniu wskutek migracji z Paryża, sięgnęły później po różne instytucje, należące do systemu bolońskiego. Podobnie w Hiszpanii królowie fundując uniwersytety, na ogół nadawali im ustrój boloński. Ten sam system przyjęła także uczelnia krakowska, ufundowana w roku 1364 przez Kazimierza Wielkiego.

Paryż natomiast był wzorem dla uczelni angielskich: Oksfordu i Cambridge. Większy wpływ systemu paryskiego odnotować wypadnie dopiero w XIV stuleciu, gdy przyjęły go uczelnie niemieckie i Praga.

Organizacja uczelni paryskiej

Parę słów najpierw o ustroju paryskim. Zachowane statuty uniwersytetu paryskiego z XII i XIII wieku nie dają pełnego obrazu struktury organizacyjnej uczelni, dotyczą one wielu szczegółowych spraw, nie określają jednak wszystkich podstawowych zasad działania uczelni. Dlatego trudno dziś ustalić z całą dokładnością obraz najstarszego ustroju paryskiego studium.

W odróżnieniu od Bolonii w Paryżu był tylko jeden uniwersytet, podzielony na cztery „nacje”: francuską, angielską, pikardyjską i normandzką. Kiedy w XIII wieku na uniwersytecie wyodrębniły się cztery fakultety (sztuk wyzwolonych, teologii, medycyny i prawa kanonicznego), podział na nacje zachował się tylko na wydziale sztuk. Do nacji należeli profesorowie sztuk wyzwolonych (*magistri artium*) oraz studenci trzech wyższych fakultetów: teologii, medycyny, prawa. Działo się tak dlatego, że wydział sztuk miał w Paryżu wyraźny charakter wydziału wstępnego. Studenci wyższych fakultetów byli tu zazwyczaj magistrami sztuk wyzwolonych i z tego tytułu uczestniczyli w pracach nacji wydziału *artium*. Nacje były więc jakby organizacją magistrów sztuk wyzwolonych, a zatem organizacją mistrzowską, a nie studencką; studenci sztuk, przed magisterium, nie brali bezpośrednio udziału w życiu nacji. Także profesorowie wyższych fakultetów nie byli związani z nacjami; w XIII wieku zdobyli oni osobną, własną organizację – wydziały. Doktorzy medycyny, prawa i teologii zbierali się odtąd w kolegiach wydziałowych. Tak więc nacje mocno straciły na znaczeniu.

Na wykształcenie osobnych fakultetów wpłynęły przede wszystkim postępy wiedzy, rosnąca specjalizacja różnych dziedzin. W wieku XII tej specjalizacji jeszcze nie było. Główną dziedzinę uprawianą w Paryżu stanowiła teologia, wyrastająca ze studium sztuk wyzwolonych. Medycyna przed rokiem 1200 w Paryżu prawie nie istniała; adepci tej nauki jeździli do Salerno i Montpellier. Studia prawnicze były w powijkach.

W pierwszej połowie XIII wieku teologia coraz bardziej separowała się od sztuk wyzwolonych, które traktowała pogardliwie jako encyklopedyczny kurs przygotowawczy. Zaczęto nadawać stopnie

naukowe w zakresie medycyny. Prawo świeckie – jak już wspomnieliśmy – wygnał wprawdzie z Paryża w roku 1219 papież Honoriusz III, ale za to rozwijały się tu coraz solidniej studia prawa kościelnego, „kanonów”.

Im bardziej zwiększała się specjalizacja, tym bardziej mistrzowie różnych dziedzin wiedzy starali się o wyodrębnienie organizacyjne. Zbierali się coraz częściej, aby radzić nad programami nauczania, systemem egzaminów, promocjami i sprawami bieżącymi swoich działów. Dochodziły tu także do głosu rywalizacje naukowe i osobiste. Toteż profesorowie sztuk wyzwolonych na przykład bez żalu godzili się na rozdział z gronem pysznych teologów, na każdym kroku akcentujących swoją wyższość. Medycyna i prawo kanoniczne były już na tyle wyspecjalizowane, aby również domagać się własnej organizacji.

W ten sposób powoli, niepostrzeżenie wyrosły około połowy XIII wieku cztery fakultety paryskiej wszechnicy: teologia, prawo kanoniczne, medycyna i *artes liberales*. Przy najliczniejszym wydziale *artium* zachował się dawny podział na nacje. Tak więc na całe paryskie *studium generale* od XIII wieku składało się siedem tzw. konfraterni: trzy wydziały wyższe oraz wydział niższy podzielony na cztery nacje.

Ten nowy ustrój uznano za doskonały. Cztery wydziały paryskiego uniwersytetu przyrównywano już w XIII wieku do czterech rzek, płynących w raju. Sławny mistyk i filozof, św. Bonawentura, pisał około połowy stulecia, że wydział *artium* stanowi podstawę uniwersyteckiej budowli, wydziały prawa i medycyny są jej ścianami, a nauka o Bogu, teologia, jest dachem i szczytem systemu akademickiego.

W rzeczywistości nie było wcale harmonii między poszczególnymi wydziałami. Wyodrębnienie fakultetów nie powściągnęło rywalizacji i wywyższania się pewnych specjalności nad innymi, kłótni o miejsce w hierarchii i zażartych sporów naukowych. W drugiej połowie XIII i w początku XIV wieku wykłady mistrzów paryskich i kazania uniwersyteckie stałe wzywały do solidarności i jedności. Kanclerz katedry paryskiej, Filip de Grève, przyrównywał uczelnię w Paryżu do zwyrodniałego potwora o czterech głowach; każdy fakultet – to jedna głowa tej hydry.

Dalej zajmujemy się ideowymi przyczynami sporów uniwersyteckich. Nie brakło jednakże powodów do waśni również w samym ustroju paryskiej uczelni. Taką kością niezgody była na przykład kwestia stanowiska rektora.

Rektora wybierali tradycyjnie szefowie, tzw. prokuratorzy nacji, albo przedstawiciele tychże czterech nacji, specjalnie powołani do aktu wyborczego. Nacje ciągle kłóciły się między sobą o stanowisko rektorskie, pragnąc je zdobyć dla swojego przedstawiciela. W rezultacie doszło do tego, że w XIII wieku wybierano rektora nieraz co 6 tygodni, a nawet co miesiąc. Dopiero legat papieski kardynał Simon de Brie nakazał w roku 1266, aby wybory odbywały się nie częściej niż cztery razy do roku.

W związku z kłótniami o rektorską godność i trudnościami wyboru wprowadzono w Paryżu oryginalne przepisy, mające ułatwić powoływanie rektora. Oto czterej elektorowie musieli zbierać się w pomieszczeniu izolowanym, odciętym od zewnętrznych wpływów, bez jedzenia i picia. Wyboru trzeba było dopełnić w krótkim czasie – zanim wypaliła się świeca określonej długości. Jeżeli świeca zgasła, a rektor nie został wybrany, wyznaczano nowych elektorów, bardziej skłonnych do zgody. Czasem też dopuszczano możliwość powołania dwu rektorów, rządzących kolegialnie.

Kiedy wyodrębniły się fakultety, rektora nadal wybierali przedstawiciele nacji. Ale nacje reprezentowały już tylko wydział sztuk wyzwolonych, toteż doktorzy wyższych fakultetów nie mieli zamiaru uznać władzy rektora, wybranego przez „artystów”*. Przez bardzo długi czas z tradycyjnym urzędem rektorskim konkurował do pierwszej godności na uniwersytecie przełożony (dziekan) wydziału teologii. Ostatecznie dopiero około połowy XIV wieku uniwersytet paryski zaakceptował autorytet rektora, wybieranego przez nacje, jako głowy uczelni. Takie rozwiązanie może dziwić, rzecz jednak w tym, że władza rektora w Paryżu – inaczej niż w Bolonii – nie była zbyt wielka. To nie rektor był najwyższą instancją na uczelni; główną rolę grało ogólne zgromadzenie wszystkich profesorów, zbierają-

* „Artysta” – powszechnie używane określenie studentów i profesorów wydziału sztuk wyzwolonych (*artes liberales*).

ce się regularnie w kościele St.-Julien le Pauvre lub kaplicy klasztoru St.-Mathurin. Właśnie taki sejmik uniwersytecki sprawował najwyższą władzę, stanowił realne źródło decyzji, wydawał naukowe ekspertyzy w imieniu uniwersytetu itd. Rektor w XIV wieku miał raczej honorowe przewodnictwo uczelni; kontrolował też na przykład handel pergaminem i dysponował niektórymi dochodami uniwersytetu.

Przypomnijmy: cechą uczelni paryskiej jest to, że rządy sprawują tam profesorowie. Rektor całego studium, dziekan fakultetu – to organy władzy, reprezentujące cech profesorski, korporację mistrzów. Studenci głosu nie mają, przeciwnie – trzymani są bardzo krótko.

Uniwersytet paryski i kontrola „z góry”

Ale czy rzeczywiście profesorowie suwerennie decydują o wszystkich sprawach uczelni paryskiej? Taki pogląd byłby niesłuszny, gdyż od samego początku paryskie studium kontrolowały władze wyższe. Autonomię uniwersytetu ograniczały tu interwencje „z góry”.

Nie była to kontrola królewska. Uniwersytet paryski nosił piękną nazwę ukochanej córki króla. Ale królowie w XII i XIII wieku nie sprawowali surowej władzy ojcowskiej. Dopiero na początku XIV wieku konflikt Filipa Pięknego z papieżem spowodował wzmocnienie nadzoru królewskiego nad uniwersytetem: między innymi skłoniono wówczas doktorów paryskich do wydawania opinii naukowych zgodnych z wolą króla, a sprzecznych z polityką papieża.

Przed owym konfliktem podstawę stosunków uczelni z władzą świecką stanowiły przywileje królewskie – nieznane dziś bliżej, wydane przez Ludwika VII w XII wieku oraz przywileje Filipa II Augusta z roku 1200. Sens ich był jednoznaczny. Nie chodziło o kontrolę królewską nad uniwersytetem, ale o gwarancję autonomii uniwersyteckiej w stosunkach z władzami miejskimi stolicy Francji. Między studentami paryskimi a policją miejską dochodziło do nieustannych zatargów. Po jednej z większych awantur, gdy scholarów pokrzywdzono, Filip August ukarał winnych mieszczan i zapewnił studentom ochronę przed podobnymi krzywdami. Ponadto król zaaprobował jurysdykcję duchowną nad uniwersytetem. Ważnie, które czasem

przeciwstawiały sobie uniwersytet paryski i władzę królewską, dotyczyły w XIII wieku głównie nieszanowania tych przywilejów, niedostatecznej ochrony uczelni przed agresywnością mieszczan. Taki był na przykład charakter wielkiego sporu uczelni z królową Blanką w roku 1229, który spowodował jedną z największych migracji studenckich z Paryża do innych miast.

Kontrola „z góry” nad uniwersytetem – to kontrola kościelna. Studium teologii w Paryżu miało znaczenie międzynarodowe, a nie lokalne, jak w poszczególnych szkołach biskupich i klasztornych. Paryż dawał najwyższe, najpełniejsze wykształcenie teologiczne w skali całego Kościoła zachodniego. Nawet z samej stolicy papieskiej, z Rzymu, przyjeżdżali do Paryża duchowni po naukę teologii. Konsekwencją takiej roli uczelni paryskiej był papieski nadzór. Im większy autorytet zdobywał Paryż jako ośrodek nauki kościelnej, tym ściślej kuratelę rozciągał Kościół nad uniwersytetem.

Już w XII wieku papież Aleksander III regulował różne sprawy uczelni paryskiej swymi ustawami, tzw. dekretami. Później owe dekretały, ingerujące w sprawy uczelni, mnożyły się coraz bardziej. Kontrolę kościelną nad uniwersytetem pełnili początkowo biskup paryski i kanclerz katedry paryskiej. Sąd biskupi sprawował jurysdykcję nad ludźmi uniwersytetu, kanclerz brał udział w zarządzie wewnętrznym uczelni. W początkach XIII wieku uniwersytet buntował się nieraz przeciw kanclerzowi, gdy ten powoływał profesorów bez zgody, a nawet wbrew woli innych mistrzów, gdy nie udzielał licencji na wykładanie mistrzom rekomendowanym przez uniwersytet, gdy wreszcie wymuszał od profesorów pieniądze (np. za nominacje). Zwłaszcza wydział *artium* był w nieustannej opozycji do kanclerskich rządów.

Ostatecznie w pierwszej połowie XIII wieku papież Grzegorz IX ograniczył władzę biskupa i kanclerza nad uniwersytetem paryskim, ale na korzyść własnej, papieskiej kontroli. Nadal jednak kanclerz formalnie dawał pozwolenie na promocje doktorskie, a sąd biskupi sprawował jurysdykcję nad uczelnią, choć nie sądził wszystkich spraw. W niektórych przypadkach rozstrzygał tylko sąd papieski, a w drobnych kwestiach dyscypliny studiów wyroki wydawały władze uniwersyteckie.

Ustrój paryski w Anglii

Dość podobnie ukształtował się w XII–XIII wieku ustrój uniwersytetów w Oksfordzie i Cambridge. Przywileje królewskie i tu dotyczyły przede wszystkim autonomii uczelni wobec władz miejskich i zabezpieczenia przed krzywdami, jakie profesorom lub zwłaszcza studentom mogliby wyrządzić mieszczanie. Przywileje króla Henryka III poszły jeszcze dalej: przyznały władzy uniwersyteckiej Oksfordu prawo sądzenia mieszczan, którzy skrzywdziliby ciężko któregoś z członków uniwersytetu. Uniwersytet oksfordzki zdobył tak szerokie przywileje, wykorzystując ciężką sytuację króla Henryka III, który nieustannie mając jakieś kłopoty ze swoimi baronami, szukał gdzie mógł sprzymierzeńców w tym konflikcie.

W porównaniu z Paryżem uczelnie angielskie miały większą swobodę, choć nadzór Kościoła stanowił zasadę. Tu także papież nadawali bezpośrednio przywileje określające strukturę uniwersytetu. Ale w Paryżu ingerencja papieska była nader silna, stała i skuteczna, w Anglii natomiast papież powierzył kontrolę nad uczelniami miejscowym władzom kościelnym. Jednakże ani Oksford, ani Cambridge nie były nawet siedzibami biskupów; biskup Lincolnu i biskup Ely, którzy mieli nadzorować oba uniwersytety, znajdowali się daleko, papież – jeszcze dalej. Praktycznie funkcje zarządu sprawowali kanclerze jako reprezentanci biskupów. Dość duża niezależność uczelni angielskich wynikała stąd, że kanclerze należeli często do grona uczonych. Tak więc w Oksfordzie kanclerzami byli między innymi świetni filozofowie: Robert Grosseteste, Tomasz Chanteloup, Edmund z Canterbury. O obsadzie kanclerskiego stanowiska faktycznie decydowali profesorowie i choć formalnie kanclerz reprezentował biskupa, w istocie solidaryzował się najczęściej z uniwersytetem i bronił jego interesów. Na uczelniach angielskich nie było rektora. Funkcje rektorskie spełniał właśnie kanclerz, a pomagali mu dwaj wybierani prokuratorzy, zwani niekiedy rektorami.

Podobnie jak w Paryżu, wszystkie sprawy zarządu uczelnią rozstrzygali profesorowie. Władze uniwersyteckie – kanclerz, prokuratorzy – reprezentowały interesy, poglądy, autorytet doktorów.

Ten ustrój paryski, gdzie (przy nadzorze z zewnątrz) główną figu-

nię uniwersytetu jest profesor, łatwiej dziś zrozumieć, niż ustrój boloński, egzotyczny i bardzo ciekawy. Jest w nim coś niepowtarzalnego, typowego tylko dla średniowiecza.

Bolonia – dyktatura studencka

Cech studentów, który był podstawą organizacyjną studium bolońskiego, wzorował się na organizacji komuny miejskiej i jej korporacji zawodowych. Przewaga studentów w Bolonii ukształtowała się nie od razu. Pierwszy przywilej, jaki otrzymało studium bolońskie – to konstytucja cesarza Fryderyka I Barbarossy z roku 1158 *Habita*. Otóż ta konstytucja adresowana jest i do profesorów i do studentów. Sądownictwo nad studentami przyznaje *Habita* właśnie profesorom (i biskupowi bolońskiemu, bo tylko ten mógł sądzić studentów-duchownych). Inicjatywa wydania ustawy wyszła również od profesorów, nie od studentów. A więc w połowie XII wieku nie ma jeszcze tej przewagi studentów, która stała się potem cechą charakterystyczną szkoły bolońskiej.

Owa przewaga ukształtowała się zapewne u schyłku XII wieku. Umarł wówczas protektor studium bolońskiego, Fryderyk I. Jednocześnie profesorom bolońskim narzucono kontrolę komuny miejskiej. Od 1189 roku mistrzowie studium bolońskiego musieli składać przysięgę władzom miejskim, że będą wykładać tylko w Bolonii, że nie przeniosą się do konkurencyjnego miasta, że nie skorzystają ze skutecznego środka nacisku, jakim była możliwość migracji. Zmuszenie ich do takich zobowiązań świadczy wyraźnie, jak wielką wagę przykładało miasto do uniwersytetu. To zresztą zrozumiałe: napływ studentów z całej Europy był źródłem bogactwa i autorytetu mało przedtem znanej Bolonii. Władze miejskie pragnęły eksploatować tę złotą żyłę, jaką był sławny uniwersytet. Skoro raz już wymuszono taką przysięgę od profesorów, łatwo było potem narzucić im inne formy zależności i kontroli. Nakładano więc na mistrzów bolońskich podatki miejskie, wciągano ich do służby w urzędach i sądach komuny, zobowiązywano do lojalności wobec władz komunalnych.

Prawdopodobnie ta sytuacja, która nie podobala się studentom,

przyspieszyła ukształtowanie odrębnego cechu studenckiego. Dawne więzy wspólnego frontu mistrzów i słuchaczy, skierowanego przeciw pretensjom mieszczańskim*, znacznie osłabły. Ramę organizacyjną studium bolońskiego stanowiły poprzednio dość luźne zespoły, w których studenci związani byli z mistrzami umową o naukę i występowali jako „towarzysze” (*socii*) doktorów. Teraz powstała *universitas scholarium* – cech studentów. Komuna bolońska mimo profesorskich protestów nie zareagowała stanowczo, bojąc się utracić przychylność młodzieży studenckiej. W XIII wieku statuty komuny uznały już wyrażnie egzystencję cechu studenckiego, jego przewagę nad profesorami, jego autonomiczne władze. Związki studenckie (nacje) uzyskały decydujący wpływ na rządy uniwersytetem, na powoływanie jego władz. Wytyczną polityki miasta wobec uniwersytetu była w XIII wieku zasada: nie zniechęcać studentów. Przyznawano im szerokie przywileje ekonomiczne i prestiżowe, ułatwiano studia i warunki życia w Bolonii. Takie postępowanie umacniało przewagę studentów nad profesorami.

Także i papieża wykorzystali studenci bolońscy dla zagwarantowania swego uprzywilejowanego stanowiska. Kiedy powstawały jakieś nieporozumienia między studentami a miastem, papież na prośbę studenckich władz popierali *universitas scholarium*. Oczywiście, popierali nie za darmo: próbowali zarazem rozciągnąć kontrolę nad studium bolońskim. Symbolem tego nadzoru stało się przyznanie w 1219 roku archidiakonowi bolońskiemu prawa promowania doktorów tamtejszego uniwersytetu. Ale kontrola kościelna nigdy nie stała się bardzo uciążliwa. Studium bolońskie zachowało swój świecki charakter; władza archidiakona była w Bolonii nieporównanie mniejsza niż władza kanclerza czy biskupa nad uczelniami typu paryskiego.

Układ stosunków między studentami, mistrzami, komuną i papieżem był tego rodzaju, że wszystko sprzyjało umocnieniu przewagi cechu studenckiego. Profesorowie żyli w zasadzie z honorariów

* Ślady konfliktów między uniwersytetem i mieszczaństwem bolońskim odnaleźć można w treści przywilejów Fryderyka I z 1158 roku. Cesarz dał wówczas uczelni gwarancje niezależności wobec miasta, a także zniósł niektóre zwyczaje, narzucane przez miasto ludziom uniwersytetu. Szerzej o tym będzie mowa w następnym rozdziale.

pobieranych od słuchaczy. Istniała między nimi ostra rywalizacja o studentów. Wolna konkurencja stawiała uczniów w uprzywilejowanej sytuacji wobec mistrzów. Profesorowie bolońscy musieli zaprzysięgać posłuszeństwo organizacji studenckiej i wybranym przez nią władzom. Stawiało to profesorów w trudnej, a niekiedy wręcz upokarzającej sytuacji.

Ostatecznie ustrój boloński ukształtował się następująco: w ręku profesorów pozostało tylko nauczanie i egzaminy, wszelkie sprawy związane z zarządem uczelni należały do studentów.

Symbol potęgi studentów na uczelni bolońskiej stanowiła władza rektora. Rektor był niezależny od władz miejskich i od profesorów; więcej nawet, sprawował jurysdykcję dyscyplinarną nad profesorami, mógł nakładać na nich ostre kary porządkowe, wydawał im pozwolenia na wyjazdy z miasta, na opuszczenie jakiegoś wykładu itd. Na uniwersytecie rektor miał pierwszy krok przed innymi władzami; choćby nawet kardynał przyjechał do Bolonii i brał udział w uroczystości uniwersyteckiej, to i on szedł za rektorem. A przecież ten rektor, noszący tytuł „najgodniejszego” (*dignissimus*)*, prawdziwy księżę uniwersytetu (*princeps universitatis*), był... studentem.

Rektora bolońskiego wybierano najpierw pośrednio, przez władze nacji studenckich, potem – w XIII wieku – wybierali go wszyscy studenci uniwersytetu na ogólnym zgromadzeniu. Wyboru dokonywano na jeden rok, 1 maja; wyborcy-studenci gromadzili się w bolońskim kościele San Procolo. Wedle statutów z początku XIV wieku rektor musiał być kawalerem, mieć przynajmniej 25 lat i 5 lat studiów za sobą. Przepisy wymagały, aby był sprawiedliwy i zrównoważony (*iustus et quietus*). Wybierano na rektora starszych studentów, którzy wyróżniali się energią, popularnością wśród kolegów, a przede wszystkim bogactwem, koszty sprawowania urzędu były bowiem niemałe, a środków na to rektor nie dostawał od uniwersytetu. Akta miejskie pokazują, że rektorzy często zapożyczali się u bankierów, aby sprostać wydatkom związanym ze swoim urzędem.

Do roku 1265 rektorem bywał z reguły przedstawiciel jednej z pięciu największych nacji (mowa tu o uniwersytecie ultramontanów).

* Tytuł *magnificus* (wspaniały) datuje się dopiero od XV wieku

Potem mniejsze nacje wymusiły reformę systemu. Odtąd rektora wybierano wedle zawitych reguł kolejności, które miały zapewnić także mniejszym grupom wpływ na wybory.

Wybór nowego rektora połączony był z wielkimi uroczystościami uniwersyteckimi. Rektor przysięgał szanować statuty uniwersytetu, ale odbierał też przysięgę od profesorów. Do jego uprawnień i obowiązków należało układanie rozkładu zajęć w porozumieniu z mistrzami, zarządzanie przerw wakacyjnych, wydawanie pozwoleń na przerwy w wykładach. Rektor uzgadniał sposoby regulowania honorariów profesorskich i był arbitrem w nierzadkich sporach finansowych między studenterią a doktorami. W określone dni sprawował jurysdykcję nad studentami w drobniejszych sprawach cywilnych i karnych. Nakładał też kary dyscyplinarne na profesorów. Sprawował nadzór nad poprawnością ksiąg kopiowanych i sprzedawanych w Bolonii. Reprezentował wreszcie uniwersytet na zewnątrz. Rektor miał w każdej chwili wolny dostęp do wszystkich władz miejskich. Tylko on i jego świta nie podlegali zakazowi posiadania broni, który obejmował powszechnie studentów. Rektor i jego świta mogli nosić broń obronną i zaczepną, tak w Bolonii, jak również poza jej granicami.

Wśród charakterystycznych przepisów o tym urzędzie warto wymienić jeszcze dwa. Oto rektor boloński nie powinien być zakonnikiem. Śluby zakonne i wynikające z nich obowiązki wobec zakonu (posłuszeństwo przełożonym) mogły się bowiem okazać sprzeczne ze zobowiązaniami rektora wobec uniwersytetu. Jak wysoko ceniono godność rektorską, świadczy jeden z przepisów statutów uniwersytetu w Leridzie, który przyjął ustrój boloński. Otóż dla podkreślenia powagi tego urzędu postanowiono, że były rektor nigdy nie będzie składał przysięgi nowemu rektorowi razem z innymi studentami.

W sprawach uniwersyteckich rektor był tylko w jednym punkcie ograniczony przepisami miejskimi: od początku XIII wieku przyjęto, iż rektor nie ma prawa popierać secesji studentów do innego miasta.

Poza rektorem studenci obsadzali jeszcze inne funkcje uniwersyteckie. A więc przede wszystkim urzędy radców (*consilarii*), którzy pomagali rektorowi w bezpośrednim zarządzaniu, a których wybierały studenckie nacje. Od końca XIII wieku powoływano w Bolonii

także dwóch syndyków; spełniali oni funkcje komisji rewizyjnej, badającej prawidłowość zarządu rektorskiego. Co 10 lat wreszcie zwoływano ośmioosobową komisję, której członków zwano statutarii. Jej zadaniem było przeglądanie statutów i modernizacja przepisów.

Rektor miał ponadto do pomocy urzędników. Massarius uniwersytetu prowadził kasę, rachunki i rejestry. Adwokat bronił interesów studenckich przed sądami komuny miejskiej. Notariusz spisywał wyroki sądu rektorskiego, prowadził oficjalną korespondencję, protokoły zebrań, przechowywał dyplomy i kopiował statuty. Ważną rolę spełniali tzw. *bidelli* – *pedlowie*. Spośród nich właśnie rekrutowano świtę rektorską na uroczystości uniwersyteckie. Pedlowie wykonywali wiele czynności porządkowych: ogłaszali rozkazy rektora, pilnowali pomocy naukowych, sprząтали sale wynajęte na wykłady, w zimie dostarczali słomy, którą rozkładano pod nogami słuchaczy itd.

Cechą charakterystyczną uczelni bolońskiej było to, że w ramach jednego *studium generale* istniało kilka uniwersytetów. Każdy z nich posiadał odrębną organizację: z własnym rektorem, z ogólnymi zgromadzeniami studentów, nacjami, urzędnikami technicznymi. Najpierw ukształtował się podział na dwa uniwersytety prawnicze. Jeden grupował studentów-Włochów (*citramontanów*), drugi studentów z zagranicy (*ultramontanów*). Podział ten zarysował się już w konstytucji Fryderyka I z 1158 roku, gdzie odmienne przywileje przyznano studentom miejscowym i studentom zagranicznym (*scolares forenses*). Już u schyłku XII wieku istniały w Bolonii te dwa uniwersytety prawnicze.

W ciągu XIII stulecia uformował się jeszcze trzeci uniwersytet: dla studentów *artium*. Ci ostatni początkowo musieli się zapisywać do jednego z dwóch uniwersytetów prawniczych i zajmowali tam pozycję mocno podrzędną, nie mieli na przykład prawa uczestniczenia w wyborach rektora. Jednakże w wieku XIII sytuacja powoli się zmieniała. Studenci i profesorowie sztuk wyzwolonych korzystali ze sławy, jaką w świecie zdobyło bolońskie studium prawa. Do Bolonii ściągali coraz liczniej mistrzowie i słuchacze medycyny, filozofii, klasycznych artes, takich jak gramatyka i retoryka. Wzrost liczby studentów *artium* i postępy specjalizacji zrodziły potrzebę stworzenia osobnego uniwersytetu „artystów”.

Prawnicy byli bardzo niechętni temu awansowi sztuk wyzwolonych. Twierdzili, że *artes* – to zlepek różnych dziedzin wiedzy i różnych metod. Jednakże te opory i protesty prawnicze były bezskuteczne. Już przed 1220 rokiem istniał w Bolonii trzeci uniwersytet; świadczy o tym wybór osobnego rektora dla medyków i innych artystów. W początkach XIV wieku wzmocnił on do tego stopnia swoją pozycję, że opory prawników stały się bezprzedmiotowe. Odtąd uniwersytet *artium* występować zaczął solidarnie z dwoma uniwersytetami prawniczymi w obronie praw bolońskiej uczelni.

Uniwersytet artystów miał własną organizację, o tyle odmienną, że nie było tu podziału na *ultramontanów* i *citramontanów*. Była to uczelnia wspólna dla wszystkich studentów sztuk, tak Włochów, jak i cudzoziemców. Miała własnego rektora, urzędników i zgromadzenia studenckie, własny podział na nacje. W XIV wieku dobiła się zupełnej równości praw ze starszymi uniwersytetami prawniczymi.

Najważniejszą grupę, która zdobyła sobie przewagę w uniwersytecie artystów, stanowili studenci medycyny. Nie było jednak osobnych organizacji (fakultetów) dla sztuk wyzwolonych i dla medyków. Takie cztery wydziały, jakie ukształtował uniwersytet paryski, nie istniały w Bolonii. Owszem, doktorzy poszczególnych specjalności zbierali się i naradzali wspólnie nad sprawami nauczania, egzaminami, promocjami, ale ramą organizacyjną bolońskiego studium generale były uniwersytety: prawników-Włochów, prawników-obcokrajowców i artystów (włącznie z medycyną). Podobnie przedstawiała się organizacja innych uczelni, które przyjęły wzór boloński. Na przykład w Montpellier działały dwa uniwersytety. Jeden, starszy – to uniwersytet medyków, drugi – to uniwersytet prawników, do którego należeli także studenci *artium*, a później i teologowie.

Ile by nie było tych uniwersytetów i jakie by nie były różnice ustrojowe między nimi – wszędzie, gdzie uczelnia przyjęła ustrój Bolonii, uniwersytet był cechem studentów. Oni wybierali swoje władze, oni decydowali o sprawach organizacyjnych. Profesorom zostawiano tylko troskę o nauczanie.

Ta egzotyczna i niepowtarzalna struktura organizacyjna, jaką wytworzyła Bolonia, zaczęła jednak tracić na znaczeniu już w wieku XIV. Nastąpiło to z chwilą, gdy państwo (jak w Hiszpanii) lub mia-

sto (jak w Bolonii) przyznało profesorom stałe pobory. Odtąd zniknęła wolna konkurencja między profesorami i ich zależność finansowa od studenckich honorariów, która była podstawową przyczyną przewagi studenta nad profesorem. Ustrój klasycznego uniwersytetu studenckiego zaczyna powoli zmieniać swój kształt i swą treść. Pozycja mistrza wzmacnia się, a uniwersytecka autonomia ulega ograniczeniu na korzyść władzy (kościelnej, miejskiej czy państwowej) opłacającej działalność profesorów. Ale to już inny okres historyczny.

STUDENCI

Długa droga do wiedzy

W trochę pompatycznym, kancelaryjnym stylu konstytucja „Habita” Fryderyka Barbarossy powiada, że studenci dobrowolnie skazali się na wygnanie z ojczyzny, aby zdobyć wiedzę, i jak pielgrzymi wędrują po świecie w imię najwyższych wartości duchowych (jest w tym zapewne aluzja do krzyżowców i wypraw krzyżowych). Dlatego Fryderyk gwarantuje im przywilej wolnego przejazdu (wolnego od ceł, myt, blokad itp.), a Bolończykom – przywilej był wydany dla bolońskiej szkoły prawa – nakazuje szanować studentów i przyjmować ich z otwartym sercem.

W ślad za tym pierwszym przywilejem posypały się dalsze, wydane przez monarchów, papieży, biskupów. Gwarantowały one studentom wolny przejazd; niejeden klasztor dawał im bezpłatne utrzymanie w czasie drogi i służył darmową kwaterą. Wędrujący student mógł prosić o gościnę; było to zgodne ze studencką etykietą i bynajmniej nie przynosiło dyshonoru. Ten obyczaj i fakt, że przeważnie studentom nie odmawiano, stał się zresztą przyczyną dość powszechnych nadużyć. Wielu ludzi – niekoniecznie bardzo młodych – wędrowało po świecie, podając się za studentów. Tak powstała liczna grupa wagantów-studentów, trochę gawędziarzy, trochę muzykantów, trochę sztukmistrzów. Stanowią oni ciekawy i malowniczy margines życia uniwersyteckiego, ale to już zupełnie inna historia.

Mimo ułatwień i przywilejów podróże studentów po naukę nie zawsze były drogą usłaną różami. Aby z krajów „ultramontańskich”, tj. położonych za górami, dotrzeć do uniwersytetów włoskich, należało przebyć niebezpieczne Alpy, gdzie na uczęszczanych przełęczach

bandyci złupili niejednego studenta. Zachowały się listy takich obrabowanych scholarów, pisane do rodziców i krewnych z nagłącymi wezwaniami o pomoc. Dowiadujemy się z nich, że rozbójnicy zabierali nie tylko pieniądze i konie, ale także ubranie i książki, te ostatnie zapewne nie po to, aby sobie poczytać; książka była w XII i XIII wieku przedmiotem o wysokiej wartości handlowej. Ograbionego studenta puszczano nieraz w jednej koszuli: znamy tę technikę rozboju choćby z *Dekameronu* Boccaccia. Jeden z poszkodowanych studentów żali się w liście do krewnych, że utrzymuje się z żebraniny, z wielkim wstydem dla siebie i dla całej familii. Oczywiście zbójcy rabowali przede wszystkim studentów z dobrych rodzin, bogato wyposażonych; dla nich żebranina była plamą na szlacheckim honorze. Ciekawe, że nie uważano za dyshonor uprawiania rozboju na drodze publicznej: wielu włoskich rycerzy dorobiło się niezłej fortuny, stosując ten proceder. Ci raubritterzy nie gardzili także grabieniem studentów w gęstych lasach pod Bolonią.

Wszystkie te grożące nieprzyjemności były przyczyną powstania popularnego zwyczaju jeżdżenia na studia całą kompanią ziomków: tak było i weselej, i bezpieczniej. Statuty uniwersyteckie z reguły zabraniały studentom noszenia broni, ale wyjątek od tej reguły robiono dla studentów wyruszających w daleką podróż albo wracających z drogi.

Jazda z odleglejszych krajów do Paryża czy Bolonii trwała długo, całe tygodnie, bo konno robiono nie więcej niż 40 kilometrów dziennie. Po przybyciu młody adept wiedzy był zapewne nieco oszołomiony: dzielnice uniwersyteckie Paryża, Bolonii, Oksfordu były prawdziwą wieżą Babel języków, narzeczy, obyczajów. Na szczęście istniał doskonały zwyczaj, zgodnie z którym krajanie pochodzący z tej samej okolicy pomagali przybyszowi urządzić się, a przede wszystkim znaleźć mieszkanie, zapisać się na wykłady i do studenckiej organizacji. Miejsce zamieszkania często zmieniano, zmieniali się także profesorowie wykładający (kontakt z określonym mistrzem zacieśniał się dopiero pod koniec studiów). Najbardziej trwałym powiązaniem była przynależność do związku studenckiego – nacji. Wspominaliśmy już o roli studenckich nacji w ustroju uniwersytetów: wyjaśnić też warto ich rolę w życiu zwykłego studenta.

Związki ziomkowskie studentów: nacje

Jest rzeczą zrozumiałą, że na obcym terenie studenci szukali kontaktów przede wszystkim z kolegami mówiącymi tym samym językiem, a nawet – tym samym narzeczem. We wcześniejszym okresie dziejów uniwersytetu nacja nie spełniała w zasadzie żadnej roli politycznej. Stanowiła po prostu zrzeszenie ziomków (w źródłach obok pojęcia *natio* pojawia się niekiedy równoważne pojęcie *vicinia*, tj. związek sąsiedzki). Nacje powstawały na uniwersytetach o znaczeniu międzynarodowym. Tak było przede wszystkim w Paryżu, gdzie filozofię, teologię i prawo kanoniczne studiowali Francuzi, Anglicy, Niemcy, Włosi, Irlandczycy, Szkoci, Polacy, Czesi, Węgrzy, Grecy, Skandynawowie. Na początku XIV wieku Paryż skupiał zapewne około 5–6 tysięcy studentów. Nieco tylko mniej rozległy był zasięg promieniowania Oksfordu (do 3 tysięcy studentów w XIV wieku). W Bolonii już na przełomie XII i XIII wieku około tysiąca słuchaczy – przybyłych dosłownie z całej Europy – studiowało prawo*. W XIV wieku Bolonia liczyła zapewne do 7 tysięcy słuchaczy. Prawdopodobnie liczba zagranicznych studentów prawa przewyższała tu mniej więcej dwukrotnie liczbę studentów-Włochów. Jednakże tylko ośrodki o wielkiej renomie przyciągały studentów z różnych krajów. Byli więc jeszcze obcokrajowcy na medycynie w Salerno i Montpellier, na prawie w Orleanie. Ale na przykład w starożytnym studium bolońskim tylko prawo miało taką międzynarodową sławę; wśród bolońskich filozofów i medyków nie było prawie wcale studentów zagranicznych, bo kierunki te nie miały znakomitej opinii u współczesnych.

Pierwsze związki ziomkowskie, dość luźne, bez stałej organizacji, istniały w Paryżu już około połowy XII wieku. W tym samym czasie zaczynały się kształtować nacje bolońskie. Zdaje się o tym świadczyć poemat tzw. Anonima z Bergamo, opisujący audiencję, udzieloną przez cesarza Fryderyka I doktorom bolońskim podczas pobytu cesarza w Italii w 1155 roku. Przedstawiciel uczonych chwalił przed Frydery-

* Podawana często liczba 10 tysięcy studentów na ówczesnym studium prawniczym w Bolonii jest nieporozumieniem, wynikłym z błędnego odczytania rękopiśmiennego tekstu bolońskiego doktora Odofreda. Pomyłkę tę sprostowali jeszcze w ubiegłym stuleciu N. Tamassia i A. Luschin von Ebengreuth.

kiem zalety miasta i przychyłność komuny miejskiej. Zgłosił tylko jeden zarzut: oto czasem mieszczanie bolońscy molestują studentów o zapłatę długów, nie uregulowanych przez ich ziomka (*vicinus*). Fryderyk uznał słuszność skargi i postanowił, że odtąd nikt nie ma obowiązku płacić długów za kolegę.

Ta historia wskazywałaby na to, że już w połowie XII wieku istniały w Bolonii jakieś formy związków ziomkowskich. Wiek XIII przyniósł tu wielki rozkwit nacji, tak włoskich, jak i zagranicznych. Liczba nacji włoskich była nieznaczna i zmienna (na ogół trzy–cztery*), podczas gdy nacji zagranicznych było kilkanaście (w roku 1265 – trzynaście). Najstarsza nacja, niemiecka (*natio Teutonicorum*), powstała jeszcze w XIII wieku. Obok niej osobne nacje tworzyli Francuzi (nie byli to mieszkańcy całej Francji, lecz tylko jednej prowincji Ile-de-France), Prowansalczyki, Pikardowie, Burgundowie, Normanowie, mieszkańcy prowincji Poitou, prowincji Tours, prowincji Maine, Katalończycy, Hiszpanie, Anglicy, Węgrzy, Polacy. Jak widać, podział na nacje nie pokrywał się z podziałem na wielkie grupy narodowe; osobne nacje miały liczne prowincje francuskie.

W trzynastowiecznym Paryżu istniały cztery wielkie nacje: Pikardów, Normanów, Francuzów i Anglików. W Oksfordzie powstały tylko dwie nacje: północna i południowa.

Cóż jednak miał robić student, należący do mniej licznej grupy narodowej, która nie tworzyła na uniwersytecie własnej nacji? Były to wypadki dość częste, ale rozstrzygano je prosto: student taki zgłaszał się do nacji geograficznie najbliższej jego ojczyźnie. Na tej zasadzie do nacji niemieckiej w Bolonii należeli na przykład Duńczycy i Czesi, Fryzowie i Skandynawowie. W Paryżu do nacji francuskiej przyjmowano też Hiszpanów, Włochów, Greków, a do nacji angielskiej – Niemców, Irlandczyków, Polaków, Skandynawów. Niekiedy taka mniejszość narodowa w obrębie nacji stawała się grupą dominującą. Gdy Anglicy zaczęli mniej licznie jeździć do Paryża, mając już poważne ośrodki naukowe we własnym kraju (Oksford, Cambridge), przewagę w nacji angielskiej zdobyli Niemcy i odtąd oni nadawali nazwę nacji: *natio Teutonicorum*.

* Nacje mieszkańców Romanii, Kampanii, Toskany i Lombardii.

Wysoka rola nacji w systemie bolońskim była przyczyną sporów o pierwszeństwo. Nacje miały swoją hierarchię ważności, której kryterium stanowiła liczebność. Dlatego też zdarzały się spory o przynależność; zmuszano studentów należących do mniejszych grup narodowych, aby porzucili nację, do której się już zapisali, i zgłosili się do innej. Powstawanie tych konfliktów i „kaperowanie” członków ułatwiały chwiejne kryteria przynależności. W zasadzie o przynależności do nacji decydowało pochodzenie studenta z określonego kraju i prowincji, a nie ostatecznie miejsce zamieszkania jego lub jego rodziców. Ale granice prowincji były płynne, a mniejsze grupy narodowe nie mające własnej nacji mogły się wahać w wyborze.

Za sporami o liczebność i miejsce w uniwersyteckiej hierarchii kryły się nie tylko ambicje i próżność. Nie chodziło wyłącznie o tzw. preseanse, o pierwsze miejsce w pochodach. Najsilniejsze i hierarchicznie najwyżej stojące nacje miały w systemie bolońskim realny wpływ na rządy poprzez wybór rektora.

Jak funkcjonowała nacja: bolońska natio Teutonicorum

Wzorem dla nacji uniwersyteckiej, naśladowanym także w praktycznej działalności, były instytucje mieszczańskie: korporacje cechowe, gildie kupieckie. Zasięg działania nacji najlepiej można pokazać na przykładzie jednej z najstarszych – nacji niemieckiej uniwersytetu bolońskiego.

Nacja ta – podobnie jak wiele innych, większych liczebnie – była podzielona na prowincje (Szwabia, Bawaria, Frankonia, Saksonia). Prowincje wybierały elektorów, a ci z kolei najwyższą władzę nacji – dwóch prokuratorów, którzy zajmowali eksponowane stanowisko: wraz z rektorem i prokuratorami innych nacji zarządzili całym uniwersytetem. Nacja miała własnego kapelana, notariusza, a nawet medyka. Miała własne statuty, a także rzecz szczególnie ważną – własną kasę.

Prokuratorzy, wybierani na jeden rok spośród członków nacji, którzy ukończyli lat 20, zwoływali ogólne jej zebrania, zazwyczaj w określonym tradycją kościele. Odpowiadali też za gospodarowanie

kasą nacji. Źródłem dochodów było przede wszystkim wpisowe, które opłacali wszyscy nowo przyjmowani członkowie. Do kasy wpływały też zapisy i legaty dawnych studentów, którzy dorobiwszy się fortuny nie zapominali o swej organizacji uniwersyteckiej, oraz egzaminacyjne opłaty od studentów. Ważnym źródłem dochodu były wreszcie grzywny za drobniejsze wybryki.

Wydatki szły na bardzo różnorodne cele. Jednym z zadań nacji było „pocieszanie chorych i wsparcie dla potrzebujących” (*infirmorum consolatio et egenorum subsidium*). Pokrywano też koszty pogrzebu zmarłych członków nacji. Ta strona działalności związku studenckiego nawiązuje wyraźnie do tradycyjnych form działania korporacji mieszczańskich.

Ale były też dość szczególne pozycje w budżecie nacji średniowiecznej. Oto z kasy związku pokrywano koszty wstawienia szyb zbitych przez studentów (*pro vitris fractis*). Często spotykaną pozycję stanowiły kaucje za wypuszczenie studentów uwięzionych przez władze miejskie.

Dość powszechnie respektowano zasadę, że członek nacji nie powinien skarżyć sądownie swojego krajana. Nacja niemiecka w Bolonii przewidziała nawet karę grzywny za takie naruszenie lojalności ziomkowskiej. Dlatego w programie działania nacji znalazło się likwidowanie sporów (*rancoris extirpatio*) przez arbitraż wewnętrzny. Zwykle arbitrem był prokurator nacji, ale zdarzały się też arbitraże studenckie; powoływano w tym celu sąd arbitrów, w którym udział brali trzej członkowie związku. Zwykle jeden arbiter bronił interesów jednej strony, a drugi – strony przeciwnej; trzeci sędzia był niezainteresowany i od niego zazwyczaj zależał wynik rozprawy.

Nacja interweniowała także w wypadku, gdy jej członek chyłkiem porzucił miasto uniwersyteckie, nie płacąc swoich długów. Był to widocznie nierzadki obyczaj, skoro wytworzyły się tradycyjne reguły postępowania wobec zbiega. Nacja nie płaciła długów niesolidnego członka związku; wspomnieliśmy już o przywileju Fryderyka I w tym przedmiocie. A jednak związki studenckie w jakiś sposób uznawały, że niesolidność jednego plami wszystkich, bo interweniowały, i to nader energicznie. Wysyłano więc oficjalne pisma z pieczęcią nacji, denuncjujące niesumiennego dłużnika przed władzami, któ-

rym podlegał, a więc przed biskupem, jeśli był to kleryk, przed władzami komuny miejskiej, jeśli oszustwem był mieszczanin itd. Takie same listy wysyłano do rodziców lub krewnych zbiega. Wreszcie skreślano oszusta z metryki członków nacji, co przynosiło wielki dyszonor i ujmę studenckiej czci.

Nacja obchodziła bardzo uroczyście święto swojego patrona (patronką Niemców bolońskich była św. Katarzyna). Takie święto „narodowe” było wielkim spotkaniem towarzyskim i okazją do rozluźnienia surowych regulaminów uniwersyteckich.

Małe grupy studenckie: więź społeczna na co dzień

Jak widać, nacja bardzo silnie wiązała swoich członków na różnych płaszczyznach studenckiego życia. A jednak to nie ona grała główną rolę na co dzień. Związki ziomkowskie – zbyt liczne – nie mogły być ramą dla stałej, powszedniej aktywności studenckiej. Do nacji niemieckiej w Bolonii należało stu kilkudziesięciu, okresami nawet około dwustu członków. Ponadto grupowali się w nacjach ludzie dorośli – studiumujący prawo urzędnicy państwowi, studiumujący teologię czy „kanony” księża, a obok nich zupełne gołowąsy. Byli wśród członków nacji ludzie bardzo bogaci, synowie rodzin hrabiowskich, a nawet monarszych, i byli studenci z drobnomieszczańskiego pospólstwa. Księża, a zwłaszcza zakonnicy, trzymali się zwykle na uboczu studenckiej działalności, nieraz przeciw frywolnej.

Tak więc codzienne studenckie życie toczyło się w niewielkich grupach, przeważnie krajanów, często współlokatorów z jednego hospicjum, oberży, kolegium. Grupy te można obserwować w aktach miejskich i sądowych; ich członkowie wzajemnie żyrowali sobie pożyczki, razem brali udział w bijatykach, razem też stawali przed sędzią cywilnym lub – co gorzej – karnym. Na ogół obowiązywały w nich dość ściśle separacje klasowe: tworzyły się odrębne klany arystokratyczne, szlacheckie, mieszczańskie, duchowne. Wielcy panowie mieli swoje „swity”, swoich „klientów”, których nie zawsze zwabiała nadzieja pieczeniarskich atrakcji. Snobizm także wówczas był ważnym czynnikiem w życiu społecznym; to on zapewne grupo-

wał w świtach książąt i hrabiów młodzież z bogatego mieszczaństwa. W źródłach wyraźnie występują owe grupy „klientelarne”, na przykład w aktach pożyczek, gdy żyrują wielkie sumy swemu „patronowi”, gdy razem z nim świadkują na różnych kontraktach itd.

Otrzęsiny beana

Zapisanie się w metryce nacji dawało młodemu adeptowi wiedzy silne oparcie na nowym terenie; czując grunt pod nogami i protekcję swego ziomkostwa, mógł spokojnie zaczynać akademicką karierę. Inaczej rzecz przedstawiała się na francuskim uniwersytecie. Tu początek życia studenckiego miał jeszcze pewną nieprzyjemną stronę – otrzęsiny. Nazywało się to niewinnie: *iocundus adventus* (wesoły początek, przybycie); w istocie było niezbyt przyjemne dla delikwenta. Uzasadniano ten zwyczaj różnie: mówiono, że trzeba nowicjusza-grubianina okrzesać, wytrząść z niego wiejską, parafiańską grubość obyczajów, niekiedy robiono aluzje do oczyszczenia go z grzechów, by godnie wszedł do studenckiego stanu. W każdym razie „nowy”, zanim wszedł do cywilizowanej, kulturalnej społeczności, musiał przestać być bejaunusem, beanem. Nazwa ta pochodzi z francuskiego *bec jaune* (żółtodziób); zdaje się, że obyczaj ten pierwotnie był typowo francuski, dopiero od XIV wieku upowszechnił się, zwłaszcza w środkowej Europie*. Władze uniwersytetu tolerowały go i próbowały tylko temperować zbytnią przedsiębiorczość studenckich weteranów w stosunku do fryców.

Otrzęsiny polegały na wymyślnym maltretowaniu nowicjusza, oblewaniu go wodą (symbol „oczyszczenia”), obrzucaniu wyzwiskami („ty brudny capie, ty durniu”). Ale najważniejszą częścią imprezy było wyciąganie od nowicjusza pieniędzy, które nieraz miały wystarczyć na długie tygodnie życia i studiowania. Paryskie statuty z pierwszej połowy XIV wieku nakazywały ograniczyć ceremonię do poczęstunku, i to tylko dobrowolnego, dla najbliższych kolegów beana –

* Obrzęd otrzęsin opisuje m.in. Jan Ptaśnik w *Życiu żaków krakowskich*, Warszawa 1957.

jego współmieszkańców z hospicjum czy kolegium. Co więcej, bean miał obowiązek zawiadamiać władze uniwersyteckie o wszelkich nadużyciach, których stał się ofiarą. Takie nakazy wielokrotnie powtarzano w późniejszych statutach. Istnieje na przykład piętnastowieczny przepis nie pozwalający prowadzić beana do gospody „jak owcę do rzeźnika” (*ut ovis ad occisionem*) i tam zmuszać go do fundy. Zdaje się jednak, że zarządzenia takie były niezbyt skuteczne; świadczy o tym częste ich powtarzanie w statutach.

Warunki przyjęcia na studia

Przyjęcie nowicjusza na studia uniwersyteckie nie stanowiło tak skomplikowanego proceduru jak dzisiaj. Konkurencja była mniejsza, liczba ludzi, którzy zdobyli średnie wykształcenie i mogli ponieść bardzo wysokie koszty wieloletnich studiów, była stosunkowo ograniczona. W pierwszych wiekach istnienia uniwersytetu kandydatom na studia nie stawiano sztywnych wymogów. Oczywiście z zasady studiowali tylko mężczyźni, ale i od tej reguły bywały wyjątki. Dopiero później utrwalił się zwyczaj, który przetrwał aż do końca ubiegłego wieku, że kobiety nie miały wstępu do audytorium. Nie tak to dawno, kiedy na uniwersytetach pojawiły się pierwsze studentki, a konserwatywni profesorowie dręczyli je złośliwymi pytaniami: „Proszę pana, dlaczego pan się przebrał za kobietę?”

We wczesnych dziejach uniwersytetu znajdujemy ślady kobiecej uczoności. Już w wieku XI bywały podobno studentki medycyny na studium w Salerno. Znamy nawet nazwisko jednej z tych średnio-wiecznych emancypantek, damy wysokiego rodu, siostry księcia Salerno Girulfa, Normandki z pochodzenia imieniem Sichelgaita. Tradycja twierdzi, że pani ta była wybitną znawczynią trucizn – ale może to tylko plotki. Również Heloiza, ukochana Abelarda, była tyle piękna, ile uczona. Wypadnie jeszcze wspomnieć o urodziwej córce wielkiego prawnika włoskiego z XIV wieku, Jana Andrzejowego, która podobno była tak biegła w prawie, że niekiedy zastępowała ojca w wykładzie. Ponieważ uroda młodej sawantki mogłaby rozpraszać uwagę studentów, pani profesor musiała wyklądać zza parawanu.

Aby podolać wyższym studiom teologicznym, prawniczym czy medycznym, trzeba było mieć wcale solidne, przygotowanie średnie. Nie kontrolowano go jakąś maturą, nie żądano od kandydata biurokratycznych formalności, niemniej jednak nieprzygotowani odpadali bardzo szybko. Przede wszystkim należało znać dobrze arkana uniwersalnego języka średniowiecznej uczoneości – łaciny. Wedle statutow z 1328 roku student paryski każdą sprawę musiał przedstawiać rektorowi wyłącznie po łacinie, nie wtrącając żadnych słów francuskich i nie korzystając z pośrednictwa kolegów*. Obcy studenci mogli spędzić na uczelni wiele lat i nie poznać języka kraju, w którym odbywali studia. Tak było z papieżem Janem XXII; studiował on w Paryżu i Orleanie, a mimo to bardzo słabo rozumiał język francuski. Kiedy w roku 1323 otrzymał list od króla francuskiego Karola IV, pisany w tym języku, musiał oddać go do tłumaczenia na łacinę.

Kandydat, pragnący studiować prawo, teologię lub medycynę, musiał dobrze sobie radzić z egzegezą niełatwych dzieł filozoficznych, traktatów medycznych i kodeksów prawnych. Jeśli nie znał łacińskiej gramatyki, nie rozumiał łaciny, nie opanował choćby rudymentów dialektycznego rozbioru tekstów – nie mógł nic skorzystać z wykładu teologii, prawa czy medycyny. Musiał więc mieć przygotowanie w tradycyjnych rozmiarach* wykształcenia *trivialnego*, a więc w gramatyce, dialektyce, retoryce. Mógł je zdobyć w jednej z licznych szkół katedralnych czy klasztornych swego własnego kraju i miasta, mógł też studiować sztuki wyzwolone na wydziale „artystów” upatrzonego uniwersytetu. Jednakże od studentów wstępujących na prawo, medycynę czy teologię nie wymagano ukończenia pełnego studium sztuk wyzwolonych, uwieńczonego uzyskaniem stopnia magistra *artium*. Natomiast zdobycie stopnia naukowego w teologii (magisterium, później doktorat), uzależniano od pełnego wykształcenia, na uniwersyteckim poziomie, w zakresie sztuk wyzwolonych. Często więc studenci teologii uzupełniali w trakcie nauki swe studia *artium liberalium*. Ale to była sytuacja szczególna: wyższe studia *artium* dawały przygotowanie filozoficzne, niezbędne dla pełnowarto-

* *Verbis latinis seriatim et sine interpositione verborum gallicorum negotium suum per se non per alium explicabit totaliter.*

ściowego, uczonego teologa. Zresztą i na innych wydziałach, na przykład na prawie w Orleanie, często studiowali dyplomowani „artyści”, magistrowie sztuk wyzwolonych. Nie był to jednak wymóg formalny.

Uniwersytet uczy z elementarza

To wszystko jednak nie dotyczy ogromnego zastępu studentów-artystów. Na wydział sztuk wyzwolonych przychodzili często młodzi chłopcy, nieraz wręcz analfabeci, nie umiejący pisać (zdarzali się i tacy, którzy nie umieli nawet czytać). Studium sztuk wyzwolonych wielu uniwersytetów średniowiecznych – i to nie tylko w pierwszych wiekach – dawało bowiem naukę na wszystkich szczeblach, od najniższego, elementarnego, przez średni, aż do wyższego. Mistrzowie-gramatycy uczyli małych, 8–10-letnich chłopców sztuki czytania i pisania; nieco starsi adepci wiedzy otrzymywali wiadomości o sztukach wyzwolonych na szczeblu średnim (absolwent takiego średniego studium otrzymywał w Paryżu tzw. bakalaureat sztuk wyzwolonych; było to coś w rodzaju dzisiejszej matury, która zresztą i dziś we Francji nazywa się *baccalauréat*, popularnie *bac*). Wreszcie młodzieńcy dorastający, ale wciąż jeszcze *imberbi* – gołowąsy, studiowali *artes* na wyższym, uniwersyteckim poziomie.

Nawiasem warto wspomnieć, że uniwersytety francuskie (głównie Paryż i Tuluza) dążyły do zmonopolizowania wszystkich szczebli oświaty w mieście, a przynajmniej do kontrolowania wszystkich miejscowych szkół. Starożytnemu uniwersytetowi paryskiemu nie wydawało się przesadne kontrolowanie także elementarnego nauczania na szczeblu tzw. małej szkoły (*parva schola*). Fakultet *artium* w Paryżu czy Tuluzie nie tylko sam dawał chętnym podstawy nauki czytania, pisania, gramatyki łacińskiej, ale też starał się nadzorować inne szkoły. Piękna książka węgierskiego uczonego Istvana Hajnala* pokazała dokładnie, jak uniwersytety uczyły pisać i czytać. Nie była to nauka łatwa ani mała. Dla oszczędności czasu kopisty i cennego per-

* I. Hajnal, *L'enseignement de l'écriture aux universités médiévales*, Budapest 1959.

gaminu średniowiecze wytworzyło specyficzną stenografię; pismo było trudne, najeżone skrótami, umownymi znakami. I dzisiaj czytanie średniowiecznego pisma wymaga przecież naukowego przygotowania paleograficznego.

System uczenia na uniwersytecie także i najmłodszych wyjaśnia wiele niezrozumiałych faktów. Uczelnia paryska przejawiała szczególne ambicje nauczania początkowego; dlatego nie powinien dziwić ogromny napływ studentów do Paryża. W XIII wieku Paryż liczył w sumie nie więcej niż 100 tysięcy mieszkańców, a uniwersytet miał już (łącznie z chłopcami, uczącymi się na wydziale *artium*) 6 albo 7 tysięcy scholarów. Bił więc na głowę studium prawnicze w Bolonii z jego tysiącem dorosłych studentów.

Na uniwersytet wstępowali często chłopczkowie nie mający 10 lat. W Tuluzie, w kolegium Verdale, statuty wyznaczały dla przyjmowanych do kolegium scholarów 8 lat jako minimum wieku. Przysięgę studencką na ręce rektora mogli składać we Francji w XIII wieku „studenci”, którzy ukończyli lat 10. Na uniwersytecie w Lipsku – ale to już znacznie później, w XVI wieku – „studenci”, którzy ukończyli lat 10. Na uniwersytecie w Lipsku – ale to już znacznie później, w XVI wieku – „immatrykulowano” dwuletniego bobasa. Przeciętna wieku studentów rozpoczynających naukę podstawową i średnią wynosiła prawdopodobnie 12–14 lat. W 1275 roku uniwersytet paryski zakazał dopuszczania do egzaminu na bakalaureat sztuk wyzwolonych chłopców, którzy nie ukończyli lat 14. Widocznie takie „świadcstwo dojrzałości” wydawano często młodzikom mającym po 12–13 lat. Nic też dziwnego, że w Paryżu u schyłku XII wieku mistrzowie skarżyli się, iż magistrami sztuk (a więc już dyplomantami szkoły wyższej, ludźmi z kompletnym wykształceniem uniwersyteckim w zakresie *artes*) pragną być chłopcy bez zarostu, ledwie wyrosli spod różgi.

Kiedy w życiorysach ludzi średniowiecza czytamy, że wstąpili na uniwersytet w wieku lat 12, nie należy sądzić, iż jest to świadectwo jakichś nadzwyczajnych zdolności. Po prostu uniwersytet był inny i spełniał inne zadania.

Na uczelni bolońskiej, która nie prowadziła najpewniej szkolenia na niższych szczeblach, studenci rzadko byli kilkunastoletnimi chło-

pakami. Prawnicy z reguły mieli tu powyżej 18 lat. Ci, którzy studiowali prawo kanoniczne, byli często księżmi, opatrzonymi jakimś tłustym beneficjum. Mieli oni przeważnie powyżej 23 lat, nieraz zbliżali się do trzydziestki albo i przekraczali ten wiek. Wynikało to między innymi z kościelnych zasad nadawania beneficjów. W Bolonii istniał nawet przepis mówiący, że studenci mogą zawierać transakcje finansowe bez zgody opiekuna dopiero po ukończeniu lat 25. Reguła ta wywodziła się z prawa rzymskiego, ale jej niezyciowość była oczywista. Także i młodsi studenci pożyczali pieniądze, składając tylko specjalną przysięgę, że je oddadzą. Nazywano to pożyczką *more minorum* („obyczajem niepełnoletnich”).

Na ogół prawdziwe studia uniwersyteckie zaczynali ludzie około dwudziestki – tak jak i dzisiaj. Wiek studentów był przeważnie tym niższy, im wyżej w hierarchii społecznej stała ich rodzina. Młodzi studenci z książęcych czy hrabiowskich rodzin udawali się często na uniwersytet nie po to, by poświęcać czas studiom; chodziło im tylko o przetarcie się w świecie, nabranie poloru towarzyskiego i pewnej oglądy umysłowej. Stopnie doktorskie nie uwodziły wyobraźni wielkich panów, chyba że chodziło o młodszego syna wielkiej rodziny, przeznaczonego do kościelnej kariery. W tej karierze wiedza prawnicza i teologiczna ułatwiała nieraz awans na najwyższe szczeble duchownej hierarchii.

Tak więc w średniowiecznych uniwersytetach, choć nie obowiązywały świadectwa maturalne i nie było egzaminów początkowych, wstęp na studia był silnie obwarowany cenzusem wykształcenia, umiejętności, a jeszcze silniej cenzusem majątkowym. Do sprawy kosztów nauki i pochodzenia społecznego studentów jeszcze zresztą wrócimy.

Terminator i mistrz

Ceremonie wstępu były proste. Należało złożyć przysięgę na ręce rektora, zobowiązującą do szanowania statutów, zawrzeć umowę z profesorem lub profesorami – i można już było chodzić na wykłady. Nie zawsze nawet istniały oficjalne rejestry uniwersyteckie, do których studenta zapisywano (częstsze już były rejestry nacji student-

kich). Dlatego też władze uniwersyteckie apelowały nieraz do profesorów, aby spisywali swoich słuchaczy. Na podstawie tych profesor-skich notat można było w razie potrzeby udowodnić, że ktoś jest *verus scholaris*, tj. że naprawdę studiuje i ma prawo do studenckich przywilejów.

Wybór mistrza był aktem bardzo poważnym. Przestrzegano studentów, że można w tym popełnić błąd, chciwi bowiem rozgłosu i pieniędzy profesorowie przekupują pedlów i różnymi sposobami skłaniają swych słuchaczy, aby sławili ich wiedzę i przysparzali im nowych uczniów. Kaznodzieja paryski ubolewał, że przepełnione audytoria mają czasem mistrzowie, którzy pobjażają studentom, dają im swobodę i pozwalają wysypiać się rano. Natomiast wielcy uczeni, surowi i wymagający, mają mało zwolenników, bo studenci boją się wybierać ich wykłady.

Doradzano więc nowicjuszom, aby przed zapisaniem się do któregoś z mistrzów zrobili próbę i przez trzy dni słuchali jego wykładów. Bolońskie statuty uniwersytetu sztuk wyzwolonych zapewniały nawet, że każdy może *experientiam facere* – zrobić wprzód doświadczenie – i przez piętnaście dni słuchać bez żadnej zapłaty wykładów mistrza i ćwiczeń repetytora.

Związek studenta z profesorami był początkowo dość luźny. Egzaminów nie zdawało się co roku, lecz dopiero pod koniec pewnego etapu studiów. Wykładów słuchano nie u jednego, ale u wielu mistrzów. W miarę zbliżania się końca nauki i doktoratu zacieśniały się związki naukowe studenta z wybranym kierownikiem naukowym, promotorem. Na uniwersytecie typu paryskiego dystans między profesorem i uczniem był duży. Inaczej na uniwersytecie studenckim typu bolońskiego. Tu przewaga studentów w życiu uniwersyteckim stawiała nieraz mistrzów w kłopotliwym położeniu i zmniejszała dystans.

Studenci występują w Bolonii jako „towarzysze” (*socii*) profesora. Ale taką *societas* w zasadzie zawierano na jeden rok wykładów. Czasem nawet przed upływem roku ulegała rozbiciu; gdy student nie zapłacił kolejnej raty honorarium bolońskiemu mistrzowi, wykluczano go z grupy. Charakterystyczna dla stosunków bolońskich jest pewna fraternizacja między niektórymi mistrzami i starszymi zwłaszcza studentami. W dzielnicy uniwersyteckiej uczący i uczeni

przemieszani byli ze sobą, często studenci mieszkali na stacji u profesora, który popijał z nimi wino, chodził na podmiejskie wycieczki, żyrował im weksle, a nawet pożyczał pieniądze – to ostatnie nie zawsze bezinteresownie.

W literaturze nieraz idealizowano stosunki między profesorem i jego „towarzyszami”, idealizowano przywiązanie słuchaczy do wybitnych profesorów. W rzeczywistości bywało różnie. Niekiedy istotnie przywiązanie słuchacza jest wzruszająco bezinteresowne. Największy uczony wśród włoskich prawników, Bartolus de Saxoferrato, z wielkim oddaniem i szczerą atencją wypowiadał się o swoim mistrzu, Ranierze z Forli. Przeceniał nawet wpływ Raniera na własny rozwój intelektualny, manifestował wdzięczność może niezbyt uzasadnioną, gdyż Raniero był mistrzem średniej miary. To przywiązanie jest tym piękniejsze, że Raniero z Forli zazdrościł zapewne uczniowi sławy i autorytetu. Wiemy, że na publicznych wykładach krytykował ostro poglądy naukowe Bartolusa, dodając złośliwy komentarz: trzeba mu wybaczyć te głupstwa, bo Bartolus jest tępogłowy (*durae cervicis*) i kiedy był moim uczniem, nic co subtelne, do głowy mu nie wchodziło...

Ale przecież oczywiste jest, że nie wszyscy żywili takie sentymenty wobec swoich mistrzów jak Bartolus. Wielki Dante pognębił na wieki jednego z profesorów, którego wykładów słuchał w Bolonii. W *Boskiej Komedii*, opisując *Pieć*, umieścił nieszczęsnego uczonego – może nie bez podstawy – w jednym z najniższych kręgów, wśród sodomitów.

O stosunkach między profesorami i studentami będzie mowa przy innych okazjach. Teraz jeszcze tylko parę słów o trzeciej płaszczyźnie codziennego życia studenckiego. Pierwszą był związek studencki – nacja, drugą – związki z profesorem, mistrzem, trzecią stanowiło miejsce zamieszkania, które student musiał sobie znaleźć na długie lata studiów.

Problem mieszkaniowy

Nie było o to łatwo nawet w dużych miastach, stolicach krajów, takich jak Paryż czy Neapol. Tym większy głód mieszkaniowy pano-

wał w niewielkich miastach uniwersyteckich, takich jak Orlean, Padwa, Oksford czy Cambridge. Początkowo nie istniały żadne domy akademickie – kolegia. Studenci najmowali mieszkania prywatne. Najbogatsi dla celów reprezentacyjnych i dla pomieszczenia swojej świty wynajmowali całe domy, a przynajmniej apartamenty. Ale władze miejskie patrzyły na to nieprzychylnym okiem. Wobec złej sytuacji mieszkaniowej niechętnie zgadzano się na oddawanie osobnych mieszkań pojedynczym studentom, chyba że pochodzili z książęcych rodzin.

Często spotykaną formą był najem mieszkań w prywatnych „pensionatach”, u oberżystów (*hospitatores, albergatores*) – niejednokrotnie u oberżystów-rodaków. Stosunki z gospodarzem nie zawsze były sielankowe. Lokatorom zdarzało się zalegać z zapłatą, a i oberżysta nie był aniołem. Akta miejskie przekazały liczne skargi studentów na gospodarzy okradających swoich lokatorów, nadużywających zaufania lub nawet bijących klientów. Dlatego dogodniejsze były hospicja, popularne na przykład w Paryżu czy w Oksfordzie; grupa studentów wynajmowała do spółki mieszkanie prywatne, z pełną odpłatnością, ale potem urządzała się samodzielnie. Wybierano szefa hospicjum (*principalis domus*) i układano własne przepisy porządkowe, nie narzucone z zewnątrz, jak w kolegiach. Była to stara forma samorządnej organizacji studenckiej.

Na uniwersytetach typu bolońskiego popularnością cieszyły się także stancje u profesora. Wybitniejsi i zamożniejsi mistrzowie budowali własne domy i przyjmowali na mieszkanie swoich studentów. Trzynastowieczny podręcznik dyscypliny studenckiej przypisywany fałszywie filozofowi z VI wieku, Boecjuszowi, zalecał kwatery w domu mistrza, gdyż to zapewniało adeptowi wiedzy najlepszą opiekę. Często oprócz mieszkania taki student-lokator otrzymywał u profesora wyżywienie i pełne zaopatrzenie w pomoce naukowe. Wszystkie te świadczenia profesor wliczał wówczas w kwotę pobieranego od studenta honorarium za naukę. Ułatwiała to z pewnością zbliżenie między mistrzem i uczniem, sprzyjało wspomnianemu już brakowi dystansu. W Bolonii przede wszystkim, czasem też na innych uczelniach typu bolońskiego, profesorowie stykali się ze studentami nie tylko w audytorium, ale na co dzień. Boloński mistrz

Odofredus żalił się kiedyś na wykładzie, że studenci z przeciwka siedzą w oknie i całymi dniami podglądają jego żonę i córki; jak widać, takie przemieszanie poważnych mistrzów i frywolnych studentów bywało krępujące.

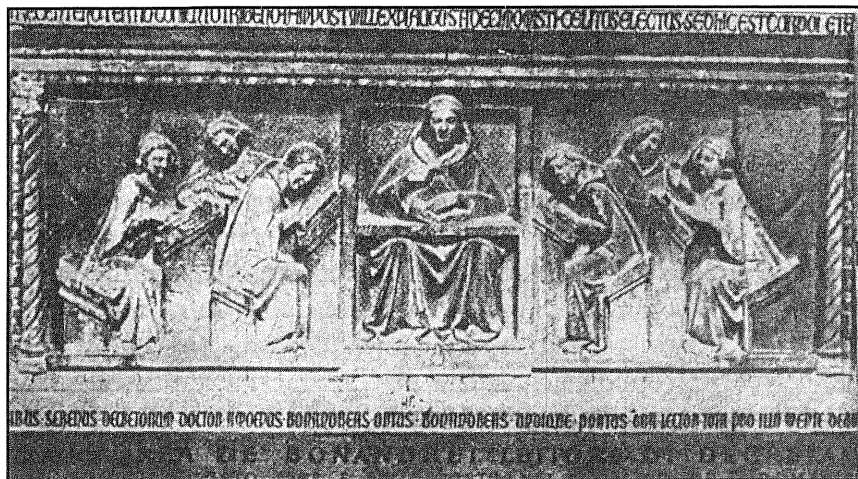
Największą jednak popularność zdobyło wynajmowanie u mieszczan pojedynczych pokoi (mieszkanie *ad cameram*). Trzech albo czterech studentów (przeważnie rodaków) wynajmowało wspólnie jeden pokój; często prowadzili oni razem gospodarstwo domowe, z jednym – wspólnym – służącym, jeśli stać ich było na taki luksus. Biedniejsi oczywiście służącego nie mieli, a pokoje wynajmowali na odległych przedmieściach, gdzie płacili znacznie taniej, ale skąd musieli codziennie wędrować do miasta.

Na uniwersytecie włoskim typu bolońskiego studenci związani byli bardzo blisko z życiem miejskim. Mieszkali z mieszczanami i dzielili warunki ich codziennego bytowania. Zнали wszystkie strony tego życia, brali często udział w wewnętrznych walkach stronnictw gwelfów i gibelinów. Złe i dobre wydarzenia, klęski żywiołowe, zabawy publiczne, pożyczki, bójki, małżeństwa – wszystko to łączyło najściślej studentów z mieszczaństwem. Profesor i student byli częścią składową miejskiego społeczeństwa.

Ten ścisły związek miał rzecz jasna wpływ na stan świadomości studentów; jemu między innymi należy przypisać zasadniczo laicki charakter intelektualnego rozwoju studentów w uczelni typu bolońskiego. Inaczej było w Paryżu czy Oksfordzie. Tutaj dążenie do ścisłej kontroli nad życiem studenckim wywarło wpływ także na sytuację mieszkaniową. W Paryżu i na uniwersytetach angielskich powstały kolegia.

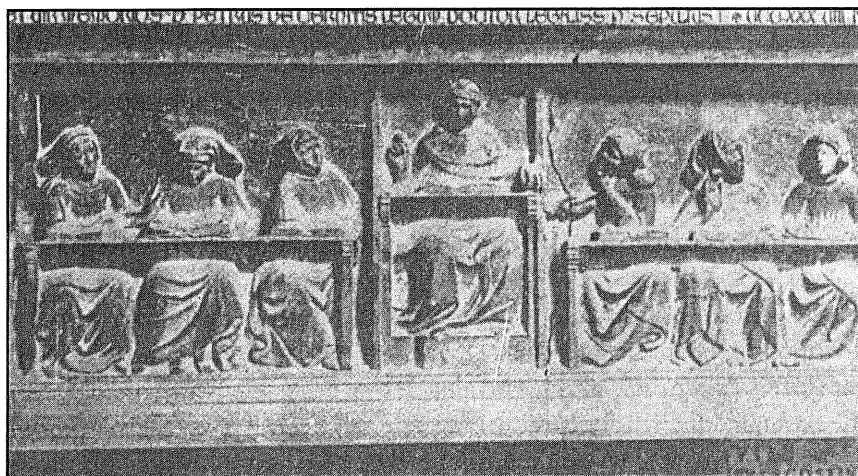
Trochę klasztoru, trochę domu akademickiego: kolegia

Klasztory od dawna prowadziły dla studiujących zakonników swojej reguły internaty, dające wikt i mieszkanie. Od początku XIII wieku w Paryżu jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać nieklasztorne kolegia dla studentów, przeważnie dla teologów. Sławę pierwszych kolegiów paryskich (*collège des Dix-huit*, *collège des Bons*



Plaskorzeźba z nagrobka Bonandrea de' Bonandrei, profesora uniwersytetu w Bolonii, pochodząca z pierwszej połowy XIV wieku

Plaskorzeźba z nagrobka Piotra de Cernitis, profesora uniwersytetu w Bolonii, pochodząca z pierwszej połowy XIV wieku



Enfants, collège St.-Thomas) przyćmiła bogata fundacja Roberta de Sorbon, jałmużnika króla Ludwika IX. W 1257 roku Robert ufundował kolegium dla magistrów sztuk wyzwolonych, pragnących studiować teologię. La Sorbonne, Sorbona – to kolegium obficie później wspierane i najsławniejsze w Paryżu. Od XIV wieku Sorbona stała się siedzibą fakultetu teologii, a w XIX wieku dała nazwę także niektórym innym wydziałom uniwersytetu paryskiego. Nie należy jednak sądzić, że cały uniwersytet w Paryżu nosi tę tradycyjną nazwę; nie wszystkie wydziały mają do niej prawo, nie wszyscy profesorowie uniwersytetu paryskiego są profesorami Sorbony.

W XIII wieku istniało już w Paryżu kilkanaście kolegiów; potem fundowano ich coraz więcej. W epoce rozkwitu systemu kolegiального liczba kolegiów paryskich sięgała 70–80. Zazwyczaj przeznaczano je dla określonych kategorii studentów. Przyjęci do kolegium otrzymywali mieszkanie i stosunkowo niewielkie stypendium pieniężne. Jednakże kolegia fundowano nie tylko w celu udzielania pomocy biednym studentom, chodziło też o utrzymanie dyscypliny wśród studenckiej społeczności; kolegia były zależne od władz, nie miały autonomii, a regulaminy obowiązywały wcale surowe.

Kolegia nie były przeznaczone dla zamożnych studentów, ale też nie umożliwiały studiów ludziom zupełnie pozbawionym środków, najuboższym. Dawały tylko kwaterę i nieco pieniędzy, nic więcej. Ponadto regulamin przewidywał takie kary, jak wykluczenie czasowe, co równało się zupełnej katastrofie dla studentów pozbawionych innych środków utrzymania. Niekiedy wyraźnie określano, że w czasie wakacji mieszkanie i stypendium nie należą się przyjętym do kolegium. Te przepisy regulaminowe świadczą, iż ubodzy studenci, dla których kolegia tworzone, nie mogli być zupełnie bez pieniędzy. Najuboższym kolegia nie otwierały drogi do studiów wyższych.

Początki stypendiów państwowych

Nie było też w średniowieczu systemu państwowych stypendiów. Zupełnie wyjątkowo tylko spotykamy w źródłach XII i XIII wieku wzmianki o stypendiach królewskich dla słuchaczy uniwersytetu,

zresztą nie najuboższych. Wiadomo na przykład, że niekiedy koszty nauki w Oksfordzie pokrywał poszczególnym słuchaczom król angielski Jan bez Ziemi, a potem król Henryk III. Motywy tej szcudroblowości królewskiej były bardzo różne: obdarowani studenci to dalecy krewni króla albo synowie ludzi zasłużonych dla państwa. Henryk III dawał czasem stypendia synom baronów, których chciał pozyskać dla swojej polityki. Zdarzały się także jednorazowe dary królewskie dla określonych studentów. Kiedyś do Henryka III zwrócili się o pomoc studenci z Paryża narodowości portugalskiej. Pieniądze bowiem, które posłała im rodzina, przepadły na portugalskim okręcie, skonfiskowanym przez Anglików. Prosimi zatem króla angielskiego o wypłacenie im utraconych dukatów. Henryk III potrafił zachować się po królewsku i Portugalczycy otrzymali swoje pieniądze.

Także we Francji król Ludwik IX Święty dawał niekiedy pieniądze studentom z zasłużonych rodzin. Jeszcze częściej zdarzało się to skąpemu skądinąd królowi Filipowi Pięknemu, panującemu na przełomie XIII i XIV wieku. Filip wprawdzie stale potrzebował pieniędzy, ale doceniał znaczenie uniwersytetu dla państwa: najbliżsi jego doradcy, urzędnicy i sędziowie popierający politykę królewską wychowani zostali właśnie na uniwersytetach francuskich, zwłaszcza w Orleanie.

Jednakże państwowe stypendia w średniowieczu były zjawiskiem sporadycznym. Nie można porównać ich znaczenia ze znaczeniem tej pomocy, jaką studentom dawały kolegia. Kolegia zaś – to w przeważającej części fundacje prywatne, dzieło filantropii możnych.

Dzień powszedni kolegianta

Warto powiedzieć parę słów o wewnętrznej organizacji kolegiów. Wczesne statuty Sorbony (wydane około 1274 roku) bardzo wiele miejsca poświęcały sprawie jedzenia. Przepisywano kolegiantom ścisłe i surowe posty, zabraniano jedzenia w pokojach mieszkalnych (nawet z gośćmi), nakazywano płacić za to wszystko, co zjedzą goście stypendystów. Nie wolno było zbyt często sprowadzać gości na picie

wina, nie wolno było żadnemu kolegiantowi posiadać klucza od kuchni. Statuty zakazywały także sprowadzenia kobiet do pokojów. Kolegiantci (*socii*) nie mieli prawa wynoszenia książek na miasto i pożyczania ich obcym. Nie wolno było nocować poza domem, a każdy taki wypadek należało rzetelnie usprawiedliwić. Zabraniano noszenia ubrań strojnych i modnego obuwia. Każdy *socius* musiał mieć swój znak na ubraniu i wedle tego znaku służący wydawał mu jego szaty.

W Sorbonie – tak jak i w innych kolegiach, w zasadzie aż do XVI wieku – nie stosowano kar cielesnych. Za naruszenie regulaminu groziły kary pieniężne. Kto by zaprosił na posiłek do pokoju kobietę, płacił 6 denarów. Grzywnę płacono też za nieprzystojne wyrazy. Za zbyt głośne rozmowy karą było kupowanie określonej ilości wina dla całej kompanii. To samo groziło za bicie lub znieważenie służących domu, zastrzegano jednak, że w takim wypadku wino musi być lepszego gatunku. Za mniejsze wykroczenia trzeba było więc fundować wino zwykłe (*vin ordinaire*), za poważniejsze występki – wino lepsze (*vin supérieur*). Trudno sobie wyobrazić bardziej francuską karę.

Statuty Sorbony szczegółowo regulowały też obowiązki funkcjonariuszy domu. Tak więc na przykład odźwierny musiał wszystkim odpowiadać uprzejmie, szukać kolegianta, do którego przyszedł gość, stale nosić przy sobie klucze od domu. Nie wolno mu było wychodzić samowolnie na miasto ani wchodzić do kuchni; nie miał prawa wypuszczać obcego, który wynosił coś pod suknię. Miał natomiast obowiązek denuncjowania przed przełożonym domu studentów przychodzących późno, już po zamknięciu bramy.

Inny przykład kolegium paryskiego to zakład ufundowany w roku 1268 przez skarbnika diecezji Rouen Wilhelma z Saôny dla 12 studentów teologii i 12 słuchaczy sztuk wyzwolonych pochodzących z diecezji Rouen. Wilhelm kupił dla nich dom w Paryżu, w parafii św. Seweryna, i urządził tam kolegium. Przez 45 tygodni w roku (z wyłączeniem 7 tygodni wakacji) stypendyści otrzymywali w kolegium mieszkanie i po 3 soldi paryskie tygodniowo. Mogli też korzystać z książek w bibliotece kolegialnej.

W 1280 roku statuty tego kolegium uległy zaostreniu. Zjawisko zaostrenia dyscypliny było zresztą powszechne w takich zakładach; system początkowo liberalny ulegał stopniowo restrykcjom. Surowo

zakazano przyjmowania do kolegium studentów kłótliwych, rybaków, graczy, rozpustników i pijaków. Zabroniono rozmów w ojczystym języku: w domu wszystkie rozmowy musiały być prowadzone po łacinie. Wprowadzono obowiązkowy system wspólnych posiłków. Wykluczono studentów mających wystarczające środki utrzymania; stypendystami mogli być tylko „prawdziwi i rzeczywiści biedacy”. Nie wolno im było wstępować na służbę do bogaczy ani studiować nauk „lukratywnych” (tak nazywano prawo i medycynę). Co tydzień w święto, przełożony kolegium kontrolował postępy naukowe stypendystów i wymierzał im kary, aż do zawieszenia i wypędzenia włącznie.

Kolegium krępowało więc znacznie swobodę studenta. Dobrze zamknięty dom i kontrola przełożonych zostawiały małe możliwości dla wesołych eskapad i zabawy. Wiele krępujących przepisów w statutach wzięto żywcem z różnych reguł klasztornych. Między innymi klasztorne pochodzenie zdradza przepis o surowych postach, które też mogły czasem (jak na przykład w Tuluzie) występować w roli kary dyscyplinarnej. Z klasztorów wzięto popularny w kolegiach obyczaj publicznych „rachunków sumienia”, podczas których kolegianci musieli wzajemnie denuncjować swoje występki. Szpiegostwo i donosicielstwo uważano widać za doskonały środek wychowawczy. Na wzór klasztoru w niektórych kolegiach po całym dniu pracy i wczesnym zamknięciu bramy urządzano jeszcze nabożeństwo wieczorne. Dla tej klasztornej dyscypliny charakterystyczny jest surowy nakaz celibatu dla wszystkich kolegiantów.

Kolegia zdobyły także dużą popularność na uniwersytetach angielskich. Wzór stanowiło kolegium założone w połowie XIII wieku przez kanclerza królestwa angielskiego, Waltera Mertona. Początkowo reguła tego zakładu była dość liberalna. Fundację swą Merton przeznaczył dla 20 biednych studentów Oksfordu, pochodzących z diecezji Winchester. Dostawali oni kwaterę i 40 szylingów rocznie; mieli obowiązek mieszkać wspólnie, żyć w jedności i zgodzie, nosić określone szaty. Patronem kolegium był biskup z Winchester. Miało ono jednak szeroki samorząd, członkowie zarządzali wspólnie dobrami, zapisanymi na ich potrzeby przez fundatora. Ale już w roku 1270 druga wersja statutów wzmocniła dyscyplinę wewnętrzną. Ograniczono samorząd studencki na rzecz kontroli władz zwierzchnich.

nich. Wprowadzono przepisy o milczeniu przy posiłkach, o rozmowach tylko po łacinie. Klasztorna reguła zaostrzona została kilka lat później w trzeciej wersji statutów: między innymi wprowadzono wówczas okresowe zebrania poświęcone publicznemu badaniu zachowania wszystkich kolegiantów. Takie ograniczenie samorządu okazało się konieczne, gdyż studenci byli niezdyscyplinowani, liberalnie traktowali wykroczenia kolegów, źle i rozrzutnie administrowali majątkami fundacji. Statuty zakładu Mertona stały się wzorem dla innych kolegiów w Oksfordzie i Cambridge.

Warto jeszcze dodać, że do kolegiów francuskich i angielskich przyjmowano także bardzo młodych chłopców, którzy zaczynali dopiero naukę na szczeblu elementarnym. Kolegia angielskie stawały się więc także ośrodkami pracy dydaktycznej; uczono w nich pisanie, czytania, łaciny itp. Z biegiem lat przejęły one także wielką część dydaktyki w zakresie sztuk wyzwolonych.

Warunki mieszkaniowe w kolegiach były złe. Oczywiście studenci mieszkali po kilku w jednym pokoju, młodszy chłopcy nie zawsze mieli prawo do osobnego łóżka.

Rzecz ciekawa, że na demokratycznych uczelniach typu bolońskiego kolegia nie zrobiły kariery. W Bolonii było ich stosunkowo niewiele i miały nieco inny charakter. Pierwsze powstało tu w XIII wieku kolegium awiniońskie – fundacja biskupa tej diecezji Zoëna dla 8 studentów z diecezji Avignon. Sławny medyk, Wilhelm z Brescii, ufundował w początkach XIV wieku na wzór Sorbony tzw. Collegio Bresciano. Najsłynniejsze spośród bolońskich kolegiów było Collegio di Spagna. Ufundował je hiszpański kardynał Idzi Albornoz. Kolegium hiszpańskie jest jedynym średniowiecznym kolegium uniwersyteckim, które przetrwało w tradycyjnych formach niemal do czasów współczesnych. Fundator kolegium hiszpańskiego przeznaczał je nie dla ubogich studentów, lecz dla studentów szlacheckie urodzonych, Hiszpanów, w liczbie trzydziestu.

Organizacja kolegium hiszpańskiego wzorowała się na ustroju uniwersytetu bolońskiego: na czele fundacji stał rektor, wybierany przez kolegiantów na jeden rok. Kontrolę nad kolegium sprawował rząd hiszpański. Charakterystyczną cechą tej fundacji stanowiły surowe przepisy karne. Karano surowo wagary, niepunktualność, włó-

czenie się po nocy. Wśród kar były takie, jak post o chlebie i wodzie oraz spożywanie tych mało atrakcyjnych potraw na schodach, zamiast przy stole.

Ochrona przed wyzyskiem

Gwałtowny wzrost liczby studentów na renomowanych uniwersytetach stał się przyczyną ostrego kryzysu mieszkaniowego i drożyzny. Kolegia – tam, gdzie były popularne – rozwiązywały kwestię mieszkaniową tylko dla części studentów, na ogół niezbyt wielkiej. Wyzysk ze strony właścicieli mieszkań zrodził niejeden konflikt uniwersytetów (na przykład w Paryżu, Oksfordzie, Orleanie) z władzami miejskimi i państwowymi. Władze uniwersyteckie i studenci postulowali kontrolę czynszów, komisyjne ustalanie ich wysokości na podstawie taksacji wartości mieszkań. Duże uniwersytety wywalczyły sobie taki system taksacyjny; gdzie indziej toczyły się o to pertraktacje i spory. Profesorowie z Orleanu wręcz zagrozili kiedyś, że nie będą wykładać, jeśli nie wprowadzi się taksacji domów. Król francuski przyznał nawet Orleanowi taki przywilej, ale potem go cofnął. W Bolonii w XIII stuleciu taksowanie mieszkań przeprowadzała komisja mieszana złożona z czterech taksatorów: dwóch reprezentowało uniwersytet, a dwóch komunę miejską. Dla uniwersytetu w Neapolu przywilej króla Karola I Andegawena z roku 1266 przewidywał podobną komisję, złożoną z trzech studentów oraz trzech mieszczan. W żadnym razie nie można było otaksować pomieszczeń wynajmowanych studentom powyżej określonej sumy maksymalnej. Podobnie chroniły swoich studentów przed spekulantami mieszkaniowymi uniwersytet w Paryżu i uczelnie angielskie.

Przywileje studenckiego stanu

Uniwersytet chronił studentów także przed wyzyskiem księgarzy, ustanawiając ceny maksymalne na pomoce naukowe – o czym jeszcze powiemy obszerniej. Bardzo kosztowne studia były też ułatwia-

ne innymi przywilejami, które uniwersytety wywalczyły dla swoich studentów. I tak scholarów zwalniano od danin publicznych: przywileje władz miejskich i władców gwarantowały im wolność podatkową. Umowy i testamenty studenckie zwalniano nieraz od pewnych formalności, przewidzianych przez prawo miejskie. Władze miejskie dawały studentom takie uprawnienia, jakich nie mieli obywatele miasta, na przykład prawo zaciągania pożyczek nie tylko u miejscowych, ale i u obcych bankierów i kupców. Studentom zapewniono ochronę prawa; napaść mieszczanina na studenta karano szczególnie surowo. W Bolonii ochronę studentów przez prawo miejskie uzasadniano poglądem, że student, który tu przyjechał po naukę, jest synem ludu bolońskiego (*filius populi*). W Padwie obowiązywała zaostrzona ochrona karna (w Polsce średniowiecznej nazywano to *mirem*) studenta, który znajdował się w szkole, w drodze do szkoły albo ze szkoły.

Kiedy w miastach włoskich XIII wieku rozjątrzyły się walki wewnętrzne między gwelfami i gibelinami, władze miejskie jeszcze bardziej umocniły tę ochronę studentów, aby wewnętrzne konflikty polityczne nie naraziły ich na szkodę i nie spowodowały odpływu słuchaczy na inne uniwersytety. Gwarantowano na przykład pełną ochronę i restytucję mienia studenckiego, gdyby w toku walk miało ulec zniszczeniu. Spalone w czasie zamieszek mieszkania studenckie władze miasta obiecywały natychmiast wymienić na zastępcze kwatery. Studenci byli zupełnie wyjęci spod tzw. *represaliów* – nieprzyjemności, jakimi miasta miały zwyczaj częstować obywateli innych, wrogich miast.

Wreszcie wspomnieć wypada o bardzo ważnym przywileju studenckim – podległości sądom uniwersyteckim. W dążeniu wszystkich uczelni do otrzymania tego przywileju własnej jurysdykcji, wyjmującego studenta spod władzy sędziego miejskiego, dużą rolę odgrywały także względy ambicjonalne. Na uniwersytecie oksfordzkim sędzią był kanclerz. W Paryżu studenckie sprawy karne sądził biskup. Było to zgodne z panującą zasadą, która w XII i XIII wieku poddawała w całej Europie kleryków sądowi biskupiemu; przecież w Paryżu studenci w znacznej części należeli właśnie do stanu duchownego. Duchowni słuchacze teologii i prawa kanonicznego mogli odpowiadać tylko przed sądem biskupim, we wszystkich bez wy-

jątku sprawach karnych, jednakże w sprawach cywilnych głos zabierał sąd miejski. W drobnych sprawach wewnątrzuniwersyteckich (spory o pomoce naukowe, sprawy dyscypliny studiów, obraza władz uniwersyteckich) sądy sprawował rektor w towarzystwie władz nacji (prokuratorów); potem sądzili także dziekani fakultetów.

W Bolonii podstawą własnej jurysdykcji uniwersytetu nad studentami był wielokroć już wspomniany przywilej Fryderyka I z 1158 roku (konstytucja *Habita*). Student boloński miał wedle tego przywileju wybór, przed kim chce odpowiadać sądownie: mógł wybrać biskupa bolońskiego albo własnego profesora. Alternatywne sądownictwo biskupa zostało i tu wprowadzone ze względu na studiujących księży, którzy nie podlegali w ogóle sądom świeckim. Ważniejsze sprawy karne były jednak zastrzeżone dla sądu miejskiego (sądził wysoki urzędnik miejski, *podesta*). W późniejszym okresie, gdy wpływ na sprawy uniwersytetu mieli już sami studenci, sądownictwo doktorów nad słuchaczami upadło, upowszechniło się natomiast sądownictwo rektora. Komuna bolońska niechętnie patrzyła na te autonomiczne sądy uniwersyteckie. Mieszczanie przypuszczali – i nie bez powodu – że sąd profesora czy rektora będzie zbyt liberalny, że łagodnością swoją ośmieli tylko studentów, zamiast powściągać skutecznie oszustwa i wybryki. Warto dodać, że w demokratycznej Bolonii nie stosowano wówczas w sądach uniwersyteckich na przykład kary chłosty – gdy w Paryżu sąd rektorski bynajmniej nie miał takich względów dla obwinionych studentów. Ale też trzeba pamiętać, że w Paryżu wśród scholarów było bardzo wielu młodych chłopców, a studenci bolońscy to już ludzie dorośli.

Wzór boloński jurysdykcji uniwersyteckiej upowszechnił się dość szeroko. Wspominany już przez nas przywilej Karola I dla studium w Neapolu dawał studentom wolny wybór sędziego. Student podlegał władzy sądowej tzw. justycjariusza królewskiego, ale mógł wybrać jako sędziego arcybiskupa Neapolu albo własnego profesora. O jurysdykcji doktorów w cywilnych sprawach studentów mówił już zresztą pierwszy akt fundacyjny uniwersytetu w Neapolu, wydany w 1224 roku przez Fryderyka II Sztaufa. Ten wzór boloński naśladowano wielokrotnie w różnych wariantach.

Kto z czego żyje

Wiemy już, jak studenci byli przyjmowani na studia, jak byli zorganizowani, gdzie mieszkali. Wypada powiedzieć teraz parę słów o ich pochodzeniu społecznym.

Źródła nie są wymowne w tym przedmiocie, a ponadto wiadomości, które w nich znajdujemy, często wymagają wnikliwej interpretacji. Kiedy na przykład trzynastowieczne źródła określają studenta mianem *clericus*, to wcale nie musi znaczyć, że należy on do stanu duchownego. *Clericus* jest niekiedy po prostu synonimem pojęcia *scholaris*, student, człowiek uczony, intelektualista. Tak więc Dante o Fryderyku II, bardzo wolnomysłnym cesarzu, mówi, że był to „wielki kleryk” (*cherico grande*). Podobnie gdy ludzie średniowiecza określają kogoś pogardliwym mianem *rusticus* (chłop), to często nie chodzi im o stanowisko społeczne. *Rusticus* – to nieraz człowiek nieuczony, prymitywny prostak, choćby nawet stał wysoko w hierarchii społecznej.

Prawdą jest, że na uniwersytetach francuskich – zwłaszcza w Paryżu – studiowało wielu księży i kleryków niższych święceń. Ale także i tutaj studia sztuk wyzwolonych, a już zwłaszcza prawo rzymskie w Orleanie czy medycyna w Montpellier, skupiały środowiska laickie. A jeżeli nawet prawo rzymskie na przykład studiował ktoś, kto należał do stanu duchownego, to jakże często ta przynależność stawała się tylko formalna. Wykształcony na świeckim prawie rzymskim kleryk częstokroć przechodził ciałem i duszą na służbę króla. We Francji trzynastowiecznej liczna była grupa funkcjonariuszy państwowych wysokiego nieraz stopnia, nazywana *clerici regis* (klerycy króla). Choć nosili oni sutanny, to jednak należeli zwykle w pełni do środowiska świeckiego. Taki kleryk królewski służył interesom rządu, a nie papieża, stawał się obrońcą świeckiej polityki i zwalczał kościelne ambicje polityczne. Tak więc element laicki w środowiskach uniwersyteckich był silniejszy, niżby się to mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Nie każdy *clericus* z uniwersytetu nosił sutannę, a jeżeli ją nosił – nie zawsze reprezentował naprawdę interesy i poglądy Kościoła.

Dla XII i XIII wieku charakterystyczne było pojawienie się na uniwersytetach sporej liczby synów szlacheckich, w tym także sy-

nów możnych, nieraz panujących rodzin. Jeszcze w XI wieku Wipo, autor znanych dziejów cesarza Konrada (*Gesta Chuonradi*) martwił się, że szlachta niemiecka nie lubi studiować. Włosi potrafili pocić się w szkołach – pisał – a Niemcy uważają za rzecz próżną i nawet wstydliwą uczenie kogoś, kto nie jest przeznaczony do stanu duchownego. Wipo domaga się, by cesarz Henryk III zalecił synom szlacheckim studiowanie prawa. Póki w wielkich państwach Europy władza polityczna była rozproszona, póty aparat państwowy obywatel się bez wysoko kwalifikowanych prawników. Póki Kościół znajdował się pod wpływami lokalnych władców i panów feudalnych, póty nie trzeba było znać teologii i kanonów, aby zrobić kościelną karierę. Ale w XII i XIII wieku sytuacja zmieniła się. Początki centralizacji państwowej i zaawansowana centralizacja Kościoła rzymskiego zamykały drogę do wielkiej kariery nieukom. Udoskonalony, rozbudowany aparat państwowy i kościelny, dwory monarsze, sądy, urzędy kurii papieskiej wymagały znawców prawa świeckiego i kościelnego, wytrawnych ideologów – filozofów, teologów. Nic dziwnego, że wśród studenterii Paryża, Bolonii, Oksfordu sporą grupę stanowili już wówczas synowie szlacheckich rodzin.

Studenci-potentaci

Są więc studentami ludzie pochodzący z wielkich rodzin monarszych, książęcych, hrabiowskich. W tej grupie przeważają młodzi synowie, przeznaczeni do stanu duchownego, kandydaci na bogate opactwa, stolice biskupie, kardynałaty kurii rzymskiej. Studiują tedy prawo kanoniczne, teologię, filozofię. Bardzo liczna jest też grupa studentów – księży i kleryków niższych święceń. Przeważają na uczelniach typu paryskiego, ale sporo ich także na prawie kanonicznym w Bolonii. Są to zakonnicy wysłani na studia przez swój dom zakonny, są bogaci beneficjanci – proboszczowie, nawet biskupi. Przywileje papieskie zwalniały ich od obowiązku tzw. rezydencji: nie muszą mieszkać w tym miejscu, gdzie mają swoje beneficjum i nie tracą dochodów, które z tego beneficjum płyną. Mogą zatem swobodnie studiować, nie troszcząc się o środki finansowe.

Wspomnieliśmy już o tym, że najbogatsi studenci otoczeni byli całą świtą „klientów”. Przyjeżdżali ze służbą, końmi, sprzętami, najmowali całe domy. Dzieła plastyki średniowiecznej, które najwierniej oddają życie uniwersyteckie – miniatury w uczonych traktatach, płaskorzeźby na grobach wielkich uczonych – pokazują nieraz bogatych studentów, za którymi służący nosi książki i rękopisy. Ale nie koniec na tym. „Wiecie dobrze – powiadał Odofredus na wykładach – że bogaci studenci mają swych sekretarzy” (*Bene scitis, quod divites scolares habent clericos suos*). Takim sekretarzem bogacza bywał ubogi a zdolny student. Nazywano go różnie: *clericus, familiaris*. Zapewne nieraz podciągał on w nauce studenta bogatego, ale nie obdarzonego szczególnie potęgą intelektu.

Szlachta i patrycjat

Dość spora grupa – to synowie średniej szlachty. Nie byli bogaczami: rodzina przysyłała im odpowiednie środki, ale studia kosztowały drogo i nie wystarczało już na ekstrawagancje. To oni właśnie mieszkali po kilku na jednej kwaterze i zadowalali się jednym wspólnym służącym. Studiowali przeważnie prawo. Po ukończeniu studiów nie czekała ich może olśniewająca przyszłość, ale mieli zapewnioną solidną karierę urzędniczą i sądową.

Wreszcie grupa liczna i szczególnie interesująca: synowie zamożnego, dobrze sytuowanego mieszczaństwa. Nie stanowili oni większości studentów, ale można przypuszczać, że ta grupa nieraz przewyższała liczebnością wszystkie pozostałe, przynajmniej na filozofii, prawie i medycynie. Ustalenie jakichś proporcji statystycznych dla wieku XII i XIII jest prawie niemożliwe. Bardzo wnikliwe badania szwajcarskiego historyka, Svena Stelling-Michauda pozwoliły jednak stwierdzić, że w środowisku szwajcarskich studentów uniwersytetu bolońskiego najwięcej było synów mieszczańskich; blisko 30% wszystkich Szwajcarów – to synowie bogatych kupców i producentów miejskich, urzędników komunalnych itd. Podobnie w drugim ośrodku o wybitnie laickim charakterze, jakim był uniwersytet w Neapolu, który kształcił kadry dla służby państwowej królestwa sycylijskiego.

Szczególnie liczną grupę stanowili tu synowie urzędników, sędziów, profesorów, adwokatów. Nie były to środowiska wielkich dygnitarzy państwowych, ale raczej zwykłych funkcjonariuszy, często mieszczańskiego pochodzenia. Zdecydowaną przewagę miały środowiska mieszczańskie na wielkich wydziałach medycyny w Montpellier i Salerno.

Proletariusze nauki

Do tej pory mówiliśmy tylko o studentach z klas zamożnych. Wysokie koszty nauki w szkole średniej, a zwłaszcza koszty studiów, nie ułatwiały drogi na uniwersytet ludziom pochodzenia rzemieślniczego czy chłopskiego. Synowie pospółstwa mogli niekiedy dotrzeć do studiów wyższych za cenę utraty wolności osobistej, wstępując do klasztoru i kształcąc się na jego koszt. Jednakże nawet wybór tej ciernistej drogi nie gwarantował wcale dostania się na studia, nawet najzdolniejszym. Już w XII wieku w środowiskach kościelnych i wśród świeckich wielmożów bardzo silne były opory przeciw dopuszczaniu do oświaty pospółstwa. Niekiedy zdziwieni feudałowie notowali jako szczególny i niezwykły fakt studiowania synów pospółstwa miejskiego i chłopstwa. Tak na przykład w początkach XIII wieku zanotowano, że na uniwersytecie paryskim studiował syn piekarza.

Jakkolwiek fakty te zadziwiały niektórych możnych panów, trzeba przyznać, że w XII–XIII wieku nie były one wyjątkowe. Zwłaszcza krócej trwające studia sztuk wyzwolonych miały pewien procent słuchaczy pochodzących ze środowisk plebejskich. W Paryżu studium to liczyło wielu słuchaczy z warstw ubogich. Ułatwiał to system kolegiów, ale i poza kolegiami znalazł się tu niejeden *pauper studiosus*. Wierny obraz życia takiego plebejskiego studenta daje anonimowy poemat paryski z XII wieku. Autor rozwdzi się w nim nad surowym i twardym życiem studenta, tym smutniejszym, gdy porównać je z wesołym żywotem bogatego mieszczanina. Charakterystyczne jest to przeciwstawienie: plebejski autor nie sięga wyżej, ideał jego stanowi właśnie życie zamożnego mieszczucha. Ubogi student na-

prawdę zasługuje na litość. Mieszkanie jego jest zaniedbane, ubiór nędzny. Strawa codzienna to fasola, kapusta i groch, które nie mogą przecież wzbudzać prawdziwego apetytu. Pośnaniem często bywa kiepski materac na schodach. Rano, po niespokojnym śnie, *pauper* biegnie na wykład i tam musi ciężko pracować, łowiąc uchem i umysłem wartkie słowa mistrza.

Często powtarzano w średniowieczu stary motyw facecji studenckiej, która opisywała trzech przyjaciół, tak biednych, że żywili się tylko chlebem, winem i zupą. Mieli oni do spółki jedną tylko suknię (*cappa*) i na wykłady musieli chodzić kolejno.

Niejeden student-plebejusz zaznał goryczy żebraniny. Co prawda był to wówczas mniejszy dyshonor niż dzisiaj, zwłaszcza że w XIII wieku zakony żebrzące podniosły w świadomości ludzi społeczną rangę żebrania. Wiadomo, iż świetny polityk, Piotr de Vineis, kanclerz cesarza Fryderyka II, za młodu jako student nieraz musiał żyć z żebraniny.

O biednych, plebejskich studentach, nie mających żadnych znajomości, pisał kanclerz paryski Odo de Châteauroux, że jedynym ich protektorem jest św. Mikołaj (patron młodzieży studiującej). *Pauper studiosus* zarabiał na życie i naukę najrozmaitszymi sposobami. Nie wahał się nawet przed pracami ciężkimi. Krewniak papieża Urbana, później mianowany kardynałem, za młodu jako student nosił podobno mięso z rzeźni. Jacques de Vitry pisze, że studenci zarabiali na życie roznoszeniem wody święconej. Bardzo często źródłem dochodu biedaka było kopiowanie podręczników dla kolegów. Nawiasem mówiąc, Guiard de Laon skarżył się, że taki *pauper* tylko dla siebie kopiował tekst wiernie; pisząc na zamówienie kolegi dbał jedynie o to, aby pisać kaligraficznie i szybko (*Pauperes scolares manu sua propria sibi vel aliis scribunt, quod sibi fideliter, quod aliis pulcre et velociter*).

Niekiedy *pauper* nie miał pieniędzy na kupno świecy; często jedynym majątkiem takiego biedaka był materac. Jacques de Vitry opowiada historię o studencie, który umiera i prosi kolegę, aby oddał jego materac jeszcze biedniejszemu za spokój jego duszy. Nierzetelny kolega zatrzymuje materac dla siebie, ale w czasie snu widzi zmarłego, który cierpi leżąc na twardym łożu. Oddaje więc materac biednemu – i widzi znów we śnie przyjaciela, leżącego na komfortowym pośnaniu.

Robert de Sorbon, który należał do ubogich studentów, wspominał później ciężką dolę *paupra*. Gdy inni wyjeżdżali na wakacje konno i ze świtą, młody Robert wracał do domu pieszo pod palącym słońcem. „Ojciec mój ledwie mnie poznał, tak szerniałem w drodze od słońca”. Już jako dygnitarz Robert z goryczą pisał o bogatych studentach, mających lepszą strawę, dobrych nauczycieli oraz liczne i piękne książki, do których jednak nigdy nie zaglądały. Nieraz biedni studenci robią większe postępy od tych, którym na niczym nie zbywa.

Dotarcie na studia wyższe nie dawało jednak gwarancji ich ukończenia. Najwięcej wędrownych studentów, wagantów wywodziło się ze środowisk ubogich. Liznęli oni nieco wiedzy, ale karierę zakończyli w roli wiecznych proletariuszy nauki, anarchistów, poetów i śpiewaków, niekiedy zaś po prostu łotrzyków. Ci byli postrachem władz, księży, statecznych mieszczan.

Tajemnice układu społecznego wśród studentów wyjaśnia przeciętny koszt studiów. Roffredus z Benewentu, sławny mistrz XII wieku, ostrzegał kandydatów na studia, że muszą mieć wystarczające środki, bo inaczej nie podołają nauce. Odofredus cytował na wykładzie przykład ojca, który z 200 lirów bolońskich dochodu rocznego połowę, tj. 100 lirów, posyłał synowi na studia w Paryżu albo Bolonii. Sądzić można, że ten przykład odpowiadał mniej więcej realnym stosunkom w środowisku średniozamożnych mieszczan. Dochód 200 lirów rocznie – to właśnie średni stopień zamożności. Oczywiście, wymagania mogły być różne. Ale chyba tradycyjnie student miał zawsze za mało pieniędzy.

Pieniądzy zawsze mało

Większa część zachowanej korespondencji studenckiej z XIII i XIV wieku dotyczyła właśnie pieniędzy. „Pierwszą pieśnią studentów jest żądanie pieniędzy i nie ma nigdy listu, w którym by nie domagali się pomocy” – pisał ojciec, Włoch, strapiony żądaniami syna. Wtórował mu ojciec studenta Oksfordu: „Student jest jak kukułka, zna tylko jedną piosenkę: daj, daj, daj.” Formularze, tj. zbiory stereoty-

powych listów, które w średniowieczu były bardzo popularne i ciągle kopiowane, podają wiele wzorów takich prośb studenckich o pieniądze. Adresatami byli zwykle rodzice, rodzeństwo, wujowie, przełożeni kościelni. Jedno z często kopiowanych trzynastowiecznych ćwiczeń retorycznych podawało aż 22 różne sposoby atakowania o pieniądze skąpego dygnitarza kościelnego, archidiakona. Często prośby dotyczyły nie pieniędzy, ale wsparcia w naturze: proszono o księgi, pergamin, spodnie, sukno, bieliznę itp. Formularze często podpowiadały szczególne powody, mające usprawiedliwić zwiększone wymagania studenta: „z powodu ostrej zimy wydałem więcej”; „zboża wyginęły i stąd bardzo duża była drożyzna”; „z powodu przyjazdu cesarza, którego Bolończycy oczekiwali ze strachem, Bolonia stała się nadzwyczaj droga, zwłaszcza gdy idzie o żywność”. Inne powody zwiększonych wydatków – to groźba wojny, szczególny napływ studentów do miasta, trudności z uzyskaniem kredytu.

Niektóre listy studenckie zdradzają jednak indywidualne cechy pióra, nie są tylko kopią z formularza. Zacytujemy taki list, napisany zresztą w okropnej łacinie, przez trzynastowiecznego studenta Oksfordu:

„Donoszę waszmości, że studiuję w Oksfordzie z największą pilnością, ale pieniądze bardzo utrudniają moją promocję. Minęły już bowiem dwa miesiące, jak wydałem to, co mi posłaliście. Miasto jest drogie i wielkie stawia wymagania: trzeba wynająć hospicjum i kupić przybory oraz wiele innych rzeczy, których tu teraz nie mogę wyliczać. Dlatego błagam waszej ojcowskiej łaskawości, abyście mi pomogli na miłosierdzie boskie, tak żebym mógł skończyć, co dobrze zacząłem. Musicie wiedzieć, że bez Cerery i Bachusa marznie Apollo.”

Opisy, które miały wzruszyć serce adresata, były niekiedy dramatyczne:

„Jęczę i żebrzę po domach duchownych; prośby moje powtarzam nieraz i po dwadzieścia razy: »O dobry panowie« i tak dalej i dostaję od nich tylko »Idź z Bogiem«. Potem śpieszę do drzwi laików, od których najczęściej mnie odpędzają z krzykiem i łajaniem, a jeśli czasem mówią mi:

»Zaczekaj«, to wynoszą chleb najgorszego gatunku, który psy boją się zjadać.”*

Autor listu – student boloński – opisuje dalej, jak w jałmużnie dają mu mieszczanie żyły, kości, podroby, odpadki i ohydne wino (*vina dampnata*). Nieszczęsny student-żebrak włóczy się po nocy z kijem, którym musi odpędzać psy, wpada w bolońskie błoto cuchnące zapachem grobowca, itd.

Inny student pisze żałośnie do siostry: „Leżę zaś na słomie bez pościeli i chodzę bez butów i źle ubrany, bez koszuli” (*Iaceo quidem in paleis sine lineamentibus et incedo discalciatus et male vestitus sine camissia*). Dobra siostra posyła biedakowi pieniądze oraz pościel, dodając: „Strzeż się najpilniej, aby to nie doszło do wiadomości mojego męża, bo gdyby o tym wiedział, zupełnie by mnie zabił i zniszczył” (*Cave tamen cum summa diligentia ne hoc possit ad mei mariti noticiam pervenire, nam si hoc sciret mortua essem penitus et destructa*).

Nie wszyscy krewni jednak równie chętnie pomagali. Odpowiedzi na błagalne listy bywały często odmowne. Proszący za dużo wydaje; to on raczej powinien dawać pomoc ojcu, niż wydierać mu ostatnie dukaty; winnice w tym roku nie obrodziły – tak uzasadniano odmowę. Bardzo często przyczyną odmowy były wiadomości o niewłaściwym zachowaniu się studenta i braku postępów w nauce. Ojciec z Besançon tak tłumaczył, dlaczego nie posyła pieniędzy synowi, studiującemu w Orleanie:

„Właśnie dowiedziałem się, że prowadzisz życie leniwe i rozwiązłe, tak dalece, że rozpustę bardziej lubisz od celibatu, zabawy przekładasz ponad rzeczy poważne, a gdy inni chodzą na zajęcia, ty podobno grasz na gitarze.”**

* *Per hostia scolarium clamito mendicando. Insisto quippe reiterans aliquando vigesies, O boni domini, vel huiusmodi, et non reporto nisi vade cum Deo. Festino postmodum ad hostia laicorum a quibus frequentius repellor cum clamoribus et garitu et si quando dicitur, Expecta, exhibetur mihi panis de triplici mensura, quem canes comedere perorrescunt.*

** *Te nuper intellexi molliter et dissolute adeo vivere ut petulanciam plus celibatu diligas et ludicra seriis anteponas, nec non cum ceteri lucubrationi vacant in cithara diceris concrepare.*

Operacje pieniężne i kredytowe

Jeśli jednak rodzina w końcu wysłała pieniądze, kłopoty studencie nie kończyły się od razu. Bardzo często upragnione i wytęsknione pieniądze przychodziły do adresata nieregularnie i z opóźnieniem. Transport pieniędzy w średniowieczu stanowił zadanie bardzo trudne; stan bezpieczeństwa na drogach był taki, że wypadało zabezpieczać przesyłki pieniężne zupełnie wyjątkowymi środkami ostrożności. W rezultacie pieniądze spóźniały się. Zachowało się sporo rozpaczliwych listów studenckich z XII i XIII wieku donoszących o spóźnianiu się przesyłki. Podobnie nieprzyjemne przygody spotykały nie tylko młodzików: nawet poważni księża-beneficjanci, proboszczowie i kanonicy, słali oburzone listy, gdy beneficja nie dostarczały regularnie dochodów.

Początkowo posyłano pieniądze przez godnych zaufania i dobrze zabezpieczonych przed przygodami kupców czy kolegów ze studiów, którzy udawali się do uniwersyteckiego miasta. Wszystkie niedogodności tego systemu spowodowały wynalezienie prostszej formuły – przekazu bezgotówkowego. Wielkie miasta uniwersyteckie – Paryż, Bolonia, Neapol – miały poważne firmy bankierskie, których korespondenci i agenci znajdowali się w wielu większych miastach. Wystarczyło wpłacić odpowiednią kwotę korespondentowi bankiera, który listownie przysyłał potwierdzenie wpłaty. Na tej podstawie bankier na miejscu przekazywał pieniądze adresatowi. System ten był wielkim ulepszeniem, ale nie przyspieszał przesyłek. Korespondencja szła wolno i przekazy często się spóźniały.

Studenci, zniecierpliwieni opóźnianiem się przesyłki, mogli zaciągać krótkoterminowe (na ogół od miesiąca do pół roku) pożyczki. Bankierzy nie odmawiali wysoko oprocentowanych pożyczek wypłacalnym studentom. Zabezpieczano je zastawem cennych i drogich rękopisów, dzieł naukowych. Akta miejskie wskazują, że pożyczki zaciągano nie tylko u zawodowych bankierów, ale także u kolegów i u profesorów. Ci ostatni, aby sobie dorobić, pożyczali często swoim pupilom pieniądze na wysoki procent. Takie lichwiarskie apetyty mężów nauki gani wielokrotnie cytowany Odofredus, prawdziwa kopalnia wiadomości o życiu uniwersyteckim XIII wieku. Czasem mo-

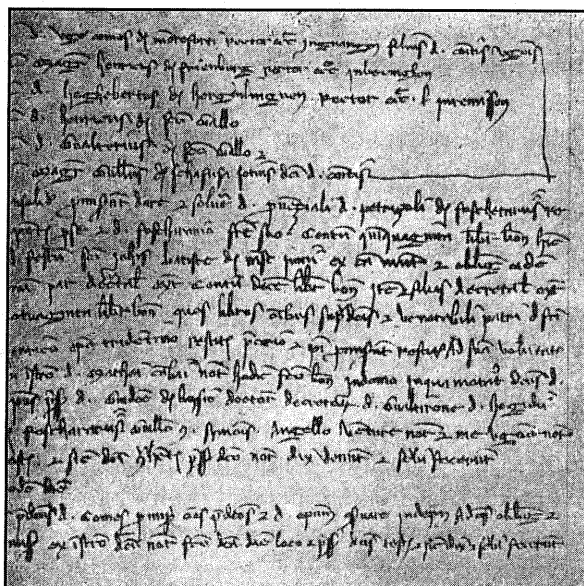


Wykład Piotra de Unzola na uniwersytecie bolońskim.
 Miniatura z XV wieku.

Scena szkolna w średnio-
wieczu.



Umowa o pożyczkę
studencką z końca XIII
wieku. Dłużnikiem jest
hrabia
Hugo de Montfort,
żyruje pięciu studentów



tywy profesorskich pożyczek były bardziej szlachetne, choć też nie bezinteresowne: pożyczali, aby przyciągnąć do siebie większe grono słuchaczy. Grała tu rolę ambicja zawodowa, a na uniwersytecie typu bolońskiego – także i wysokość honorarium. I znowu nieoceniony Odofredus wspomina o zjednywaniu sobie słuchaczy przez chętnie udzielanie pożyczek. Nie gani takiego procederu, ale z ironią i wyższością mówi o swoich kolegach, którzy nie potrafili inaczej zdobyć popularności i autorytetu wśród studentów.

Pożyczki, zwłaszcza u zawodowych bankierów, były oprocentowane wysoko. Kościelne zakazy lichwy – przestarzałe, bo utrudniające wszelką działalność kredytową – nie odgrywały w XIII wieku większej roli. Po prostu nie ujawniano pobieranego procentu. Skrypty dłużne wystawiano przeważnie na sumę wyższą niż ta, która rzeczywiście została pożyczona: w ten sposób pobierany procent pozostawał ukryty. Trudno dokładnie ustalić, jaką stopę procentową stosowano najczęściej. W XIII wieku włoskie statuty miejskie zaczęły jawnie dopuszczać pobieranie odsetek, ale nie wyższych niż około 20%. Ta wysoka stopa procentowa nie wystarczała lichwiarzom, często ją przekraczali. Wiemy o tym z dość oryginalnego źródła: oto w testamentach bankierzy tknięci skruczą nieraz przyznawali się do stosowanego wyzysku, czasem nawet zobowiązywali swoich spadkobierców do restytucji nieprawnych dochodów z lichwy. Widać na łożu śmierci zaczynała jednak działać obawa przed karą wieczną za pobieranie odsetek. Kościelna nauka o lichwie, zupełnie nieżyłowa i nawet przez kler nie przestrzegana, tkwiła jednak w świadomości ludzi, również takich realistów, jak zawodowi bankierzy.

Pobierane odsetki były rzeczywiście lichwiarskie. Ale na usprawiedliwienie chciwych mieszczuchów można dodać, że wysokie procenty to przecież nie tylko dochód średniowiecznego bankiera, lecz i premia za ryzyko. A było ono wysokie, wspominaliśmy już o częstych ucieczkach studentów nie chcących regulować swoich długów. Pół biedy jeszcze, jeżeli uciekinier miał bogatą rodzinę, ale nieraz student nie związany z żadnym miejscem zamieszkania i pozbawiony bogatych krewniaków uciekał do innego miasta lub innego kraju; w takim wypadku szukanie niesumiennego dłużnika było szukaniem igły w stogu siana.

Nie trzeba się zatem dziwić zabezpieczaniu pożyczek, udzielanych studentom, i to na wszelkie możliwe sposoby. Najprostszy – to pożyczanie pod zastaw, zwykle książek; rękopisy były na ogół najcenniejszą częścią studenckiego dobytku. Bogatsi zastawiali u bankierów swoje konie i ubrania. Wzięcie w zastaw koni dawało dobrą gwarancję przed ucieczką dłużnika. Mniej skuteczną formą gwarancji było żyrowanie pożyczek. Bankierzy wymagali w zasadzie wielu studenckich żyrantów, zwykle nie mniej niż dwóch kolegów żyrowało długi studenta, a czasem nawet i dziesięciu. Wielka liczba żyrujących nie świadczy korzystnie o skuteczności tego zabezpieczenia. Cenionym żyrantem studenckiej pożyczki był profesor. Ale niełatwo udawało się skłonić mistrza do przyjęcia odpowiedzialności za cudze długi. Starsi studenci, weterani studiów, potrafili jednak sobie radzić; zachowały się wiadomości o tym, jak obrotni scholarzy zapraszali profesorów na obiady i pijatyki, poili winem i w ten sposób skłaniali do żyrowania weksli. Oczywiście, tak familiarne stosunki były możliwe przede wszystkim na demokratycznej uczelni typu bolońskiego. Wedle prawa każdy żyrant odpowiadał swym majątkiem za całą pożyczoną sumę. Podżyrowanie weksla ograniczało swobodę osobistą: przed wyjazdem z miasta żyrant musiał na swoje miejsce dać zastępcę, *substituto*. W archiwach miejskich przechowało się wiele takich substytucji.

Wreszcie praktyka знаła jeszcze jeden środek zabezpieczania studenckich pożyczek. Oto w umowie pożyczki musiała być zawarta uroczysta przysięga dłużnika *ad sancta Dei evangelia*, że nie ucieknie przed spłaceniem dłużnej sumy. Bankierzy liczyli widać na lęk średniowiecznego człowieka, choćby nawet wolnomyślnego i swobodnego w obyczajach, przed strasliwym grzechem krzywoprzysięstwa. Zresztą ten grzech był jednocześnie w prawie średniowiecznym surowo karanym przestępstwem kryminalnym.

Atrakcje wielkiego miasta

Ci studenci, którzy mogli opędzić swoje codzienne potrzeby, którzy nie troszczyli się o środki finansowe (a takich była przecież spo-

ra część, bo studiowali na ogół ludzie zamożni), wspominali potem studia jako najszcześniejszy okres życia. Ich opowieści – na przykład o Paryżu jako raju wesołości i swobody – jakże są odmienne od zgorzkniałych, nieraz wstrząsających relacji biedaków o prześladowającym ich, długo pamiętanym głodzie paryskim, *Parisiana fames*.

Dla młodego człowieka, który przyjeżdżał ze wsi średniowiecznej, z prymitywnych dworów szlacheckich lub z małej miściny, wielkie miasta uniwersyteckie musiały być objawieniem. Imponował poziom życia ludzi wielkiego miasta, jego zabytki i sztuka. W wielkich stolicach – Paryżu, Neapolu – fascynowały błyskotliwe kariery polityczne i przepych dworu królewskiego. W mniejszych miastach uwodziła wyobraźnię autonomia miejska, kontakty handlowe z różnymi krajami, zamożność wielkich kupców i bankierów, luksus sprzedawanych towarów. Wszędzie budziła pychę wysoka pozycja środowiska uniwersyteckiego, autorytet mistrzów, poziom uczonych dyskusji. Nawet ci studenci, którzy nie należeli do najbogatszych, mogli zawsze znaleźć powód do dumy w swej uczoności, wyrastającej wysoko ponad przeciętny poziom zwykłego mieszczanina i szlachciury, prostego księdza i zakonnika.

Cinus z Pistoii, sławny włoski uczony i poeta, przyjaciel Dantego, przekazał doskonały portret takiego starego wygi studenckiego: weterani bolońskich studiów udają bardzo uczonych i krocą dostojnie, jakby nieśli całe prawoznawstwo w swej obszernej todze. Lubują się we własnych słowach, jakby już byli Sokratesami i Platonami. Robert de Sorbon ganił studentów, którzy nie chcieli wysłuchać do końca wywodów profesora, ale przerywali mu, wołając: „Wiem dobrze, co chcecie powiedzieć” (*Clamant dicentes, bene scio quid vultis dicere*). Jeszcze wcześniej, w XII wieku, Jan z Salisbury żalił się nad zarozumiałością paryskiej młodzieży w łacińskim poemacie *Entheticus*:

Jeśli znasz Autorów, jeśli omawiasz dzieła klasyków,
Aby ustalić to, co właśnie masz do dowiedzenia,
Zewsząd będą wołać: „Dokąd zmierza ten stary osioł?
Dlaczego nam referuje pisma i dzieła starożytnych?
Sami wiemy, nasza młodzież jest uczona,
Nasza kompania nie dba o dogmaty starców...

Mieszkam koło Petit-Pont, jestem nowym autorem in arte,
Sławię się, że do mnie należy to, co już wcześniej odkryto;
To, czego uczyli starzy i co ignorują młodzi przyjaciele,
Jest, przysięgam, odkryciem mojego umysłu”.

Kiedy czytamy liczne opisy, jak studenci „nie potrafią być uczniami, a chcą, by ich uważano za mistrzów” (Stefan z Tournai), rozumiemy lepiej upokarzający przepis, który wydano w XIV wieku paryskim studentom sztuk. Nakazano im wtedy, aby podczas wykładu siadywali nie w ławkach, lecz na schodkach, a to w celu wybicia studentom z głowy pychy, z jaką obnosili swoją uniwersytecką uczoność.

Oczywiście uniwersytet studencki w Bolonii był dla słuchaczy atrakcyjniejszy od paryskiego uniwersytetu profesorskiego, gdzie studentów trzymano krótko. Nieprzypadkowo największe pochwały uczelni paryskiej przekazali nam wybitni uczeni, ze sławnym Janem z Salisbury na czele. W liście do angielskiego kanclerza Tomasza Becketa Jan pisał w roku 1164, że ledwie przepłynął kanał la Manche, przybywając z Anglii do Francji, a już poczuł łagodniejsze powietrze; podziwiał urodzajność ziemi, spokój i szczęście ludu, obfitość żywności, grzeczność mieszkańców, poszanowanie kleru, majestat Kościoła, sławę i różnorodność zainteresowań uczonych. Paryż dla środowiska uczonych to nie tylko matka nauk (*parens scientiarum*); stary kalambur powiada, że Paryż to raj ziemski – *Parisius mundi Paradisus*.

Zachwyty poetów natomiast budziła częściej druga stolica nauki – Bolonia; wyobraźnię ich uwodziła swoboda i łatwość życia w demokratycznej komunie bolońskiej. Cinus z Pistoii i Franciszek Petrarca sławił Bolonię za zdrowy klimat, piękne położenie wśród malowniczych pejzaży, górski chłód tak przyjemny w lecie, żyzność ziemi, bogactwo mieszczan, piękne budowle i... kobiety. Zdaniem Petrarce Bolonia to najpiękniejsze miejsce na ziemi, gdzie panuje największa swoboda i łatwość życia. Obraz tego miasta upiększały poecie wspomnienia miłości, gdy jako student bawił się do późnej nocy, a potem przełaził do domu przez dziury w murze.

Cinus z Pistoii także wspomina mile swobodny żywot bolońskiego studenta. Już jako profesor, uczony prawnik, Cinus – człowiek

pełen temperamentu, wysoki i urodziwy, a przy tym świetny poeta – potrafił łączyć prawniczą teorię z praktyką... miłosną; był prawdziwym uczonym-światowcem. Jakże wymowne są jego słowa: „Grzechy cielesne popełniamy wszyscy; wierzcie mi – popełniają je i uczeni w prawie, a wśród nich także i najwybitniejsi” (*Delicta carnis omnes tangunt, et mihi crede etiam iurisperitos, et eos quidem excellentes*).

Oczywiście, nie wszyscy pochwalali tę studencką swobodę obyczajów. Nawet nie wszystkim poetom podobala się atmosfera, która dawała już przedsmak renesansu. Wielki Dante w osiemnastej pieśni *Piekle* potępiał uczoną Bolonię jako siedlisko rozpusty. Co prawda owa krytyka miała chyba polityczny podtekst: Dante pochodził z Florencji i był stronnikiem cesarza, gibelinem; to zapewne tłumaczy jego niechęć wobec propapieskiej Bolonii.

Klasyczny tekst, potępiający uniwersytecką rozwiązłość, przekazał w początkach XIII wieku historyk i teolog francuski Jacques de Vitry, który tak pisał w swojej *Historia Occidentalis* na temat zgubnego wpływu Paryża, stolicy nauk:

„Zepsuty głębiej postawą kleru niż innych mieszkańców, niczym cuchnąca koza i owca nieczysta, zgubnym przykładem pożera licznych przybyszów, którzy tu zewsząd napływają, i własnych mieszkańców; pociąga ich wraz z sobą w przepaść. Zwykły nierząd nie jest tu uważany za żaden grzech; publiczne nierządnicze na wszystkich ulicach i placach miejskich gwałtem ciągnęły do swych lupanarów przechodzących kleryków. Jeśli zaś odmawiali wejścia, wykrzykiwały za nimi, nazywając ich sodomitami. Ten grzech ohydny i wstrętny tak dalece ogarnął miasto, niczym nieuleczalny trąd i śmiertelna trucizna, że uważano za rzecz godziwą, jeśli ktoś jawnie utrzymywał jedną lub więcej konkubin. W jednym i tym samym domu szkoły były na górze, zamtuzy na dole. W górnej części wykładali mistrzowie, w dolnej zaś nierządnicze spełniały obrzydliwe rzemiosło...” (*in parte superiori magistri legebant, in inferiori meretrices officia turpitudinis exercebant*).

Zatrata religijności

Wszystkie kazania zajmujące się sprawami uniwersytetu, wspomnienia pobożnych mężów, dzieła teologów, statuty papieskich legatów – zgodnie potępiały doczesne zainteresowania studentów, których obyczaje oburzały i przerażały ludzi Kościoła. Lekceważenie kościelnych reguł moralności, obojętność wobec zbawienia duszy, lekceważenie dla grzechu, nowa, laicka skala wartości i autorytetów – to zjawisko, z którym Kościół nie chciał się pogodzić. Groziło bowiem zatrata rządu dusz, którego zazdrośnie strzeżono we wszystkich środowiskach społecznych.

Dominikanin Jean de Monthléry oburzał się, że studenci zaraz po przyjeździe do Paryża biegną do łaźni, aby się wykapać, ale żaden nie idzie do spowiedzi, aby oczyścić swoją duszę. Ze zgorszeniem cytowano słowa św. Augustyna, że uczeni uważają za większy wstyd zgrzeszyć przeciw regułom Donata (sławnego gramatyka) niż przeciw prawom Chrystusa. Studenci – powiada Gautier de Château-Thierry – niechętnie chodzą na mszę, skarżą się na jej długość i wolą stać na zewnątrz niż w samym kościele. O nastroju, w jakim studenci słuchali mszy, mówi trzynastowieczny paryski wierszyk:

*Vox in choro, mens in foro
Vel in mensa, vel in thoro.*

Głos na chórze, lecz myśl na ulicy,
Albo w jadalni, lub w łóżku.

Alvaro Pelayo, hiszpański teolog z XIV wieku, pisał, że studenci nie chodzą w ogóle do kościoła, a jeśli już tam pójdą, to po to, aby oglądać dziewczęta i opowiadać facecje. Ci, którzy niczego nie chcą się uczyć, uczą się jednak łatwo „zakazanych nauk” i miłosnych rozmów. Wspomniany już Jean de Monthléry łamał ręce nad laickimi zainteresowaniami paryskich słuchaczy teologii. Zajmują ich rzeczy doczesne, perspektywa prebendy i to, jak zaspokoić swoje przyziemne żądze. Guiard de Laon opowiadał w swych kazaniach, że studenci w Paryżu robią rzeczy, o których w domu nawet by nie śmieli pomyśleć. Sumuje te opinie sławne zdanie Roberta de Sorbon: „Stu-

denci zajmują się zaćmieniem słońca, ale nie dbają o zaćmienie duchowego słońca, które grzech sprowadza w ich serca.”

Lenistwo – pierwszy stopień do piekła

Za pierwszą przyczynę wszystkich dalszych grzechów uważano studenckie lenistwo. Leniuchy wałęsają się od jednego mistrza do drugiego, na wykłady chodzą dlatego, by nie stracić przywilejów studenckich. Robert de Sorbon wyjaśniał przy jakiejś okazji, że tylko ten, kto przynajmniej dwa razy w tygodniu chodzi na wykłady zwyczajne, jest studentem i może liczyć na pomoc uczelni, jeśli urzędnik królewski – *prévôt* – umieści go w więzieniu Châtelet. Ale leniwy chodził na wykłady nie po to, by się uczyć. „Wieczni studenci” pokazywali się wprawdzie na wykładzie, nie chcąc tracić przywilejów uniwersyteckich, nigdy jednak nie przystępowali do żadnych egzaminów.

Leniwy student spał długo w swojej kwaterze. Potem od rana objadał się ciastkami. To zamiłowanie do ciastek było widać dość powszechne, skoro mówił o nim trzynastowieczny studencki dwuwiersz:

*Parisius locus egregius; mala gens, bona villa
Nam duo pastilla pro nummo dantur in illa.*

Paryż to wspaniałe miejsce; źli ludzie, ale dobre miasto,
Bo za jeden grosz dostaje się tu dwa ciastka.

Surowi moralisci oburzali się na to zamiłowanie do słodczy, tak jak gdyby dobre rzeczy były stworzone tylko dla grzeszników. Co więcej, oburzało ich zajadanie ciastek z samego rana; nie wiadomo dlaczego sądzono wtedy dość powszechnie, że rano wystarczy zjeść byle kawałek chleba i popić piwem. Większe śniadanie jadano dopiero około południa. Toteż student jedzący ciastka po obudzeniu stawał się symbolem obżarstwa i gnuśności.

Leniwy scholar wybierał te przedmioty, których wykłady zaczynały się od *hora tertia*, tzn. od dziewiątej rano, a jak ognia unikał tych, które wykładano od szóstej. Co gorsza, na wykładzie często drzemał; z oburzeniem mówili o tym dominikańscy kaznodzieje pa-

ryscy. Inni studenci całe dnie spędzali na wyglądaniu przez okno i wałęsaniu się po ulicach. O tym bractwie ludzi wygodnych i nie lubiących pracy mówiły popularne studenckie piosenki, śpiewane na ulicach przy akompaniamencie tamburynów i gitar.

*Li tens s'en veit
Et je n'ei riens fait;
Li tens revient
Et je ne fais riens.*

Czas ucieka,
A ja nic nie zrobiłem;
Czas powraca,
A ja nie robię nic.

Klęska powrotu

Oczywiście skutki takiego wygodnego życia były żałosne. Wielokrotnie przedłużany pobyt w mieście musiał się kiedyś skończyć.

Przechowało się wiele listów studenckich, których autorzy prosili rodziców lub przełożonych o zgodę na przedłużenie pobytu na uczelni. Ale wieczny student musiał w końcu wrócić do domu, jeśli oczywiście miał taki dom, gdzie czekały go środki utrzymania; jeśli nie – cech wagantów, *ordo vagorum*, stał otworem dla niedoszłego uczonego. Studenci z zamożnych rodzin z żalem opuszczali miasto uniwersyteckie z jego swobodą, dobrą i wesołą kompanią, wielkomięskimi atrakcjami. Niechętnie wracano do szarżyzny codziennego życia, choćby i dostatniego. Student włoski ze Sieny, odwoływany przez rodziców do domu, gdzie czekała nań piękna narzeczona, pisał w liście do ojca, że głupotą byłoby porzucić uniwersytet dla kobiety. Czasem tylko studenci, którzy zachorowali w obcym mieście albo nie czuli powołania do studiów, spieszyli się z powrotem, prosząc o konia i pieniądze na drogę. Rzadkie są listy tak szczere, jak ten, napisany przez trzynastowiecznego francuskiego młodzieńca: „Im więcej się uczę, tym mniej rozumiem. Trudno mi zapamiętać wykłady... Wolę zawód rycerski od godności kościelnych.”

Wielu studentów wracało do domu po latach studiów bez pieniędzy i bez wiedzy. Guiard de Laon oburza się na marnotrawców, którzy w Paryżu przejadają nie tylko własną schedę, ale też majątek ojca, matki, braci albo dobra kościelne. Alvaro Pelayo szydzi z wiecznych studentów, którzy niczego się nie nauczyli: „... nie to, że się studiowało w Paryżu lub w Bolonii, zasługuje na pochwałę, ale to, że się studiowało z pilnością”. Studenci wracają do domu z mądrym workiem (bo pełnym ksiąg), ale z pustą głową – wołał anonimowy kaznodzieja paryski w XIII stuleciu. „A cóż to za mądrość [ta w worku z książkami], którą złodziej może ukraść, mysz i mól pożreć, woda lub ogień zniszczyć?”

Trudno się dziwić, że nie wszystkim studentom starczało wytrwałości w nauce. Kontrola rodziny była praktycznie żadna, egzaminy dalekie w perspektywie wielu lat, a tymczasem – życie studenckie pełne atrakcji i przyjemności.

Gaudeamus

Do tych rozrywek należało w pierwszym rzędzie picie. Karczmą, gospoda stanowiła ośrodek życia towarzyskiego, koleżeńskich spotkań, uroczystości i pijatyk. Pito rzeczywiście dużo, pewnie więcej nawet niż dzisiaj we Francji i Włoszech, gdzie przecież od wina się nie stroni. Ale na usprawiedliwienie klientów tawern paryskich i bolońskich przypomnieć wypada, że w powszechnym użyciu było wówczas wino i piwo, nie znano natomiast jeszcze ani herbaty, ani kawy (dodajmy: ani tytoniu).

Moraliści załamywali ręce nad hałaśliwością studentów. Rozdzierały im uszy studenckie piosenki, tamburyny i gitary, gwizdy, słowa nieprzystojne i przekleństwa (*verba levia et scurrilia*). Oburzał zwyczaj „grania” na naczyniach kuchennych. Przerażały rybałtowskie pieśni, frywolne i aspołeczne, w ustach młodych intelektualistów.

Jeszcze gorszy był studencki obyczaj zapamiętałej gry w kości, które zastępowały wówczas karty. Bywali i tacy amatorzy, którzy nad kośćmi spędzali większą część dnia. Robert de Sorbon oburza się, że paryscy studenci grają codziennie. Cytuje on przykład księdza, który

przegrawszy 10 liwrów i konia, powiesił się. „Taki jest koniec gry w kości” (*lusit X libras et equum suum, post suspendit se. Hic est finis taxillorum*). Kardynał legat Simon de Brie ze zgrozą stwierdzał w 1276 roku, że studenci paryscy w czasie świąt nacji uniwersyteckich grają w kości nawet w kościołach, na świętych ołtarzach. Dostojnik kościelny dopatrywał się w tym przymieszki ducha heretyckiego; dziś raczej widzielibyśmy w tym zwyczaju złe maniere i zuchwałość zrodzoną z religijnej obojętności.

Inne gry i zabawy – to na przykład wyścigi oraz walki zwierząt (Jacques de Vitry opisał paryski zwyczaj urządzania walk kotów). Konie, psy były obiektem wielu dyskusji i burd studenckich.

W ustroju paryskim nie obowiązywała, zdaje się, studentów bezżenność, jedynie do kolegów przyjmowano wyłącznie kawalerów. Niemniej na uniwersytetach typu paryskiego studiowała zapewne tylko minimalna liczba żonatych. Nie oznacza to oczywiście wcale, że studenci prowadzili życie w księżowskim celibacie. Kazania i listy ojcowskie wypominały im nieustannie życie rozwiązłe i popieranie lupanarów. Bardziej wierzymy tym oskarżeniom niż zarzekaniu się obwinionego studenta w liście do rodzica: „Kłamię aż do środka zębów ci, którzy to o mnie opowiadają.”

Mieszczuch, filister był przedmiotem ulubionych studenckich żartów. Guiard de Laon karci studentów, którzy wyciągają język i grają na nosie pod adresem przechodniów (*linguam protrahunt et naso subsannant... in derisione coram se transeuncium*). Inny kaznodzieja gniewa się na kleryków, którzy wyśmiewali perukę sąsiadki.

Wszystkie te zabawy i gry osiągały szczególne natężenie w czasie wielkich uroczystości uniwersyteckich. Do takich należał przede wszystkim dzień 6 grudnia, święto patrona studentów – św. Mikołaja. Z XIII wieku zachowały się wiadomości o urządzanych wówczas przedstawieniach studenckich (obrazy z życia św. Mikołaja, sceny z codziennego żywota studentów). Tańczono na ulicach i placach w dzień i w nocy, pito więcej niż zazwyczaj. Bardziej lokalnym, ale niemniej hucznym świętem uniwersyteckim były dni poszczególnych nacji. Niektóre nacje miały zwyczaj urządzać wtedy monstualne pijaństwo: przepijano nadwyżkę dochodów nacji za cały rok.

Uniwersytet brał także czynny i hałaśliwy udział w świętach ogół-

nych. Boże Narodzenie było okazją do maskarad i bachicznych pochodów, które znowu oburzały pobożnych kaznodziejów i teologów.

Szczególne rozluźnienie dyscypliny studenckiej przypadało wszędzie na okres karnawału. Studenci uważali, że są w tym czasie wyjęci spod wszelkich reguł, obowiązujących na co dzień. Ale karnawałowe „rozpasanie” w zasadzie nie przekraczało granic umiarkowanego chuligaństwa. Z królewskich zakazów wydanych w 1303 roku wiemy, że studenci uniwersytetu w Neapolu podczas świąt Bożego Narodzenia i karnawału gromadzili się na ulicach i obrzucali przechodniów kamykami i pomarańczami. Przed tą rozrywką studencką nie byli chronieni nawet profesorowie; owszem, studenci ciskali południowymi owocami także we własnych mistrzów. Król Karol II zabronił tych praktyk pod karą grzywny; tym zaś spośród tłumu mieszczan, którzy by wzięli udział w studenckich awanturach karnawałowych, dekret królewski groził publiczną chłostą. Charakterystyczna jest ta różnica sankcji karnej: główni winowajcy mieli być karani znacznie łagodniej niż postronni pomocnicy. Jest w tym wyraz powszechnego przekonania, że student uniwersytetu – bez względu na pochodzenia społeczne – to jednak coś znacznie lepszego niż prosty mieszczanin.

Podobne zakazy pojawiały się w statutach innych uniwersytetów. Ukazują one dość oryginalne rozrywki karnawałowe. Wedle statutu uniwersytetu w Montpellier z roku 1339 studenci mieli tu zwyczaj wagarować z wykładów przez cały tydzień zapustów; włóczyli się po ulicach, ciskali kamieniami, kijami i innymi przedmiotami, co więcej – wdzierali się do domów, porywając mięso i inne rzeczy jadalne. Prześladowali też „łamistrajków”, którzy w czasie zapustów chodzili normalnie na wykłady.

Gwałty i bijatyki

Awanturnictwo to zarzut, który studentom stawiano we wszystkich miastach uniwersyteckich. „Gdziekolwiek są, w Paryżu czy Orleanie, niepokoją całą okolicę i całą społeczność, a także cały swój uniwersytet” – oburzał się Jean de Montlhéry. Anonimowy student

paryski pisał w XIII wieku: „Codzienny strach mąci mój umysł, a bać się muszę napaści złych kolegów”. Oficjał sądu biskupiego w Paryżu stwierdzał w 1269 roku, że studenci „nocą i dniem wielu ludzi okrutnie ranią, a nawet zabijają, porywają kobiety, napastują dziewice, wdzierają się do mieszkań”.

Na usprawiedliwienie studentów powtórzyć by można za kancle-rzem paryskim z XIII stulecia, Filipem de Grève, że wielu łotrzyków przebierało się za studentów, by po awanturach i napaściach ująć pościgowi policji miejskiej. Student wyjęty był spod władzy miasta i to sprawiało, że na rachunek młodzieży uniwersyteckiej „pracowa-ło” wielu zawodowych rzezimieszków. Niemniej rejestr burd i awan-tur studenckich – gdyby taki zrobić – byłby również bardzo bogaty.

Awantury te rozgrywały się, by tak rzec, na wielu płaszczyznach. Najmniejszy zasięg miały burdy prywatne między poszczególnymi studentami lub małymi grupkami. Od kłótni o psy, konie lub – pro-szę wybaczyć zestawienie – o kobiety przechodzono do bójek na kije, noże lub miecze; rozbijano sobie głowy i obcinano palce. Tem-peramenty młodych ludzi, często ze środowisk szlacheckich, a więc nawykłych do burd i wrażliwych na punkcie „honoru”, podsycane były winem, którego sobie nie szczędzono. Skutki bywały nieraz ża-łosne. Zacytujemy list studenta z Orleanu: „Pokłóciłem się z pew-nym młodzieńcem, co stało się za diabelską przyczyną, i uderzyłem go kijem w głowę (*percussi cum baculo super caput*). Za ranę, którą mu zrobiłem, uwięziono mnie... Mój przeciwnik został zwolniony i już wyzdrowiał, ale ode mnie żądają teraz... 50 liwrow grzywny.” Oczywiście, zawinił tu tylko diabeł.

Indywidualne starcia mogły jednak łatwo przekształcić się w bija-tyki na szerszą skalę. Za skrzywdzonym studentem ujmowała się czę-sto cała jego kompania, a nawet cała nacja. Solidarność nacji lub wydziału dawała już powody do potężnej awantury. Nieprzypadko-wo starano się rozlokować różne fakultety w różnych ulicach, aby nie stwarzać okazji do bójek. W połowie XIII wieku na paryskim wydziale sztuk wyzwolonych obowiązywał nawet przez jakiś czas nakaz, aby studenci nacji pikardyjskiej, normandzkiej i angielskiej nie wchodzili do audytoriów nacji francuskiej. Prymitywne senty-men-ty narodowościowe i regionalne były powodem niejednej bójki i nie-

jednego nieszczęścia. Klasyczny tekst przekazał w tym przedmiocie znany już i cytowany szereg razy historyk francuski, Jacques de Vitry:

„Z powodu różnic pochodzenia podzieleni (studenci paryscy), zawistni i skłóceni, obrzucali się licznymi obelgami i słowami obraźliwymi w sposób nieprzyzwoity. Anglików nazywali pijakami i twierdzili, że mają ogony; o Francuzach twierdzili, że są pyszni, rozwiązli i zniewieściali. O Niemcach mówili, że są wściekli i że w czasie uczt opowiadają sprośności. Normandów nazywają próżnymi i pyszałkami; Piktów – zdrajcami i zmiennymi jak fortuna. Tych, którzy pochodzili z Burgundii, uważali za dzikusów i głupców, Bretończyków za lekkomyślnych i włóczęgów; często im też zarzucali śmierć hrabiego Artura. Lombardowie to chciwcy, złośliwcy i tchórze, Rzymianie – buntownicy, gwałtowni i kłapiący rękami [!], Sycylijczycy – tyrani i okrutnicy. Brabantczyków nazywali krwiożerczymi, podpalaczami i gwałtownikami, o Flamandach powiadali, że są powierzchowni, rozrzutni, że lubią ucztę i jak masło są miękczy. I z powodu tych obelg od słów często przechodzono do bicia.”

Tak więc antypatie regionalne lub narodowe były powodem bójek albo zaostrzały bójkę prywatną. Czasem jedna z narodowości stawiała się kozłem ofiarnym innych. Kiedy pod koniec XIII wieku Francja prowadziła zacięte (ale nie zawsze zwycięskie) walki z Flandrią, król Filip IV Piękny musiał zakazać molestowania studentów i mistrzów flandryjskiego pochodzenia na uniwersytetach w Paryżu i Orleanie.

Trzecią płaszczyzną awantur były bójkę i wojny przekraczające granice uniwersytetu. Na uniwersytetach włoskich nie brakowało okazji, aby wyładować temperamenty w konfliktach wewnętrznych między różnymi grupami i partiami mieszczan. Studenci włoscy – jak wspomnieliśmy – byli najczęściej związani z życiem miasta, żywo reagowali na wszystkie wydarzenia, nie wyłączając walk społecznych. Popierali oni włoskie pospólstwo miejskie (*popolo minuto*) przeciw rządzącemu bogatemu patrycjatowi; występowali w obronie gwelfów przeciw gibelinom albo też na odwrót. Nie zawsze chodziło tu o jakieś żądania i cele polityczne, często po prostu o urozmaicenie rutyny codziennego studenckiego życia.

W innych miastach – na przykład francuskich – mniej było okazji, a może i chęci, by przyłączać się do walk między mieszczanami. Kiedy w Paryżu, w połowie XIV wieku, wybuchło powstanie mieszczańskie pod wodzą Stefana Marcela, uniwersytet paryski zachował suwerenną obojętność wobec aspiracji mieszczańskich. Być może wyrazem zemsty pospólstwa miejskiego były fakty, opisane w przywileju francuskiego delfina i księcia Normandii, Karola, dla uniwersytetu paryskiego (z roku 1358). Książę Karol stwierdzał w tym dokumencie, że siedziba wydziału sztuk, słynna rue du Fouarre, jest terenem niesłychanych czynów. Mieszczanie sprowadzają tam w nocy nierządnicę i kobiety swobodnego życia, wyrzucają nawóz i inne nieczystości, dopuszczają się różnych brzydkich postępków itd. Kiedy rano mistrzowie i studenci udają się na wykłady, znajdują na swojej ulicy straszliwe nieczystości (*immundicias orribiles*). Na prośbę uczelni Karol nakazał zamknąć rue du Fouarre z obu końców tęgimi bramami, które miały być otwarte tylko w dzień.

Jeśli studenci paryscy mniejszy brali udział w wewnętrznych konfliktach ludności miejskiej – nie znaczy to jeszcze, że awantury nie przekraczały tu ram uniwersytetu. Srogie wojny przez wiele dziesięcioleci toczyły się między bojowymi studentami sztuk wyzwolonych i mnichami z klasztoru Saint-Germain des Prés. Klasztor St.-Germain oddzielała od zachodniej części studenckiej dzielnicy (Quartier Latin) łąka, zwana Pré-aux-clercs. Było to ulubione miejsce przechadzek studentów, zwłaszcza z wydziału sztuk. Użytkowanie tej łąki przyznał studentom legat papieski Robert Courçon w roku 1215. Ale zakonnicy z St.-Germain także rościli sobie pretensje do granicznej łączki. Irytowały ich przechadzki studentów i łowienie przez nich ryb w pobliskim kanale. Na tym tle wybuchały nieustanne starcia, nieraz krwawe. Szczególnie mordercze potyczki, które prócz rannych przyniosły pewną liczbę zabitych, rozegrały się w 1278 roku w dniu patrona studentów, św. Mikołaja. Hasło „śmierć mnichom” było w tym dniu studenckim zawołaniem bojowym.

Sławne przywileje króla Filipa II Augusta dla uniwersytetu paryskiego z 1200 roku zostały nadane po wojnie, która wybuchła między paryskimi studentami i mieszczaństwem stolicy Francji. A początek był zupełnie błahy. Jeden ze studentów, archidiakon Leodium,

posłał swego służącego do gospody po wino. Służący wina nie dostał, co gorsza – został pobity przez siedzących w knajpie mieszczan, którzy przy tym rozbili mu flaszkę. I pan, i sługa należeli do nacji angielskiej studentów paryskich. Cała ta nacja uniosła się honorem i przeprowadziła regularne oblężenie niegościnnnej karczmy. Karcznię bez trudu zdobyto, po czym studenci zaczęli świętować zwycięstwo i raczyć się zdobytym na wrogach winem. Tytułem odwetu mieszczanie – nie bez udziału władz miejskich – zdobyli jedno z pobliskich hospicjów nacji angielskiej. Wielu studentów pobito, a pięciu zostało nawet na placu bez życia. Ostatecznie rachunek krzywd był większy po stronie uniwersytetu. Studenci burzyli się i grozili migracją z Paryża. Wtedy właśnie Filip August uznał, że uczelni należy się satysfakcja: mieszczanie paryscy zostali ukarani, a uniwersytet otrzymał przywileje gwarantujące ochronę królewską przed mieszczańską agresywnością.

Kradzieże

Oprócz spraw sądowych za awantury i bijatyki dość pokaźną liczbę studenckich konfliktów z prawem stanowiły kradzieże. Bodaj najczęściej przedmiotem kradzieży były książki i jedzenie. Kradzieże książek były szczególnie nieprzyjemne, bo przecież podręcznik stanowił rzecz cenną, nieraz jedyną wartościową część studenckiego dobytku. Stefan de Bourbon miał przyjaciela, który w wigilię Bożego Narodzenia poszedł na nieszpory; tym czasie złodziej ukradł mu księgi prawnicze. Strapiony właściciel udał się do jasnowidza, a ten oskarżył niewinnego krewniaka poszkodowanego. Ostatecznie prawdziwy złodziej został odkryty, i choć schował się w kościele, prosząc o azyl, to jednak wyznał miejsce zamieszkania pasera, który książki przyjął.

Inny świadek z epoki pisze: „Paryscy studenci pili w pokoju jednego z towarzyszy; wtem któryś ujrzał złodzieja schowanego pod łóżkiem i rzecze: »Czyście dali coś do picia temu koledze?« Potem sprawili mu potężne lanie (*quem egregie correxerunt*).”

„Surowo wzbronione”

Statuty uniwersyteckie już bardzo wcześniej próbowały zwalczać studencką przestępczość. Każdy statut roił się od zakazów. Przede wszystkim reglamentowano ściśle sposób obchodzenia wielkich świąt uniwersyteckich i kościelnych, które dawały okazję do największego rozpasania.

Zakazywano również studentom podejrzanych kontaktów z wagentami, goliardami, truwerami. Statuty uniwersytetu hiszpańskiego w Leridzie, wydane około 1300 roku, zabroniły nawet dawać jakiegokolwiek wsparcia pieniężnego trubadurom oraz zapraszać ich do stołu (chyba wyjątkowo, przy okazji wielkiego święta).

Statuty zakazywały noszenia broni a w nocy także instrumentów muzycznych. Jeśli student złamał ten zakaz na obszarze dzielnicy studenckiej, karą była konfiskata broni lub instrumentów. Jeżeli jednak znaleziono studenta z bronią (a w nocy – z instrumentami do grania) poza dzielnicą studencką, groziła mu już sprawa sądowa. Zakazy noszenia broni były zresztą powszechne; wyjątki przewidywano w statutach tylko dla zagrożonych czyjąś napaścią lub ruszających w drogę. Nie pozwalano także mieszczanom sprzedawać i pożyczać broni studentom.

Zabraniano studentom tańców poza domem własnym lub innych scholarów; nie wolno było uprawiać gier hazardowych i nawet gier niewinnych, jeśli grano na pieniądze o wysokie stawki. Zakazywano wielu innych rzeczy, których robić kapłanowi wiedzy nie wypadało.

Ciekawe były przepisy regulaminowe w sprawie ubrania studentów. Na płaskorzeźbach i miniaturach widzimy studentów ubranych w długie szaty – rodzaj togi, okrywającej całą postać młodego uczonego. Piekielnie musiało to być niewygodne na co dzień. Niemniej jednak bardzo formalistyczne przepisy statutowe zabraniały noszenia szat zdobionych, zbyt kolorowych, kusych lub otwartych; regulaminowym materiałem było ciemne sukno. Przepisy nie pozwalały także nosić strojów modnych, czerwonego obuwia i pantofli w szpic. Skróconą wersję długiego, poważnego ubioru dopuszczano tylko w tym przypadku, gdy student jechał konno albo wędrował pieszo poza obrębem miasta. Czasem przepisy zastrzano wskazaniem maksymal-

nej sumy pieniędzy, którą student mógł wydać na ubranie. Czasem wreszcie łagodzone je dla studentów z rodzin królewskich, książęcych, hrabiowskich.

Charakterystyczną cechą statutów uniwersyteckich wcześniejszego okresu stanowiło obwarowywanie nawet drobnych zakazów przysięgami. Złamanie przysięgi było strasliwym grzechem i groziło wiecznym potępieniem. Potem to nadużywanie przysięg zaczęło zanikać. Drobne zakazy, których złamanie nie było przestępstwem wspierano później porządkowymi karami pieniężnymi. Statuty uczelni padewskiej stwierdzały wyraźnie, iż ten sposób działał skuteczniej. Ta modyfikacja jest znamieną dla mentalności ludzi uniwersytetu. Pieniądze zaczęto bardziej cenić niż nadzieję wiecznej nagrody; grzywny obawiano się bardziej niż zguby duszy i kary pozagrobowej.

Postanowienia statutowe były bardzo wścibskie, regulowały najrozmaitsze przejawy studenckiego żywota, w tym nawet bardzo osobiste sprawy studentów. Można jednak śmiało przypuścić, że nie zawsze obserwowano je z wielką starannością, a i represje za ich złamanie nie zawsze dostatecznie odstraszały od popełniania występków. Świadczą o tym pisane z sentymentem wspomnienia byłych studentów o życiu uniwersyteckim, pełnym swobody i uciech. Surowe regulaminy nie były w stanie skutecznie obrzydzić uroków studenckiej egzystencji.

PROFESOROWIE

Od ucznia do profesora

Średniowieczni ludzie, nawykli do układu społecznego o wieloszczeblowej, ściśle przestrzeganej hierarchii, nie bez zdziwienia konstatowali płynność granicy między profesorem i studentem oraz brak formalnego zróżnicowania wśród profesorów. Studia trwały długo, zaawansowani studenci powszechnie byli traktowani jako pomocnicy mistrzów, wykładali i prowadzili inne zajęcia. A gdy już złożyli końcowe egzaminy, uwieńczone doktorskim dyplomem, osiągalni szczyt naukowej kariery. Średniowiecze nie znało drabinki tytułów profesor-skich, jedyny tytuł – to doktor. Oczywiście, faktyczna równość i wówczas nie istniała: zawsze bywali profesorowie wybitni, popularni, o wielkim autorytecie, oraz kiepscy belfrowie, od których uciekali studenci na uniwersytecie i których poza uniwersytetem nikt nie prosił o fachowe ekspertyzy. Ale to dotyczy stosunków faktycznych; wobec prawa wszyscy doktorzy tej samej specjalności byli sobie równi.

Nie tylko na uniwersytecie typu bolońskiego, który charakteryzował się właśnie brakiem silnego dystansu, ale i na paryskiej uczelni zwracała uwagę współczesnych wspomniana płynność granicy między nauczającym i nauczanim. Jan z Salisbury, wychowanek Paryża, pisał w połowie XII wiek: „Wczorajsi młodzicy to dzisiejsi mistrzowie; jeszcze wczoraj jęczeli pod różgą, dzisiaj w todze wykładają z katedry.” Oczywiście, jest w tym retoryczna przesada: między wczoraj i dziś były długie lata niełatwych studiów.

System stopni naukowych dających podstawy do nauczania uniwersyteckiego jest – podobnie jak sam uniwersytet – produktem żywiołowego rozwoju. Kształtował się powoli, był najpierw bardzo

różny w różnych ośrodkach uniwersyteckich, powoli dopiero doskonalił się i ujednolicił. W najwcześniejszym okresie podstawą prawa nauczania była rzeczywista wiedza, wsparta autorytetem osobistym i popularnością wśród słuchaczy. Już w początkach XII stulecia kwestionowano niekiedy ten autorytet i wynikające zeń prawo nauczania. Ale nie zawsze w imię obrony poziomu nauki; czasem atak na wykładającego wynikał z rozgrywek politycznych lub ideowych. Tak było zapewne z Abelardem, któremu przeciwnicy zarzucali, że nie ma kompetencji do uczenia młodzieży. Inaczej zupełnie z tym młodym człowiekiem, o którym *Poemat Idziego* powiada, że uczył w Salerno medycyny, nie mając po temu żadnych podstaw. Tu chyba istotnie rzecz polegała na obronie nauki uniwersyteckiej przed szarlatanami. Zresztą wiedza medyczna zawsze stanowiła ulubioną dziedzinę hochsztaplerów, naciągaczy, znachorów. Sądzymy jednak, że i w jednym, i w drugim przypadku nie chodziło o jakieś formalne tytuły, których nie dostawało uczącym; najwcześniejsze początki uniwersytetu miały zbyt silny związek ze szkołami prywatnymi, których fundamentem jest wiedza i powaga mistrza, a nie formalne cenzusy i legitymacje, dyplomy i upoważnienia.

Krótką historia doktoratu

Podstawowym profesorskim tytułem średniowiecza był doktorat. Jest to wynalazek średniowiecznych prawników. Metrykę urodzenia stopnia doktorskiego można by wypisać gdzieś na drugą połowę XI wieku. Wśród ówczesnych prawników było wielu wytrawnych praktyków: sędziów, notariuszy, adwokatów. Nazywano ich uczonymi w prawie, prowadzącymi sprawy (*iurisperiti, causidici*). Ale właśnie w drugiej połowie XI wieku pojawiły się pierwsze wielkie nazwiska prawników, którzy wyrastali ponad ten przeciętny, praktyczny poziom wiedzy, którzy byli bardziej uczeni od zwykłych notariuszy czy adwokatów. Tacy wielcy prawnicy XI i początków XII wieku, jak Pepo, potem Irnerius – to pierwsi doktorzy. Tytuł ten nie miał oczywiście jeszcze formalnego znaczenia, określał raczej szczególnie wysoki poziom ich wiedzy. Nie był też najbardziej uroczystym, pompa-

tycznym tytułem, nadawanym Peponowi czy Irneriusowi. W jednym z dokumentów XII wieku Pepo występuje w roli „wschodzącej jutrzeńki prawa” (*aurora surgens juris*). Pierwsi uczeni prawnicy mieli formalnie tytuły magistrów sztuk wyzwolonych; był to tytuł starożytny nadawany absolwentom i wykładowcom sztuk jeszcze na długo przed powstaniem uniwersytetów. Po studiach *artes liberales* wielu zdolnych studentów przechodziło do studium prawa i tutaj zdobywało wiedzę i powagę ludzi uczonych, doktorów.

Jednakże nawet wśród prawników tytuł ten nie od razu się upowszechnił. Gdy czytamy oficjalne akta studium bolońskiego, a także przywileje uniwersyteckie dla tego studium wydane przez Fryderyka Barbarossę, konstatujemy, że w połowie XII wieku profesorowie prawa występowali pod najróżniejszymi tytułami. Konstytucja *Habita* nazywa ich *professores legum, domini, magistri*. Tytuł profesora nie zdobył jednak w średniowieczu znaczenia oficjalnego, był używany luźno i nieformalnie. *Dominus* (pan) – to określenie nazbyt ogólne, służące w Bolonii przeciwstawieniu mistrza uczniom, „towarzyszom” profesora (*socii*). Wreszcie *magister* – to pożyczka, zaciągnięta z organizacji studiów sztuk wyzwolonych. Czasem występowało jeszcze określenie *rector*, od *regere* – kierować (wykładem, katedrą). Szybko jednak zanikło, bo wprowadzało zamieszanie, konkurując z rektorem – władzą uniwersytetu.

W ciągu XII wieku tytuł doktora upowszechniał się jako oznaczenie profesora prawa. W tym stuleciu doktor to z reguły tylko uczony prawnik. Dziełem późniejszego okresu było rozciągnięcie tytułu doktorskiego i na inne dziedziny wiedzy.

W dodatku nie wszyscy prawnicy mieli w XII wieku prawo do tytułu doktorskiego. Otrzymywali go tylko profesorowie prawa świeckiego, rzymskiego (*ius civile*). Studia prawa kanonicznego wieńczył tytuł magistra. Nawet samego twórcę nauki tego prawa, sławnego Gracjana, znano powszechnie właśnie jako Magistra. Nie potrzeba było nawet dodawać nazwiska; kiedy w dziełach prawniczych czytamy o Magistrze z dużej litery (Magister powiada, Magister napisał) – wiadomo, że chodzi właśnie o Gracjana. Jego następcy, uczeni profesorowie prawa kościelnego, do końca XII wieku nosili tylko tytuły magistrów, nie doktorów. Od początku XIII wieku pojawiali się jed-

nak coraz częściej profesorowie, którzy ukończyli oba studia prawnicze i znali tak prawo świeckie (rzymskie) jak i prawo kościelne. Było to praktycznie bardzo pożyteczne. Prawo świeckie dało prawo kościelnemu całą sieć konstrukcji teoretycznych; dobry prawnik kościelny musiał znać świetnie prawo rzymskie. Z kolei prawo kościelne w wielu dziedzinach wzbogaciło prawo świeckie. Na przykład prawo kanoniczne wytworzyło sprawny system postępowania sądowego, który potem przejęły sądy świeckie wielu krajów Europy. A więc i prawnik świecki mógł skorzystać z nauki prawa kościelnego.

Pierwszym profesorem, który nosił tytuł doktora „obu praw”, był w początkach XIII wieku sławny Jan Bassianus, Bolończyk. Potem ta praktyka upowszechniła się, doktorów obu praw przybywało stale, co sprzyjało zanikowi tytułu magistra wśród profesorów prawa kościelnego. W XIII wieku i świeccy, i kościelni prawnicy – to już jednakowo doktorzy. Z czasem tytuł „doktora praw obojga” stał się tradycyjny. W niektórych krajach tytuł ten, jako szczątek średniowiecznej przeszłości, przetrwał aż do XX wieku.

Wszyscy inni profesorowie dwunastowiecznych uniwersytetów nosili tytuł magistrów, tradycyjne dla wykładowców sztuk wyzwolonych. Profesor teologii, medycyny, sztuk – to zawsze magister. Nie istniała więc początkowo istotna różnica między tytułem magisterskim i doktorskim; oznaczały one w istocie takiego samego profesora, tylko w różnych specjalnościach. Tytuł magistra był nawet starożytniejszy. Jest rzeczą charakterystyczną, że doktorzy prawa z włoskich uniwersytetów występowali nieraz w XIII–XIV wieku (na przykład na terenie krajów niemieckich) jako magistrzy. Świadczyłoby to również o starszej, bardziej zakorzenionej tradycji magisteriatu.

Stopniowo jednak tytuł doktora przyjął się na wyższych wydziałach uniwersytetów, tj. na teologii i medycynie; jedynie niższy wydział artium pozostał przy starym tytule magistra. Widocznie tytuł doktora stał się atrakcyjny także dlatego, że pozwalał odróżnić uczonych z „lepszego” wydziału od zwykłych absolwentów wydziału „artystów”. Doktoraty teologii pojawiły się w Paryżu mniej więcej razem z oddzieleniem się fakultetu teologii od fakultetu sztuk. Wkrótce wszystkie wydziały teologii – nieliczne zresztą w XIII wieku – zaczęły nadawać absolwentom doktoraty.

Dzisiaj tytuł doktorski kojarzy się potocznie przede wszystkim z zawodem medycznym. Ale w średniowieczu doktoraty stosunkowo najpóźniej pojawiły się właśnie na medycynie; najpierw chyba w Bolonii, gdzie miały one największą tradycję. Zapewne od połowy XIII wieku profesorowie tutejszej szkoły medycznej używają już tytułów doktorskich. Później upowszechniło się to we wszystkich studiach medycyny.

Wydziały medycyny miały jeszcze inną właściwość. Mimo teoretycznych, filozoficznych ambicji wielu wybitnych profesorów medycyny studium lekarskie od początku cechowało mocne zabarwienie zawodowe. I właśnie tutaj zaczęto nadawać absolwentom coś w rodzaju tytułów profesjonalnych. Na teologii i prawie nie było sformalizowanych tytułów niższych od doktorskiego. Oczywiście i tutaj nie wszyscy dobijali do doktoratu; często teolog lub prawnik przechodził do służby w aparacie kościelnym czy państwowym po kilku latach studiów nie uwieńczonych dyplomem. Ale z medykami trochę inna sprawa. Nie wymagano oczywiście od wszystkich pracy naukowej i doktoratu, żądano jednak, by wszyscy opanowali pewien zasób wiedzy medycznej, zanim zaczną leczyć ludzi. Między innymi właśnie dlatego najpierw na medycynie pojawiły się egzaminy państwowe, kontrolowane przez odpowiednie władze. Absolwent studium w Salerno czy Montpellier, to po prostu *medicus*. Stopniowo rozwijała się specjalizacja lekarzy: w XIII wieku wymieniano chirurgów (*medici vulnerum*), okulistów (*medici ocularii*), farmaceutów (*herbarii*) itd.

Wspomnieliśmy, że nie było tytułów naukowych niższych od doktorskiego. Na uniwersytetach występują wprawdzie *bacalarii*, *cursores*, wreszcie licencjaci. Ale te nazwy nie są tytułami naukowymi. *Bacalarius* czy *cursor* – to stary, doświadczony student, prowadzący niektóre zajęcia uniwersyteckie*. Licencjat – to taki student, który złożył już pierwszy egzamin spośród dwu obowiązujących w przewodzie doktorskim. Stanowisko licencjata uważano za tymczasowe,

* Wspominaliśmy już, że na paryskim wydziale sztuk wyzwolonych bakałareat mógł mieć jeszcze inne znaczenie. Bacalariusem nazywano młodego chłopca, który na studium „artystów” ukończył naukę średniego szczebla, a więc czternasto-szesnastoletniego „maturzystę”.

przejściowe. W zasadzie nie było i nie powinno być długiej przerwy między osiągnięciem tego szczebla kariery a pełnym doktoratem.

Zatem, aby zostać profesorem, należało zdobyć jedyny tytuł naukowy – doktora. Wcześniej równoważny z nim był tytuł magistra, który utrzymał się na oznaczenie profesorów wydziału sztuk wyzwolonych. W zasadzie nie istniały niższe tytuły naukowe. Przejście od roli studenta do roli mistrza następowało raptownie: wystarczyło złożyć egzaminy doktorskie. Ale łatwo jest dzisiaj napisać, że to „wystarczało”; egzaminy te były bardzo ciężkie i bardzo kosztowne. O tym szerzej w następnym rozdziale.

Doktorzy poza uniwersytetem

Początki uniwersytetu – to czas, kiedy doktorów nie było jeszcze zbyt wielu, a popyt na pełnoprawnych mistrzów przewyższał ich produkcję. Doktor otrzymywał w zasadzie razem z tytułem prawo nauczania na szczeblu uniwersyteckim, i to wszędzie, w dowolnym kraju i mieście (*licentia ubique docendi*). Wszędzie przecież komentowano te same podstawowe księgi prawnicze czy teologiczne, wszędzie językiem uczonych była ta sama łacina średniowieczna. Jeszcze w XII wieku bolońscy doktorzy zakładali ośrodki nauczania uniwersyteckiego w promieniu tysięcy kilometrów od macierzystej uczelni: Placentinus stworzył szkołę w Montpellier, Vacarius zawędrował aż do dalekiej Anglii.

Jednakże doktorzy coraz częściej nie korzystają z przysługującego im prawa nauczania. Zaczyna pojawiać się podział na doktorów uczących (*doctores legentes, regentes*) i nie prowadzących nauczania (*doctores non legentes, non regentes*).

Zjawisko to było rezultatem działania bardzo różnorodnych przyczyn. Przede wszystkim liczba doktorów od schyłku XII wieku zaczęła szybko wzrastać. Mniej zdolni musieli odpadać z konkurencji. Jeszcze wówczas, gdy wolna konkurencja między profesorami istniała, przy uniwersytecie zostawali tylko popularni i wybitni. Profesor z Orleanu, Pierre de la Chapelle, opisuje taki właśnie stan rzeczy w XIII stuleciu: dobrzy wykładowcy mieli tłumy studentów, a dok-

torzy marni, nieuczeni musieli wynosić się z braku słuchaczy (*recedebant propter defectum scholarium*).

Z czasem wolna konkurencja traciła podstawy bytu. Zapotrzebowanie na profesorów nie było nieograniczone. Władze kościelne albo miejskie ograniczały liczbę katedr i wpływały na ich obsadzanie. Sami profesorowie zaczęli stosować metody nepotyzmu i łapownictwa, obsadzali wykłady swymi krewniakami i protegowanymi. Kolegium doktorskie zamykało się i ograniczało wolną grę sił.

Wreszcie i sama kariera uniwersytecka przestawała kusić wielu najzdolniejszych. Rozbudowa urządzeń państwowych, sądów, administracji, potężna maszyna biurokratyczna Kościoła – to pole dla wielkich karier. Wiele uniwersytetów w konsolidujących się monarchiach narodowych powoływano właśnie po to, by zapewnić stały dopływ kadr dla aparatu państwowego. Taki był cel uniwersytetu w Orleanie dla Francji, uczelni neapolitańskiej dla królestwa Sycylii. W późniejszym okresie po to właśnie Karol IV stworzył czeski uniwersytet w Pradze, a Kazimierz Wielki w Krakowie. I oto wielu bardzo zdolnych teologów, a zwłaszcza prawników, dobrowolnie rezygnowało z kariery naukowej, nawet już rozpoczętej, aby obsadzić wysokie stanowiska w hierarchii kościelnej i państwowej.

Klasycznym przykładem może służyć uniwersytet w Orleanie, który dostarczał kadr prawniczych królestwu francuskiemu, najbardziej zaawansowanemu na drodze stabilizacji politycznej i rozbudowy silnego aparatu urzędniczego. Zresztą uczelnia orleańska miała sławę zakładu szkolącego świetne kadry urzędnicze – także szeroko poza granicami Francji. Studiowali tu obywatele państwa sycylijskiego, Anglii, Niemiec. Absolwentów-Francuzów, wykształconych w szkole orleańskiej, chętnie przyjmowano na służbę publiczną w wielu krajach Europy. Król czeski Wacław II posłał w końcu XIII wieku do Orleanu jednego ze swych poddanych, który po powrocie ze studiów miał reformować prawo czeskie dla umocnienia siły i zwartości monarchii czeskiej. Tak więc profil uniwersytetu orleańskiego był zupełnie wyraźny.

I oto właśnie w Orleanie profesorowie zmieniali się często. Wybitny uczony rzadko pracował tu dłużej niż 10 lat. Katedra uniwersytecka dla orleańskich profesorów często była tylko odskocznią od

bardziej ponętnej kariery państwowej, czasem kościelnej. Najsławniejszy chyba w XIII wieku profesor tej uczelni, Pierre Belleperche (Bellapertica) żalił się wręcz, że zbyt długo był profesorem w Orleanie, zanim udało mu się przejść na służbę królewską. „Gdybym wiedział – pisał – że tak długo tu zostanę, nie zgodziłbym się zostać ani za tysiąc grzywien.” W wielkim i rządym państwie, gdzie dla zdolnych i wykształconych ludzi droga do awansu politycznego stała otworem, praca uniwersytecka nie była zbyt atrakcyjna. Tyle tylko, że legitymowanie się stażem pracy na katedrze prawniczej w tej najlepszej kuźni kadr służby państwowej pomagało w karierze.

Taki układ stosunków miał swoje dobre i złe strony. Dobre – bo zapewniał związek doktryny uniwersyteckiej z praktyką polityczną. Nauka prawa w Orleanie na pewno nie była sztuką akademicką. Profesorowie, szykujący się ciągle do przyszłej kariery państwowej, chciwie słuchali wszystkich wiadomości o polityce rządu, o praktycznych potrzebach państwa. Mieli też dobre źródło informacji: dygnitarze państwowi, którzy wyszli ze środowiska uniwersyteckiego, chętnie utrzymywali kontakty ze swoją uczelnią, nie ukrywali przed kolegami-doktorami tego, o czym mówiono i co robiono na dworze królewskim.

Wady takiego systemu polegały na pewnym obniżeniu poziomu pracy naukowej i dydaktycznej. Profesorowie zmieniali się często, co nie sprzyjało tworzeniu tradycji naukowych szkoły. Ambicje polityczne wykładowców rodziły czasem rywalizacje i niechęci, odbijające się także na pracy naukowej.

To, co powiedzieliśmy o uczelni orleańskiej, odnosi się w zasadzie także do innych uniwersytetów o podobnych założeniach. Neapol dawał kadry królestwu sycylijskiemu, Salamanka – królestwu Kastylii, później Praga – Czechom, a Kraków – Królestwu Polskiemu. Uniwersytet paryski stanowił wielką szkołę kadr dla aparatu kościelnego. Wykładowcy tych uczelni mieli ścisłą łączność z praktyką państwową czy kościelną.

Kadra nauczająca uniwersytetów w monarchii narodowej była mniej kosmopolityczna, niż na przykład kadra uczelni bolońskiej i paryskiej. Chodziło przecież o to, aby uniwersytet stał blisko spraw, potrzeb i stosunków krajowych. Podobnie zresztą skład studentów

na takich uczelniach był w znacznie mniejszym stopniu międzynarodowy, ponieważ starano się do nich ściągać przede wszystkim studentów-krajowców, i to w jak największej liczbie. Już Fryderyk II, który uniwersytet w Neapolu stworzył dla potrzeb królestwa Sycylii, nie darmo zakazywał poddanym sycylijskim studiowania poza Neapolem. Uniwersytet neapolitański kształcił doskonale kadry praktyków, świetnie znających stosunki ojczystego kraju.

Pozycja doktorów w komunie włoskiej

Odmienne kształtowała się sytuacja uczonych wykładających na uniwersytetach północnowłoskich. Tutaj, a zwłaszcza w Bolonii, stanowisko profesorskie stanowiło przedmiot dumy; kariera uniwersytecka była niezmiernie atrakcyjna. Byłoby zapewne uproszczeniem przypisywać to starożytnej i szacownej tradycji uniwersytetu bolońskiego i tych uczelni, które przez pączkowanie z niego się rozwinęły. Jeśli tu kariera pozauniwersytecka mniej kusila uczonych, to dlatego, że mniejsze były możliwości, aby ją zrobić. Mniejsze zwłaszcza dla profesorów świeckich. Małe republiki miejskie nie oferowały takich rozległych możliwości, jakie dać mogło silne państwo narodowe: Anglia, Francja, Hiszpania czy Sycylia. Prawda, i tu profesorem nie gardzili funkcjami politycznymi czy sądowymi. Nieraz piastowali urzędy miejskie, byli posyłani w misjach dyplomatycznych przez swoje komuny, pełnili obowiązki sędziów, adwokatów itd. Ale niewielka komuna miejska nie stwarzała aż tak imponujących możliwości, by zrzucić dla nich togę uniwersytecką.

W życiu szkoły bolońskiej był taki krótki okres, kiedy tamtejszym mistrzom wydawało się, że są powołani do odegrania wielkiej roli politycznej na światową skalę. Działo się to w połowie XII wieku, gdy Fryderyk Barbarossa zwrócił uwagę na uniwersytet boloński pragnąc, aby uczeni wypracowali mu pełną doktrynę światowego imperium. Doktryna imperialna miała wspierać agresywne poczynania Szaufów, przede wszystkim we Włoszech, w stosunkach z papieżem i na wschodzie Europy, od Bizancjum po Danię. Wir polityki światowej zaczął wciągać bolońskich doktorów. Widzieli już w Barbarossie,

a potem w jego synu, Henryku VI, godnych następców Cezara, Oktawiana i Justyniana. Sami sobie wyznaczali rolę ideologów światowego cesarstwa, doradców rządu imperialnego, nowych Trybonianów*. Zaczęły się rywalizacje o fawory władców, pochlebstwa i obmawianie rywali. Sławny doktor boloński Bulgarus stał się zaciętym wrogiem niemniej sławnego Martinusa, bo ten lepiej umiał nadszkalować Fryderykowi I. W następnym pokoleniu to samo dało początek animozji między znakomitym mistrzem Azonem i eleganckim profesorem-donżuanem, Lotarem z Cremony. I znowu Azo miał śmiertelne pretensje do Lotara, gdyż ten lepiej potrafił schlebiać cesarzowi Henrykowi VI. M.in. na tle tej animozji rozeszły się szeroko brzydkie plotki o miłosnych awanturach Lotara; zarzucano mu na przykład, że arcybiskupstwo pizańskie dostał dzięki protekcjom kochanek.

Jednakże rychło okazało się, iż oczekiwana światowa misja polityczna bolońskich doktorów była zamkiem na lodzie. Ekspansja Sztaufów załamała się po śmierci Henryka VI, u schyłku XII wieku. Ze światowego cesarstwa pozostała tylko efektowna doktryna. Polityczna kariera uczonych teoretyków była możliwa znowu przede wszystkim w skromnych ramach miejskiej komuny lombardzkiej czy toskańskiej. Po cesarskim micie pozostały tylko wspomnienia.

Zabawna jest powaga, z jaką znacznie później włoscy uczeni przyjmowali różne ceremonialne tytuły i pompatyczne, ale beztreściwe przywileje od cesarzy. Kiedy w początku XIV wieku tytuł cesarski został wznowiony po dłuższej przerwie, o cesarstwie światowym trudno było mówić poważnie. Większa część uniwersytetów włoskich – w tym i sławna Bolonia – znajdowała się wówczas w zasięgu wpływów politycznych papieża i państwa kościelnego. A jednak włoscy profesorowie wysoko cenili przywileje i tytuły, nadawane im niekiedy przez cesarzy (Henryka VII, Karola IV) najczęściej przy okazji cesarskiego pobytu we Włoszech i audiencji udzielanej włoskim notablom. Dostawali więc herby szlacheckie, co we włoskich republikach miejskich często było tylko powodem różnych kłopotów i ograniczeń. Dostawali tytuły cesarskiego radcy (*consiliarius aulae*

* Trybonian był sławnym prawnikiem na dworze cesarza Justyniana I i głównym twórcą kodyfikacji justyniańskiej.

imperialis) albo cesarskiego domownika (*familiaris domesticus com-mensalis*). Praktycznie tytuły te miały niemal taką wartość, jak w dzisiejszej Polsce tytuł mandaryna. Ale uczeni profesorowie byli bardzo dumni z tych odznaczeń – może zastępowały im brak rzeczywistych perspektyw wielkiej kariery państwowej. Najwybitniejszy profesor prawa XIV wieku, Bartolus de Saxoferrato, skromny mieszczanin, dla którego awans społeczny stanowiło adopcyjne obywatelstwo Perugii, domagał się wręcz w swoich dziełach, by wszystkim profesorom uniwersytetu przyznać tytuły hrabiowskie! Ten niewinny snobizm miał się doczekać potwierdzenia cesarskiego dopiero dwa wieki później. W roku 1530 cesarz Karol V postanowił, że w jego państwie profesorowie uniwersytetu mają z mocy prawa tytuł hrabiowski (*comes palatinus*).

Czy byli profesorowie zwyczajni i nadzwyczajni

W XII i XIII wieku zasadniczo nie było hierarchii między doktorami wykładającymi na uczelni (*doctores legentes*). Prawda, niektórzy profesorowie dawali wykłady zwyczajne (*legentes ordinarie*), inni nadzwyczajne (*legentes extraordinarie*). Ten obyczaj uniwersytetów typu bolońskiego dopiero później zapoczątkował hierarchię między profesorami, podział na profesorów nadzwyczajnych i zwyczajnych. Podział ten, znany także w Polsce, nie wszędzie jednak istnieje. W XII i XIII wieku na pewno go jeszcze nie było.

Sens określeń *legere ordinarie* i *legere extraordinarie* nie jest zupełnie jasny. Próbowano go różnie interpretować, między innymi właśnie tak, że jedni profesorowie byli „zwyczajni”, a inni „nadzwyczajni”. Ale ta interpretacja okazała się błędna; te same osoby w jednym roku wykładały czasem *ordinarie*, a w następnym *extraordinarie*. Nie chodziło tu więc o hierarchię stopni profesorskich.

Chyba trafne jest więc przyjęte dość powszechnie tłumaczenie, że wykład określano jako „zwyczajny” i „nadzwyczajny” nie wedle osoby wykładowcy, ale wedle tematu i sposobu wykładania. Podstawą nauczania uniwersyteckiego w wiekach średnich było – powiemy jeszcze o tym szerzej – czytanie i komentowanie ksiąg teologicznych,

filozoficznych, prawniczych i medycznych. Na każdym roku studiów przerabiano określone księgi, przy czym nieraz tę samą księgę komentowano dwukrotnie: najpierw dość pobieżnie, na przykład na roku pierwszym, potem na wyższym poziomie, w sposób pogłębiony, na przykład na roku trzecim lub czwartym. Otóż pewne księgi uznawano za niezbędne dla kursu w danym roku i one, jako podstawowe, były przedmiotem wykładów zwyczajnych. Inne księgi uznawano za mniej ważne w ogóle, albo mniej ważne na danym roku – i one były przedmiotem wykładów nadzwyczajnych.

To tłumaczy, czemu jeden i ten sam profesor mógł w jednym roku prowadzić wykład zwyczajny, a w roku następnym tylko nadzwyczajny (co zresztą zdarzało się rzadko). Ale dodać wypada, że mimo braku hierarchii wśród profesorów, hierarchia wykładów była bardzo silnie podkreślana, i to wprowadzało bocznymi schodami różnienia także między profesorami. Bo tylko wykład zwyczajny liczył się na serio. Poświęcano mu najlepsze, przedpołudniowe godziny, które też niekiedy nazywano „profesorskimi” (*hora doctoralis*). Nie dopuszczano do wykładów zwyczajnych różnych lektorów i bakałarzy, nie mających stopnia doktorskiego. Obsadzano te wykłady profesorami najlepszymi, jakich miała uczelnia, najbardziej popularnymi wśród słuchaczy. Wykłady nadzwyczajne odbywały się w gorszych, popołudniowych godzinach; zaczynały się często nie od samego początku roku szkolnego, ale dopiero później. Wykładali tu mniej wybitni mistrzowie, a często także studenci po 4–5 latach studiów, baccalii. Wreszcie wykłady nadzwyczajne były upośledzone także pod względem finansowym. Na uczelni typu bolońskiego, gdzie podstawą finansową profesury były honoraria słuchaczy, wykład nadzwyczajny nie był atrakcyjny także i dlatego, że studenci chodzili nań mniej licznie i mniej chętnie płacili za jego słuchanie.

W Paryżu czy Oksfordzie odpowiednik bolońskich wykładów zwyczajnych i nadzwyczajnych stanowiły wykłady zwyczajne (*lecturae ordinariae*) i kursowe (*lecturae cursoriae, ad cursum*). I znowu – te pierwsze były podstawą dydaktyki, zwłaszcza na latach starszych, odbywały się rano, a prowadzili je najlepsi mistrzowie. Te drugie były częste na kursie niższym, odbywały się po południu i nieraz obsadzali je studenci, kursorowie i bakałarze.

Blaski i nędze bakalariatu

W związku z wykładami zwyczajnymi zwróciliśmy uwagę na studentów, którym powierzano wykłady uniwersyteckie. Było to rzeczywiście zjawisko powszechne i sprzyjało płynności granic między nauczającym i nauczonym. Bakalarz, lektor, kursor – czy jak się jeszcze inaczej nazywał – rano chodził na wykłady swego profesora, a po południu sam prowadził zajęcia dla młodszych studentów. Na uniwersytecie typu paryskiego studenci mogli zostać bakalarzami po złożeniu dość trudnych egzaminów i odbyciu określonych dysput. Żądano od nich dowodu, że studiowali przez 6 lat i ukończyli 20 lat życia. Bakalarze sztuk wyzwolonych musieli, wedle przepisów wydanych około 1280 roku, składać szereg przysięg. Między innymi zobowiązywali się wyklądać przez dwa lata, zachowywać w tajemnicy sekrety uniwersytetu, nie tańczyć poza domem, denuncjować napadć grożącą komuś ze strony jakiejś osoby, prowincji lub nacji uniwersyteckiej. Paryscy bakalarze medycyny musieli razem z mistrzami chodzić na mszę w soboty itd.

Bakalarze bolońscy także musieli poddawać się określonym próbom (odbycie dysput, prowadzenie próbnych wykładów i repetycji). Student uznany za przydatnego mógł już prowadzić stałe zajęcia dydaktyczne. Ale położenie uczącego studenta było bardzo trudne i upośledzone. Za pracę nauczycielską bakalarz nie mógł pobierać honorariów od swoich słuchaczy. Przestrzegano tego bardzo rygorystycznie; niekiedy nawet wydawano przepisy, że bacalarius nie ma prawa do honorarium także wtedy, gdy w środku roku otrzymał promocję na doktora. Wtedy już do końca roku musiał prowadzić zajęcia bezpłatnie. Bakalarze bolońscy jeszcze dopłacali do swojego prawa bezpłatnego nauczania. Student powołany do prowadzenia zajęć uniwersyteckich w Bolonii musiał złożyć na początku roku szkolnego kaucję w wysokości 25 lirów bolońskich. Sumę tę składano u bankiera (*canipsor*), wskazanego przez rektora uniwersytetu.

Ten zwyczaj wydaje się nam dziwaczny; dowodzi on jednak, że kariera naukowa na włoskim uniwersytecie miała wielką siłę atrakcyjną.

Bacalarius nie prowadził zajęć codziennie; często wykladał dwa razy w tygodniu. Wykladał tylko „nadzwyczajnie”, a więc zagadnie-

nia drugoplanowe, bardziej pobieżnie i w gorszych, popołudniowych godzinach. W zasadzie bakałarze komentowali księgi, których program podstawowy nie przewidywał w ogóle, albo których nie było w programie wykładów profesorskich na danym roku studiów. Nieco inne przepisy obowiązywały bakałarzy i kursorów na studium teologii. Prowadzili oni wykłady *ad cursum*, komentując Biblię oraz wielkie dzieło teologiczne Piotra Lombarda, *Sententiae*. Nazywano ich nawet, zależnie od przedmiotu wykładanego, *biblici* i *sententiarii*. Te same księgi komentowali później także profesorowie na kursie wyższym, ale znacznie szerzej i dokładniej. Prawie wszędzie bakałarze, lektorzy, kursorowie prowadzili także powtórki przerabianego materiału – *repetitiones*.

Oczywiście, prowadzenie zajęć przez starszego studenta było często początkiem kariery naukowej. Ale nie zawsze: czasem traktowano tę pracę raczej jako staż niż profesjonalnie, gdyż stanowiła ona świetną zaprawę przed trudnymi egzaminami doktorskimi. Dlatego właśnie liczba studentów prowadzących zajęcia uniwersyteckie była stosunkowo wysoka, choć nie dawało to dochodów. Starszy, zaawansowany student mógł na ogół łatwo dorobić trochę pieniędzy w jakiejś instytucji pozauniwersyteckiej. Doświadczony teolog i kanonista – w kurii biskupiej czy klasztorze, starszy prawnik – w administracji lub sądzie, zaawansowany medyk – w szpitalu. Praca dydaktyczna na uniwersytecie nie dawała możliwości dorabiania, ale za to ułatwiała zakończenie studiów.

Wszystkich studentów prowadzących wykłady określano czasem technicznym terminem *legentes non doctores*. Byli więc doktorzy wykładający (*doctores legentes*), doktorzy nie wykładający (*doctores non legentes*) i wreszcie – wykładający niedoktorzy (*legentes non doctores*).

Profesorowie na stałych posadach

Bardzo ważne zagadnienie – to sprawa honorariów profesorskich. Ale na pytanie, z czego żyli profesorowie, odpowiedź będzie różna, w zależności od typu uczelni. Na uniwersytetach typu paryskiego

nauka była w zasadzie bezpłatna, zgodnie z tradycją dawnych szkół klasztornych i biskupich. Ta zasada przenikała także do prawodawstwa świeckiego. Sławny kodeks kastylijskiego króla Alfonsa Mądrygo, opublikowany w XIII wieku – jeden z pierwszych wielkich kodeksów średniowiecznych – wyraźnie powiadał, że wiedza jest darem bożym i dlatego nie należy jej sprzedawać. W tym samym XIII wieku prawnicy uniwersyteccy – na przykład sławny Goffredus z Trano – zastanawiali się bardzo poważnie, czy słuszne jest, że profesorowie pobierają od studentów pieniądze za naukę (*an licite collectam exigant de scholaribus*).

Ten problem mógł nie istnieć na uniwersytetach takich, jak Paryż czy Tuluza. W Paryżu profesorowie to w większości duchowni, jeśli nie księża, to przynajmniej klerycy niższych święceń. Teologowie czy kanoniści, którzy tu wykładają, nie muszą sięgać do kieszeni studentów. Podstawę ich utrzymania stanowią w zasadzie beneficja kościelne, przywiązane do funkcji uniwersyteckich. Profesorowie-zakonnicy dostają znów środki finansowe od swego zakonu. Była to bardzo wygodna forma dochodu, zapewniająca stabilizację zawodową.

Tuluza jest przykładem innego, ale podobnego rozwiązania tej sprawy. Kiedy powstawał tu uniwersytet, hrabia Tuluzy Rajmund IV zobowiązał się poświęcić wielkie sumy pieniędzy na utrzymanie profesorów nowej uczelni. Charakterystyczne są różnice wysokości tych stałych pensji, które mieli dostawać tutejsi mistrzowie. Profesorom teologii przyznano po 50 grzywien srebra rocznie, profesorom prawa kanonicznego – już tylko 30, mistrzom sztuk wyzwolonych – po 20, a skromnym gramatykom, udzielającym nauczania na niższych szczeblach – jedynie 10 grzywien srebra rocznie. Jak widać, równość między profesorami ograniczała się tylko do tych samych wydziałów i dziedzin nauki. Między różnymi wydziałami tej równości nie było – przeciwnie, średniowiecze wykształciło ścisłą hierarchię, o której jeszcze powiemy. Na razie dodajmy tylko, że system stałych pensji profesorskich – takich jak w Tuluzie – upowszechnił się dość prędko, zwłaszcza w uniwersytetach fundowanych.

Czy wolno brać pieniądze od słuchaczy

Tam, gdzie taki system nie istniał, sytuacja była dość delikatna. Poważani pisarze średniowieczni wypowiadali się stanowczo przeciw pobieraniu od słuchaczy pieniędzy za naukę. Św. Bernard pisał, że hańbą jest sprzedawanie wiedzy; Robert de Sorbon twierdził, iż teolog sprzedający swą wiedzę staje się winnym symonii (tzn. kupczenia rzeczami świętymi). Wybitny prawnik Tankred dowodził, że uczony powinien iść za przykładem Sokratesa i nie sprzedawać swej wiedzy, która jest darem bożym. Tę samą zasadę formułował kastylijski kodeks prawa z XIII wieku, *Siete Partidas* (kodeks Siedmiu Części). Jednakże uczeni prawnicy szybko podważyli te wniosłe zasady. Już w XIII wieku zaczęto uzasadniać twierdzenie, że profesor może brać pieniądze od studentów. Jeśli profesor miał stałą pensję lub beneficjum, to zdaniem prawników nie mógł wprowadzić żądać pieniędzy od swoich słuchaczy, ale mógł brać dobrowolne datki. Jeśli natomiast nie miał żadnego stałego dochodu, mógł żądać honorarium za naukę (byle nie od złodziei i lichwiarzy, jeśli tacy znaleźliby się wśród studentów). Te prawnicze rozważania odpowiadały realnym sytuacjom w życiu.

Na wielu uniwersytetach typu bolońskiego już we wcześniejszym okresie jedynym źródłem dochodu profesorów były przecież właśnie honoraria od słuchaczy. Wspominaliśmy, że ten system – tradycja szkół prywatnych – wpłynął na demokratyczny ustrój uczelni bolońskiej. W Bolonii, ale także w Salerno, Orleanie, Vercelli, Padwie, Montpellier itd., profesorowie prawa, medycyny czy filozofii z reguły nie byli przecież księżmi-beneficjantami. Nie mieli stałych dochodów z kościelnego beneficjum, za to mieli żony i dzieci. Główne źródło dochodu dla prawdziwego uczonego stanowiły nie uboczne dochody, ale właśnie honoraria z tytułu pracy dydaktycznej. Profesorowie byli więc zależni od studenckich honorariów. Dla uczonych mistrzów student – to „nasz klient, nasz pan”, duże audytorium słuchaczy zapewniało dostatnią egzystencję. To tłumaczy, dlaczego właśnie na uczelni typu bolońskiego stosunki ukształtowały się tak korzystnie dla studentów i stosunkowo tak niekorzystnie dla profesorów.

Jeszcze do połowy XII wieku profesor był w Bolonii centralną

figurą. Od niego zależeli studenci, on miał nad nimi jurysdykcję, on występował jako *dominus* – pan i patron swoich słuchaczy. Ale rozwój szkoły bolońskiej stopniowo doprowadził, pod koniec XII wieku, do zupełnego odwrócenia sytuacji. Profesorowie, opłacani przez studentów, stali się zależni od potężnych instytucji uniwersytetu scholarów: rektora, nacji. Universitas przekształciła się z instytucji profesorskiej w studencką. „Panem” uczelni był student i jego studencki rektor czy prokurator. Kiedy Odofredus powtarza ciągle w toku swoich wykładów inwokację pod adresem słuchaczy *or signori* – „proszę panów”, to jest w tym jakiś wyraz nowych stosunków. To już nie profesor, ale student występuje jako *dominus*, główna figura uczelni.

Student – chlebowdawca profesora

Podstawę dochodów mistrza stanowiło zatem honorarium za naukę, określane w umowie ze studentami (*societas*). Nie było tu zresztą dowolności, profesorowie wspólnie z władzami uniwersyteckimi ustalali pewne zwyczajowe kwoty honorariów, zresztą niejednolite: wyższe na medycynie i na prawie, niższe, a niekiedy znacznie niższe, na wydziale sztuk wyzwolonych. Także i w obrębie jednego wydziału honoraria różniły się w zależności od wykładanego przedmiotu. Kurs niektórych ksiąg prawniczych był droższy, innych – łatwiejszych, bądź mniej rozległych – tańszy. Umowę ze studentami zawierano zwykle na jeden roczny kurs, w czasie którego należało wyłożyć określone dzieła prawnicze, medyczne czy filozoficzne. Rzadziej zawierano umowy na dłuższe okresy nauki lub na cały okres studiów. Realizacja umowy nie zawsze była łatwa. Zasadniczo co jakiś czas woźny uniwersytecki (*bedellus*) przeprowadzał zbiórkę pieniędzy (*collecta*) od studentów. Koszty najmu sali wykładowej, u mieszczan lub u samego profesora, zwykle wliczano do honorarium. Niekiedy stosowano odmienny system, na przykład w Montpellier czasem robiono taką zbiórkę, a właściwie nawet dwie zbiórki jednocześnie, na każdym wydziale; jedna pokrywała honorarium doktora, druga koszt wynajmu sali wykładowej. Profesor miał tu swojego sekretarza-ban-

kiera (*banquierius*), który zbierał pieniądze, a zarazem nadzorował salę i pilnował pomocy naukowych.

Wspomnieliśmy, że zebranie tych pieniędzy nie zawsze było łatwe. Kłopoty finansowe studentów odbijały się na regularności płacenia. „Studenci nie są dobrymi płatnikami” – żalił się Odofredus swoim słuchaczom. – Każdy chce się uczyć, ale płacić honorarium nie chce żaden.* Student, który popadł w tarapaty finansowe, na różne sposoby ratował się przed rozwiązaniem umowy o naukę: zabiegał, aby mistrz zgodził się uczyć go na kredyt, dawał mu w zastaw książki itp. Na średniowiecznym uniwersytecie wykład był ważny, opuszczenie kilku tygodni nauki studenci nadrabiali z trudem, bo przy niedostatku podręczników i skryptów żywy komentarz profesorski do wspólnie czytanego tekstu stanowił podstawę nauczania.

Kłopoty finansowe mistrzów

Pozycja profesora też jednak nie była łatwa. Aby nie zależeć od studentów, marnych płatników, musieli dorabiać „na drugim etacie” – w sądzie, administracji państwowej czy kościelnej, szpitalu. Praca taka zajmowała sporo czasu i bardzo utrudniała aktywność naukową. Dlatego dorabiali oni także innymi, często mało godziwymi sposobami. Wielu profesorów wynajmowało swoją salę czy jakieś pokoje w swoim domu na wykłady i na stancje studenckie. To zresztą mogli robić tylko mistrzowie zamożni, którzy już posiadali własny dom. Inni łatali budżety jak mogli. Statuty uniwersyteckie najsurowiej zakazywały profesorom organizowania gier hazardowych dla studentów: zakazów tych na pewno nie wydawano bez powodu. Innym brzydkim sposobem zarobkowania na studentach było pożyczanie im pieniędzy na wysoki procent. Wreszcie najgorszy proceder, jaki można sobie wyobrazić, podważający autorytet uniwersytetu – to łapownictwo przy egzaminach.

Mimo tych różnych sposobów zarabiania, wielu profesorów mniej wybitnych klepało biedę. Dotyczy to zwłaszcza wykładowców na

* *Scolares non sunt boni pagatores, quia volunt scire sed nolunt solvere iuxta illud: scire volunt omnes, mercedem solvere nemo.*

wydziałach sztuk wyzwolonych. Rzadko kiedy magistrowie artium byli zamożni z domu; jeszcze rzadziej dorabiali się na swojej pracy naukowej czy dydaktycznej. Inwentarze ruchomego majątku, który zostawiali swoim spadkobiercom i który znamy z urzędowych opisów, zadziwiają nierzadko ubóstwem, a zawsze skromnością. Najcenniejszą część tych spadków profesorskich stanowiły oczywiście książki. Zresztą książek także nie było wiele, zwykle kilkanaście tomów.

Najsławniejszy profesor prawa XIV wieku, Bartolus de Saxoferato, pozostawił wyjątkowo dużą na owe czasy bibliotekę prywatną, a przecież liczyła ona tylko 54 tomy, w tym 20 dzieł teologicznych i 30 prawniczych. Ale Bartolus należał do bardzo dobrze sytuowanych profesorów. Pracował już w okresie, kiedy profesorowie mieli stałe pensje, a ponadto był prawnikiem wielkiego autorytetu. Z wielu miast i krajów zwracali się do niego panujący, biskupi, sądy, adwokaci, strony procesujące się – z prośbami o ekspertyzy prawne (*consilia*). Dlatego Bartolus mógł zostawić w spadku – prócz wymienionej już biblioteki – kamienicę w Perugii, dwie posiadłości ziemskie, 1200 florenów gotówką oraz dobre posagi dla czterech córek. W tym przypadku jednak mamy do czynienia z prawdziwą arystokracją naukową. Na drugim biegunie znajdowali się skromni mistrzowie artium, po których spadkobiercy otrzymywali znoszoną togę uniwersytecką, kilka gratów i najwyżej kilkanaście książek.

Nie najlepsza sytuacja finansowa profesorów na wielu uniwersytetach typu bolońskiego wyjaśnia także uporczywe walki o przestrzeganie przywileju wolności podatkowej doktorów. Nie zawsze bowiem władze państwowe i miejskie szanowały tę wolność. Zabawną historię przekazał wybitny profesor z Bolonii, a potem Modeny – Pillius Medicinensis. Oto opisuje on, jak chytry Bolończycy zaprosili na zebranie wszystkich profesorów uniwersytetu pod jakimś zmyślnym pretekstem. Kiedy już mieli ich w rękę, zażądali złożenia uroczystej przysięgi, że mistrzowie bolońscy nigdy nie będą wykładali w innym mieście, poza Bolonią. Takie przysięgi istotnie pojawiły się najpierw w Bolonii, gdzieś około roku 1190; zapewne pierwszą złożył wymieniany już profesor-donzuan, Lotar z Kremony. Powody, dla których miasto żądało tych przysięg, są jasne. Uniwersytety były dla

miast włoskich źródłem autorytetu i dużych dochodów. Komunie zależało tedy na podtrzymaniu zasięgu oddziaływania uczelni, jej poziomu, jej składu osobowego. A więc przysięga miała zapobiec odchodzeniu wybitnych profesorów.

Jednakże w wypadku opisanym przez Pilliusa chodziło jeszcze o coś innego. Oto po otrzymaniu żądanej przysięgi Bolończycy postąpili nader szpetnie. Wykorzystali fakt, że profesorowie musieli w każdym wypadku zostać w Bolonii, i zaczęli obciążać ich podatkami miejskimi. Ta przewrotność Bolończyków pokwitowana została gorzkim wyrzekaniem Pilliusa, który lamentował, iż tak żałośnie dał się okpić mieszczuchom. Nawiasem warto może dodać, że w średniowieczu ludzie zamożni byli najgorszego zdania o publicznych daniach. Regularny, systematyczny podatek uważano za rzecz niewiele lepszą niż rozbój na publicznej drodze. Podatek płacono na ogół tylko w wyjątkowych wypadkach; było to koło ratunkowe dla zupełnie szczególnych sytuacji. O regularnych obowiązkach podatkowych nie chciano na ogół słyszeć, uważano je za rzecz godną niewolnika. Normalnie podatek można było więc albo wymusić, albo wyprosić. Tak też nazywano podatki w średniowieczu: „prośba” – *petitio*, Bede (*Bitte*) lub „gwałt” – *violentia*, *rapina* itp.

Pillius Medicinensis tak właśnie ocenił żądanie stałych podatków od bolońskich doktorów: to był gwałt, potraktowano tu profesorów jak sługi, i to najniższego stanu (*servi infimae conditionis*). Dlatego Pillius skorzystał z pierwszej sposobności, aby wynieść się z niegościnniej Bolonii. Założył studium prawa w niedalekiej Modenie, co jednak koledzy-Bolończycy uznali za zdradę macierzystego uniwersytetu.

Do rzadkości należy taki gest, jaki zrobił Bartolus de Saxoferrato. Razem z obywatelstwem pięknej Perugii przyznano mu dyspensę od wszystkich podatków. Mimo to Bartolus dobrowolnie płacił podatek na rzecz komuny miejskiej. Ten niezwykły fakt tłumaczy się przywiązaniem wielkiego mistrza do miasta, które dało mu swe obywatelstwo. Dla syna zamożnej chłopskiej rodziny był to awans w społecznej hierarchii. W porównaniu z jakimś Saxoferrato, leżącym za górami, Perugia była prawdziwą metropolią. Warto wspomnieć, że pochodzenie społeczne pozostawiało jednak trwałe ślady w świa-

domości. Bartolus został sławnym uczonym i bogatym mieszczańcem, ale do końca życia zachował obyczaje nieco niezwykle u człowieka tej pozycji społecznej. Jego skąpstwo było przysłowiowe i wyrażało się w chłopskim oszczędzaniu na drobniaczach.

Student boloński – klient i pan

Zależność finansowa od studentów była główną przyczyną szczególnego ustroju uczelni typu bolońskiego, gdzie podporządkowanie profesora i przeważająca rola studentów stały się regułą. Pozycja profesorów bolońskich była naprawdę niekorzystna, czasem wręcz upokarzająca. Kiedy wchodził do sali wykładowej pedel uniwersytetu, przeważnie zresztą młodszy od profesora, wykładowca przerywał zajęcia, aby w środku wykładu wysłuchać polecenia lub przepisu wydanego przez studenckiego rektora. Jeśli profesor boloński przedłużył wykład choćby o minutę, normalną było rzeczą, że przemawiał już tylko do pustych ławek. Nie noszono wprawdzie zegarków na rękę, ale dzwony pobliskich kościołów dokładnie wydzwaniały początek zajęć uniwersyteckich, a potem ich zakończenie.

Studenci w Bolonii byli w sytuacji klienta, który płaci i wymaga. Wykłady profesorów musiały odbywać się ściśle według rozkładu (tzw. *signatio punctorum*) i nic nie wolno było opuścić ani skrócić. W zasadzie studenci mogli dać „wychodne” swojemu mistrzowi – pozwolić mu na kilkudniowy wyjazd, na jeden dzień przerwy w zajęciach. Ale w każdym wypadku taki profesorski nadprogramowy urlop musiał być potwierdzony przez rektora. Wyjazd choćby na parę dni bez zgody rektora był czymś nie do pomyślenia.

Każdy fakt profesorskich „wagarów”, każde spóźnienie, każde naruszenie porządku wykładów, skrócenie lub pominięcie jakiegoś punktu w programie przedmiotu – studenci powinni byli notyfikować władzom. Donoszono o tym rektorowi, który karał profesorów grzywnami pieniężnymi. Jurysdykcja studenta-rektora nad osiwiłymi w pracy naukowej mistrzami wcale nie była formalnością. W praktyce była to jurysdykcja, z którą najpoważniejszy profesor musiał się bardzo liczyć. Normalnie rektor karał profesorów grzywnami, ale

były też kary surowsze: zawieszenie praw, a nawet tzw. *deprivatio* polegające na bojkocie winnego profesora, zakazie uczęszczania na jego wykłady i utrzymywania z nim wszelkich stosunków towarzyskich. Słuchacze i koledzy-profesorowie musieli zerwać zupełnie z obłożonym taką rektorską klątwą. Delikwentowi pozostawało tylko szukanie innego zajęcia, wyniesienie się z miasta na inną uczelnię, albo poddanie się rektorowi i starania o restytucję w prawach. To jednak nie było łatwe: restytucji dokonywać musiała cała kongregacja studenckiego uniwersytetu.

Dodać wypada, że komuna miejska nie poparła profesorów w tym momencie dziejów uniwersytetu, gdy studenci zaczęli brać górę i organizowali cech uniwersytecki na swoją modłę. Początkowo profesorowie na uczelniach bolońskiego typu – to przede wszystkim miejscowi obywatele, członkowie komuny. Władze miejskie były więc zdania, że komuna miejska chroni ich dostatecznie i nie ma powodu tworzyć dla nich korporacji. Ale potem taką korporację zaczęli tworzyć studenci, jednocząc się dla obrony studenckich interesów przed komuną i przed doktorami równocześnie. I właśnie wówczas doktorzy szukali poparcia u władz miejskich.

Doktorzy twierdzili, że to oni i tylko oni mogą utworzyć *universitas*, korporację uniwersytecką. Tylko doktorzy przecież są czynni zawodowo. Studenci nie mają jeszcze żadnej ustabilizowanej pozycji życiowej: przyznawanie im osobnej zawodowej korporacji jest niedorzecznością. Może istnieć „cech” profesorów, tak jak istnieją gildie handlowców czy cechy producentów miejskich. Ale nie może przecież istnieć „cech” studentów i komuna nie powinna pozwolić na jego utworzenie.

Jednakże i teraz komuna nie poparła skutecznie profesorskich postulatów. Główną przyczyną była obawa o losy uniwersytetu, gdy studenci zrażą się do narzucanej im organizacji. Migracja studentów do sąsiedniego miasta stanowiła bardzo skuteczne narzędzie walki przeciw interwencjom czy nieżyczliwości władz miejskich. A uniwersytet był zbyt wielką atrakcją, przede wszystkim ekonomiczną, by miasto mogło pozwolić na przeniesienie studium do sąsiedniego, konkurencyjnego ośrodka. Ponadto w sporach z komuną studenci potrafili zapewnić sobie poparcie wyższych instancji: papieża, mo-

narchów. W przypadku Bolonii papież zawsze interweniował na korzyść studentów, a przeciw władzom komunalnym. Inna sprawa, że za tę papieską protekcję wypadało płacić uznaniem papieskiej kontroli nad uniwersytetem. Mówiliśmy już o tym poprzednio.

Wreszcie obraz ten byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć o innej przyczynie utrwalenia przewagi studentów nad profesorami w uniwersytetach włoskiego typu: o zawiściach między doktorami, rywalizacji i konfliktach osobistych.

Profesorskie rywalizacje, tak stare jak uniwersytet

Rywalizacje profesorskie istniały także i na uniwersytetach o ustroju paryskim. Kanclerz Filip de Grève mówił o paryskich uczonych, że spory ich przypominają mu walki kogutów. Jeszcze wcześniej, w XII wieku, u progu uniwersyteckiej kariery Paryża, rywalizacje mistrzów były chlebem codziennym tego zawodu. Abelard w swym dziele *Historia moich niedoli* opowiada, jak zazdrość i nienawiść „papieża” szkoły katedralnej Notre-Dame, Wilhelma z Champeaux, zmusiła go dwukrotnie do zamknięcia swej szkoły w Paryżu i do wędrówek na prowincję (Melun, Corbeil). Abelard był na pewno bardziej zdolny i błyskotliwy; w publicznej dyspacie na temat tzw. uniwersaliów (filozoficznych pojęć ogólnych) pokonał i ośmieszył Wilhelma. Obiektem ich rywalizacji było oczywiście audytorium, studenci, celem – popularność szkoły.

Ale nie tylko w Paryżu rywalizacje obrzydzały życie Abelardowi. Kiedy zaczął studia teologii – już jako znany uczony – u Anzelma z Laon, zazdrosny mistrz wnet poznał się na bystrości ucznia. Bojąc się wpływu Abelarda na studentów, zakazał mu prowadzenia zajęć dydaktycznych pod upokarzającym pretekstem, że może on popełniać błędy w swoich teologicznych komentarzach. W *Historii moich niedoli* Abelard wziął odwet na swoim byłym mistrzu. Anzelm mówił pięknie – pisał – ale bez sensu. „Gdy zapalał ogień, napełniał tylko dom dymem, ale nie oświeślał go jasno.”

Paryż: spory „artystów” i teologów

Oprócz tych rywalizacji osobistych, mniej lub więcej prywatnych, bywały też rywalizacje zbiorowe. Profesorowie sztuk wyzwolonych w Paryżu prowadzili nieustanne wojny z profesorami teologii. Wydział *artium* w Paryżu był niezmiernie ambitny i ruchliwy ideowo. Od wielkich, potępionych przez Kościół filozofów, Berengariusza z Tours i Roscelina, Abelarda i Dawida z Dinant przejął tradycje non-konformizmu. W XIII wieku paryski wydział sztuk wyzwolonych stał się gniazdem tzw. awerroizmu – doktryny filozoficznej, recypującej dzieło Arystotelesa w realistycznym nurcie nauki arabskiej. Wielki uczonej Hiszpanii arabskiej, Awerroes, był mistrzem duchowym paryskich uczonych, Sigera z Brabantu i Boecjusza Duńczyka; o awerroizmie powiemy zresztą jeszcze parę słów przy innej okazji.

Zwróćmy uwagę, że wszędzie, gdzie filozofowie z uniwersytetu sami szukali Prawdy, natrafiali na mur bronionych gorliwie dogmatów.

„Nigdy nie doszukamy się prawdy – pisał filozof XII stulecia, Gilbert z Tournai – jeśli będziemy się zadowalać tym, co już odkryto... Ci, którzy pisali przed nami, nie są naszymi władcami, ale tylko przewodnikami. Prawda jest otwarta dla wszystkich i nikt jej jeszcze nie posiadał w całości.”

Stefan z Tournai już u schyłku XII wieku denuncjował filozofów paryskich przed papieżem. Zarzucał im, że szukają raczej własnej sławy niż nauki, tworząc ciągle nowe summy i komentarze, tak jakby nie wystarczyło Pismo św. w komentarzach Ojców Kościoła. Nieco później generał dominikanów Humbert de Romanis oburzał się, że filozofowie z uniwersytetu pragną poznać rzeczy niepoznawalne – takie, jak tajemnica Trójcy Świętej. Guiard de Laon, kaznodzieja paryski XIII stulecia, ubolewał, że w Paryżu studenci i mistrzowie wolą uczyć się geometrii niż poznawać Boga, że potajemnie czytają zakazane księgi Arystotelesa (dzieła z zakresu filozofii naturalnej, które były punktem wyjścia do doktryny awerroizmu).

Na polu naukowym polemikę z awerroistami podjął Albert Wielki, a potem zwłaszcza Tomasz z Akwinu, ale oprócz tego na uniwersytecie próbowano różnymi zakazami położyć tamę poszukiwaniom filozofów. Zauważono, że ci mistrzowie, którzy głoszą tezy „wywro-

towe”, mają szczególnie liczne zastępy uczniów. „Wielu studentów przychodzi do profesorów, którzy mówią rzeczy dotąd nie słyszane” – powiada Guiard de Laon. Nie bez powodu tedy zabroniono w 1272 roku profesorom wydziału sztuk traktować o kwestiach ściśle teologicznych. Zastrzeżono je dla zawodowych mistrzów teologii, „bo nie przystoi, aby niegeometra dyskutował z geometrą”. Jeśli jakiś profesor artium rozwiąże pewien problem niezgodnie z prawdami wiary, powinien być wykluczony z uczelni jako heretyk.

W roku 1276 zakazano w Paryżu – nieprzypadkowo zapewne – prywatnych, „tajemnych” wykładów (*occulta conventicula ad docendum*). Wolno było wykładać tylko w miejscach publicznych, do których każdy mógł mieć dostęp, nigdy w prywatnych mieszkaniach. Wyjątek zrobiono dla gramatyki i logiki, „bo tu nie mogą powstać żadne podejrzenia”. W przepisach dla bakałarzy sztuk wyzwolonych nakazano im składać przysięgę, iż nie będą dyskutować kwestii teologicznych. Gdyby jakiś problem dotyczył razem i wiary, i filozofii, obowiązkiem bakałarza było rozstrzygnąć go wedle zasad wiary. Ta walka teologów z wydziałem sztuk wiąże się z walką Kościoła przeciw awerroizmowi potępionemu oficjalnie przez biskupa paryskiego w 1277 roku.

Profesorowie paryscy przeciw zakonnikom

Inna płaszczyzna ostrych sporów między paryskimi profesorami – to opór mistrzów niezakonnych przeciw dopuszczeniu na katedry mnichów (franciszkanów, a zwłaszcza dominikanów). Wszyscy profesorowie, duchowni i świeccy, protestowali przeciw kolegom-zakonnikom. Występowały w tych oporach motywy ideowe i organizacyjne. Zakonom zebrzącym zarzucano fałszywe rozumienie ewangelicznego ubóstwa. Zawodowy intelektualista, żyjący z pracy naukowej i dumny ze swej pracy, nie akceptował ideału życia, którego podstawą materialną miała być zebranina. Ale jeszcze ważniejsze były spory o rolę zakonników w organizacji uniwersyteckiej. Mnisi, związani regułą klasztorną, nie liczyli się poważnie z korporacją uniwersytecką, jej władzami, jej przepisami, jej obyczajami. Bardzo ścisła zależ-

ność zakonników od przełożonych klasztornych pozostawała nieraz w sprzeczności z autonomią uniwersytecką. W XIII wieku zakonnicy na uniwersytecie uchylali się od udziału w strajkach i migracjach, od składania przysięgi wierności dla całej *universitas*. W roku 1254, gdy szala zwycięstwa przechylała się na stronę mnichów, w paryskim kościele St.-Julien le Pauvre, w obecności wszystkich profesorów, odczytano wielki manifest przeciw mnichom (zwłaszcza dominikanom), który uzasadniał kroki poczynione właśnie wtedy: ekskomunikę i wygnanie z uczelni mistrzów-zakonników. Złośliwie aluzje do mnichów, z którymi nie można współżyć na uczelni, zadziwiają gwałtownością. „Mysz w spichrzu, wąż na piersi, ogień w stodole źle się odpłacają swym gospodarzom”; „nie można orać jednocześnie wołem i osłem”.

Ostatecznie jednak mnisi zostali dopuszczeni na teologię, ale nie bez pewnej dyskryminacji: u profesora-mnicha nie mogli się doktoryzować studenci niezakonni. Nie pozwolono natomiast zakonnikom wykładać na wydziale sztuk wyzwolonych. Bakałarze paryscy na wydziale sztuk musieli składać między innymi przysięgę, że nie będą pomagać zakonnikom i prowadzić z nimi zajęć dydaktycznych.

Konflikty profesorskie na medycynie i prawie

Ale chyba jeszcze ostrzej występowały zawiści i współzawodnictwa między uczonymi na uniwersytetach typu włoskiego, gdzie głównym elementem nauczania były prawo i medycyna. Dyscyplina kościelna nie działała tutaj i nie mogła tuszować – choćby powierzchownie – rywalizacji profesorskich. Do tradycji uniwersytetu należały postacie wielkich mistrzów i prywatne szkoły wokół nich skupione. To sprzyjało rywalizacjom osobistym.

Medycyna zawsze – od greckich czasów – była nauką trochę tajemną, wiedzę medyczną przekazywano w izolowanych kręgach, z mistrza na ucznia. Bardzo wiele zależało tu od osobistej wiedzy i talentu profesora. Proces inicjacji naukowej był skomplikowany, wymagał długiego terminowania, sprzyjał autorytetowi wybitnych mistrzów. Mimo że średniowiecze chętnie sprowadzało studium medy-

cyny do spekulatywnych dyskusji i komentowania dzieł medycznych o silnym podkładzie filozoficznym, medycyna nigdy nie przestała być w jakimś stopniu sztuką, sprawą indywidualnego talentu. To oczywiście stwarzało podatny grunt dla zazdrości i rywalizacji zawodowych.

Również prawo stwarzało taki podatny grunt. Niesłusznie przedstawiano średniowiecznych profesorów prawa (tzw. glosatorów, potem postglosatorów) jako ludzi zatopionych wyłącznie w subtelnych prawniczych konstrukcjach, w egzegezie starych rzymskich ksiąg prawniczych. To także byli żywi ludzie, wrażliwi jak prawnicy każdego pokolenia na szanse politycznej kariery, wpływania na rządy, doradzania monarchom. Orleańczycy traktowali katedrę uniwersytecką jako odskocznnię od kariery publicznej; Bolończycy ludzili się nadziejami na funkcje doradców cesarza niemieckiego („rzymskiego” z tytułu, tak samo, jak rzymskie było prawo przez nich badane). O tym była już mowa.

Ale nawet bardzo subtelne konstrukcje prawnicze stwarzały okazję do sporów i rywalizacji. Powtarza się często pogląd, że średniowieczni autorzy nie przywiązywali wielkiego znaczenia do sprawy plagiatów, cytowania cudzych opinii, własności literackiej. To jednak nie dotyczy wcale uczonego środowiska prawników. Byli oni niezmiernie wrażliwi na punkcie swoich praw autorskich; wynalezienie jakiejś szczęśliwej konstrukcji prawniczej, przydatnej dla praktyki, czy choćby tylko efektownej, stanowiło przedmiot ich szczególnej dumy. Nie skrępowani jak teologowie dogmatem i autorytetem, prawnicy chlubili się oryginalnością swoich propozycji, bogactwem i wnikliwością egzegezy tekstów, subtelnością rozwiązań. Nieraz musieli walczyć w obronie swego dorobku naukowego: ileż złośliwości, ironii, pogardy zawierają spostrzeżenia wielkich mistrzów bolońskich o kolegach pozbawionych ducha inwencji, *animus inveniendi*. Ileż oburzenia spływało na głowy tych, którzy pozwolili sobie ukraść pomysł, wynalazek, ideę z cudzego dzieła.

Takie pretensje zgłaszano zwłaszcza pod adresem prawników kościelnych. Zarzucano im, że są złodziejami, że żerują na cudzych pomysłach, że wszystko co wartościowe w kanonistycznych dziełach wykradli od swoich świeckich kolegów. Cinus z Pistoji, wielki anty-

klerykał, oburza się na kanonistów – złodziei i żebraków. Ich nauka jest fałszywa, błędna, cudzołożona i tak jak fałszywa moneta nie ma żadnej wartości. Miał zresztą Cinus także inne pretensje do prawników kościelnych: o to, że są wydrwigroszami, że w sądach kościelnych dbają tylko o wyciśnięcie pieniędzy od stron procesowych.

Wśród prawników świeckich także istniały wzajemne animozje. Zarzuty kradzieży przeplatały się z oskarżeniami o schlebienie władzy: cesarzowi przede wszystkim, ale także na przykład papieżowi lub władzom miejskim. Szczęśliwszym w polityce zarzucano karierowiczostwo, szczęśliwszym w nauce – kradzieże od kolegów. Nie ustrzegł się tego zarzutu nawet największy spośród największych, Bartolus. Sam podkreślał z dumą, że nigdy nie podszywa się pod cudzą opinię, że zawsze cytuje autora, którego zdanie przyjmuje. Ale zawistni koledzy wyszperali rychło, że i Bartolus ulegał rozpowszechnionej słabości: podawał niekiedy jako własne poglądy zaczerpnięte ze znanych mu bezspornie dzieł kolegów po fachu.

Podobnie było na przykład w Orleanie. Dwaj najwybitniejsi orleańscy mistrzowie – to Jakub de Révigny (de Ravanis) i Piotr de Belleperche (Bellapertica). Otóż kiedy nieco młodszy Belleperche, mający się za największego mistrza w dziejach uczelni orleańskiej, mówi o poglądach Jakuba de Révigny, niemal zawsze krytykuje bardzo ostro ich naukową wartość. Ale kiedy zdarza mu się zgadzać z opinią rywala – prawie nigdy nie podaje, że jest to pogląd Jakuba, nie cytuje jego nazwiska. Proceder taki jest i wyrazem istniejącej już rywalizacji między wielkimi uczonymi, i podniecią dla dalszego zaogniania sporu.

Charakterystyczne jest też, że rywalizacje i nienawiści profesorskie przechodziły często z pokolenia na pokolenie. W połowie XII wieku pokłócili się dwaj świetni mistrzowie bolońscy, Bulgarus i Martinus. Prawdopodobnie jedną z głównych przyczyn sporu były większe fawory, jakie potrafił sobie zaskarbić Martinus u cesarza Fryderyka Barbarossy. Ale dołączyły się do tego i różnice zdań w naukowych materiach, na nasz gust raczej nie zasadniczych. I oto ostra rywalizacja i niechęci wzajemne przetrwały pierwotną przyczynę sporu, przeciwstawiły sobie na studium bolońskim stronnictwo „bulgarystów” i stronnictwo „martynistów”. Zarzucali oni sobie wzajemnie kiepską wartość naukową publikowanych dzieł, ciasnotę horyzontów

(„Martinus trzyma się litery tekstu tak jak Żyd”), stronnictwo („Waża sprawiedliwość trzyma się mieszka z pieniędzmi”), oportunizm i inne grzechy główne.

Uczeń Bulgarusa, Alberyk, zwolennik partii „bulgarystów”, za swoim mistrzem przyjął pogląd, że po śmierci żony posag powinien być zwrócony teściowi. Martinus i jego szkoła byli akurat przeciwnego zdania.

Ale oto Alberykowi umarła żona. Jakiś czas potem przychodzi do niego teść i żąda posagu, „ponieważ jesteście tego zdania, jakie głosił wasz mistrz Bulgarus”. Alberyk replikuje: „nie dam wam ani jednego denara i sądzę, że jednak opinia Martinusa jest prawdziwsza”. Zabawna ta chytryść uczonego prawnika; nie twierdzi, że jego własny pogląd jest fałszywy, powiada tylko, że pogląd szkoły przeciwnej jest „prawdziwszy”.

Spory naukowe i plotki

Trzynastowieczny autor, któremu zawdzięczamy tę anegdotę, nie kryje oburzenia na oportunistę Alberyka, sprzeniewierającego się – dla uniknięcia straty materialnej – własnym naukowym przekonaniom. Opowiadanie podobnych anegdot było ulubionym zajęciem wielu zawistnych kolegów, rywali czy konkurentów. Anegdoty te rozpowszechniano na wykładach, słuchacze zapisywali je i szeroko kolportowali. Nie wszystkie dotyczyły różnic w poglądach naukowych, nie wszystkie dyskwalifikowały doktrynę rywala. Niektóre miały posmak skandali obyczajowych, zawsze nęcących ludzką wyobraźnię.

Jakże przyjemnie było na przykład opowiedzieć na wykładzie z udanym zgorszeniem, że kolega po fachu, profesor Jan Bassianus, ma zwyczaj upijać się razem ze studentami, że nawet widziano go, jak po pijanemu biegał nago ulicami Bolonii.

A oto inna historia. Słynny profesor Azo tępił przy każdej okazji poglądy naukowe swego kolegi, Hugolinusa. Niedyskretny plotkarz w uniwersyteckiej todzie zdradził kulisy tej sprawy: nie chodziło tu wcale o różnice opinii. Niechęć Azona do Hugolinusa datowała się

od chwili, kiedy Azo zaczął podejrzewać swoją żonę o to, że nie była zbyt surowa w stosunkach z Hugolinusem...

Wracając do rzeczy poważnych warto wyjaśnić, jakie były cele kolportowania takich historii i anegdot. Dzisiaj też się opowiada podobne anegdoty, ale... nie na publicznym wykładzie. Jeśli wtedy robiono inaczej, to nie z powodu gruboskórności środowiska uniwersyteckiego. Dyskredytowanie rywala na uczelni typu bolońskiego było procederem nieładnym, ale rozumiałym na tle walki konkurencyjnej. Często chodziło o to, kto zdobędzie większą popularność, kto będzie aktualnym „papieżem” szkoły, do kogo studenci będą przychodzić najliczniej. Liczba studentów decydowała o zamożności; kto miał duże audytorium, ten miał i duże dochody.

Aby przyciągnąć do siebie studentów, stosowano także inne sposoby. Wspomnieliśmy już, że profesorowie niekiedy pożyczali pieniądze studentom, aby ich z sobą związać. Czasem dokonywano jeszcze dziwniejszych transakcji.

Przy wolnym wyborze studentów niektórzy profesorowie zdobywali sobie bardzo duże audytorium utrudniające normalną pracę. Inni nie mieli amatorów swego talentu. Gorszy profesor mógł dyskretnie załatwić „kupno” części audytorium od profesora popularnego. Sławny doktor pozbywał się „nadwyżek” i zarabiał jeszcze na tym. Kiepski mistrz miał nareszcie własne audytorium, które mogło znieść następnych słuchaczy – najtrudniej przecież wystartować w ostrej konkurencji. Wreszcie studenci nie mogli się co prawda dostać do najlepszego z mistrzów, ale za to płacili niższe honoraria.

Reforma płac na uniwersytecie typu bolońskiego

System typu bolońskiego zaczął ulegać ewolucji od schyłku XIII wieku. Początek dało zwycięstwo partii gwelfów w Bolonii w 1270 roku. Rozгромienie partii gibelińskiej osłabiło uniwersytet; wielu studentów i profesorów wyniosło się do innych miast.

Nowe władze miejskie zaczęły energicznie reformować stosunki w Bolonii. Między innymi postanowiono zatrzymać na uczelni przynajmniej niektórych wybitniejszych profesorów, aby uniwersytet nie

rozleciał się i nie stracił sławy. Być może chodziło także o to, by zagwarantować sobie lojalność polityczną bolońskich doktorów, dość że od końca XIII wieku komuna opłacała już niektóre stanowiska profesorskie (dziś powiedzielibyśmy: katedry).

Pensje te kształtowały się bardzo różnie, zależnie od wziętości i sławy profesora. Wydaje się jednak, iż niesłusznie przypuszczano w literaturze, że były to królewskie apanaże. Raczej chyba płace te nie przekraczały średniego poziomu; między innymi świadczy o tym fakt, że nie od razu ustało zbieranie kolekt od studentów. Na pewno jednak ta reforma stopniowo prowadziła do ustalenia zasady bezpłatności nauczania, ale równocześnie – także stopniowo – do ograniczenia studenckiej swobody wyboru. Słabła tedy i rywalizacja między mistrzami. Mówiliśmy wyżej o złych jej stronach, o niezbyt czystych chwytach konkurencyjnej walki. Teraz okazało się, że ta rywalizacja miała także i dobre strony, bo kiedy zaczęło jej brakować, osłabło tętno pracy naukowej, dyskusje stały się mniej ciekawe, zespół profesorski kosztował w przeżuwanie starych treści badawczych. Na opłacane katedry uniwersyteckie dostawali się często nie najlepsi, ale ci, którzy mieli odpowiednie protekcje, którzy korzystali z nepotyzmu profesorów i władz, mających wpływ na obsadę katedr. A jeśli nawet na stanowiska uniwersyteckie dostawali się ludzie wybitnie zdolni, słabe tętno pracy intelektualnej nie sprzyjało rozwojowi ich talentu. Od początku XIV wieku sławny uniwersytet boloński przeżywał wyraźny kryzys naukowy; w znacznej mierze przypisać to wypadnie nastrojom samozadowolenia i kwietyzmu wśród miejscowych profesorów. To samo spostrzeżenie odnosi się do innych uczelni, które raptownie przeszły od systemu wolnej konkurencji do opłacania stanowisk profesorskich. Taka reforma została w końcu XIII wieku przeprowadzona w Orleanie; i tutaj obniżenie poziomu studiów było zupełnie wyraźne.

Początkowo jeszcze zachowały się resztki zasady wolnego wyboru profesorów. Słuchacze uniwersytetów w Bolonii, Neapolu, Orleanie usiłowali nieraz wymusić na władzach publicznych powołanie na płatne katedry określonych osób. Tak na przykład w 1296 roku studenci uczelni bolońskiej nie chcieli zawierać umów o najem mieszkania w obawie, że ulubiony ich profesor, Hiszpan z pochodzenia,

Dynus de Muxellano, nie zostanie powołany na katedrę w Bolonii i przeniesie się do Neapolu.

Ostatecznie więc uniwersytety w Bolonii czy Orleanie, gdzie do końca XIII wieku istniała wolna konkurencja profesorów, upodobniły się do innych uczelni, które już wcześniej przyjęły zasadę stałych poborów profesorskich. Przykład takiego rozwiązania pokazaliśmy już dla pierwszej połowy XIII wieku, mówiąc o uniwersytecie w Tuluzie; hrabia Rajmund zobowiązał się opłacać mistrzów tej uczelni z własnej kiesy. Większość uniwersytetów fundowanych w XIII i XIV wieku, które przyjmowały demokratyczny ustrój boloński, opłacała już swoich profesorów z publicznych funduszy.

Fundusze te pochodziły z różnych źródeł. W Bolonii mamy klasyczny przykład pensji profesorskich płaconych przez bogatą komunię miejską. Ale to było możliwe we Włoszech, w których istniały takie zamożne republiki miejskie. Gdzie indziej, tak jak w Tuluzie, pensje wypłacali książęta i królowie. Niekiedy gwarantowano dochody profesorskie ściśle określonymi funduszami państwowymi. Na przykład w Palencii król Ferdynand przeznaczył na utrzymanie uniwersytetu część dochodu wszystkich kościołów tutejszej diecezji; uniwersytet w Leridzie – jedna z najwcześniejszych fundacji państwowych – otrzymał stały dochód w postaci części podatku od wina, niektórych czynszów itd. Podobnie postąpił z uniwersytetem krakowskim Kazimierz Wielki, zabezpieczając pensje profesorskie na dochodach żupy wielickiej. Administrator wielickich kopalni soli, żupnik, musiał co kwartał wypłacać odpowiednie sumy krakowskiej uczelni.

Kontrola uczelni

Oczywiście, lokowanie publicznych pieniędzy w uniwersytecie nie pozostało bez wpływu na wewnętrzną sytuację uczelni. Każdy kto płaci – także wymaga. Fundatorzy nie poprzestawali na samym płaceniu, ale kontrolowali też działalność uczelni, określali kierunki jej działania zgodnie ze swoimi potrzebami, badali nawet niekiedy treść nauczania.

Ostatecznie wytworzyły się trzy typy kontroli nad uniwersyte-tem. Paryż ciągle był klasycznym przykładem kontroli kościelnej, papieskiej. Nie tylko dlatego, że podstawowe studia paryskie to teologia i prawo kanoniczne; także dlatego, że profesorowie paryskiej uczelni to przede wszystkim duchowni czerpiący źródła dochodów z kościelnych beneficjów i klasztornych funduszy. Klasycznym przykładem gestii władz miejskich nad uniwersyte-tem była czternastowieczna Bolonia. Nadzór nad tutejszą uczelnią od połowy XIV stulecia sprawowali specjaliści, *Riformatori dello Studio*, sami z kolei nadzorowani przez władze komunalne. Wreszcie częste były takie uczelnie, gdzie kontrolę sprawowały zasadniczo władze państwowe (niekiedy do spółki z władzami kościelnymi lub miejskimi). Można tu zacytować przykład uniwersytetu w Neapolu. Królowie sycylijskiej (neapolitańskiej) monarchii, Andegawenowie, interesowali się osobiście pracą uniwersytetu neapolitańskiego i nawet uświetniali swą obecnością niejedno uroczyste zebranie uczelni.

Jak awansować na profesora

W miarę tych przekształceń ustrojowych zmieniał się też tryb awansowania na profesora. We wczesnym okresie wystarczało zdobyć stopień doktorski, aby wykładać na dowolnie obranej uczelni. Cała sztuka polegała tylko na tym, aby mieć dostateczną liczbę słuchaczy, bo inaczej trudno było wyżyć z doktorskiej profesji. Stopniowo jednak sytuacja ulegała zmianie, a wolność nauczania krępowała coraz bardziej.

Jak dalece niezależny był zawód profesora w początkach uniwersytetów, o tym może świadczyć bardzo charakterystyczny fakt. W średniowieczu panowała dość powszechnie nietolerancja religijna, a jednak na pierwszych studiach medycznych w Salerno i Montpellier wielką, po części nawet założycielską rolę odgrywali mistrzowie Żydzi. Po roku 1140 do krajów zachodniej Europy napływało dość dużo Żydów hiszpańskich, prześladowanych przez Almohadów, władców Hiszpanii arabskiej. Wśród tych emigrantów żydowskich znalazło się wielu uczonych, a zwłaszcza wielu medyków, mających ol-

brzymią wiedzę i praktykę. Medycyna była zawsze wiedzą trochę orientálną: wpływy perskie i greckie działały na uczonych arabskich. Hiszpania arabska w IX, X czy XI wieku stanowiła potężny ośrodek wiedzy lekarskiej. Żydzi emigrujący z Hiszpanii od dawna pośredniczyli między wiedzą arabską i nauką zachodnioeuropejską. Już w XI, a zwłaszcza w XII stuleciu profesorowie (a także i studenci) pochodzenia żydowskiego pojawiali się licznie na uniwersytetach w Salerno i Montpellier. Byli wśród nich wielkie, sławne nazwiska, na przykład Donnolo z Tarentu. Odgrywali oni tak wielką rolę na studium medycyny, że w jedenastowiecznym Salerno wykłady medycyny odbywały się nie tylko po łacinie, ale i po hebrajsku. Nietolerancja religijna nie miała jeszcze dostępu do audytorium.

Zaostrzająca się kontrola Kościoła zaczęła utrudniać awans naukowy najpierw chyba na uczelni paryskiej. Jest to oczywiście wynikiem dużego znaczenia, jakie Kościół przywiązywał do wykładanych tu nauk teologicznych i kanonicznych. Już w ciągu XII wieku utrwalił się zwyczaj, że promocje uniwersyteckie kontrolował kanclerz katedry paryskiej (tylko na studium „artystów” był wybór: zgodę na promocję mógł także wyrazić kanclerz kapituły św. Genowefy). Zaczęła się kontrola nad magistrami, których uczelnia wypuszczała: czy aby są prawomyślni, czy są dobrych obyczajów itd. Szczególnie wymogi stawiano kandydatom na profesorów. Między innymi żądano, aby każdy wykładowca żył w celibacie. Jest to interesujący przykład, jak uniwersytet paryski zrównywano z instytucjami duchownymi. Ten obyczaj przetrwał zresztą w Paryżu bardzo długo. Bez względu na to, czy profesor tutejszej uczelni był księdzem, czy też nim nie był – żądano, aby się nie żenił. Dopiero w roku 1452 paryscy mistrzowie wydziału medycyny otrzymali dyspensę od celibatu. Jak widać, praca naukowa wymagała niekiedy niemałych wyrzeczeń.

W 1290 roku wykładający w paryskiej uczelni kleryk Jan musiał zeznać pod przysięgą, że oficjał sądu biskupiego w Rouen dał mu rozwód z żoną, Simoną. Inaczej nie chciano mu pozwolić na wykładanie. Zastrzeżono jednocześnie, że gdyby pogodził się z małżonką, zostanie pozbawiony prawa wykładania.

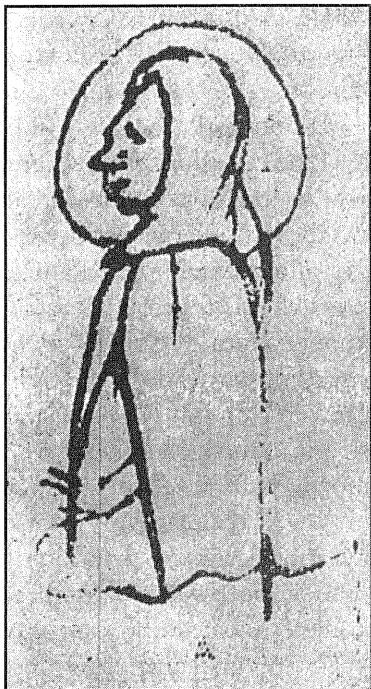
Zabraniano też paryskim mistrzom wykładania w ubraniu „cywilnym”. Na wszystkie zgromadzenia, dyskusje, wykłady mistrz wy-

Rysunek na prawo przedstawia Tomasza z Akwinu. Wykonał go student w czasie wykładu mistrza



Triumf Tomasza z Akwinu
nad Awerroesem

Bartolus de Saxoferrato.
Portret z XVI wieku



działu *artium* musiał, wedle statutów z 1339 roku, przychodzić w przepisowej todzie. Jeśli ktoś przyszedł na zgromadzenie w innym ubraniu – jego głos unieważniano.

Od początku XIII wieku liczba stanowisk profesorskich w Paryżu była już określona. Pozwalano wyklądać tylko ośmiu teologom i sześciu wykładowcom prawa kanonicznego. Takie ograniczenia nie ułatwiały oczywiście naukowej kariery. Toteż uniwersytet paryski toczył nieustanne boje z kanclerzem katedry paryskiej o powoływanie nowych profesorów. Kanclerz często powoływał ich wbrew woli uniwersytetu, wymuszał pieniądze od kandydatów na profesurę, nie chciał dopuścić do wykładów kandydatów rekomendowanych przez uniwersytet itd. W tym sporze papież Innocenty III wziął zresztą stronę paryskich mistrzów: kandydata na profesora w Paryżu nie można było przeprowadzić wbrew woli Kościoła.

W zasadzie przy określonej liczbie stanowisk profesorskich awans był możliwy tylko wtedy, gdy jedno z nich wakowało. Nowego mistrza kooptowali pozostali doktorzy. Ten wybór poprzedzał rodzaj konkursu: egzaminowano pewną liczbę kandydatów, a następnie jednego powoływano na profesorskie stanowisko.

W ciągu XIII i XIV wieku wraz z ograniczaniem liczby stanowisk profesorskich wszędzie upowszechniała się zasada kooptacji profesorów przez całe kolegium doktorskie. Formalnie sami profesorowie decydowali, kogo dopuścić do nauczania. Ale także wszędzie działała już omówiona wyżej kontrola władz nad uniwersytetem; wywierały one istotny wpływ na obsadę doktorskich stanowisk.

Z grubsza biorąc, ten system powoływania profesorów przetrwał do naszych dni. Na ogół jest on dziś oparty na kombinowanej zasadzie: z jednej strony profesorowie mają ważki głos przy obsadzie katedr na swoim wydziale i na swojej uczelni, z drugiej strony władze państwowe sprawują nadzór w tym przedmiocie i dopełniają formalnego aktu nominacji profesorskiej.

Kolegia doktorów i początek wydziałów

Ograniczenie liczby wykładowców i stopniowa likwidacja swobody nauczania, wolnej konkurencji profesorów – to przyczyny ukształtowania się kolegium doktorów. Było ono ważnym organem, gdyż dało początek klasycznej organizacji fakultetów (wydziałów) uniwersytetu, które przecież pierwotnie nie istniały.

We wczesnym okresie zdarzało się, zwłaszcza na uniwersytecie typu bolońskiego, że doktor promował swego słuchacza bez współudziału innych doktorów. Potem ustalili się zwyczaj, że egzaminów końcowych i promocji dopełniano przed wszystkimi profesorami pracującymi w danej dziedzinie wiedzy. Początkowo takie kolegia doktorskie nie miały jeszcze bardzo formalnego charakteru i oficjalnej oprawy. Doktorzy zbierali się i naradzali nad sprawami nauczania, egzaminowali studentów i promowali ich na doktorów (albo magistrów). Nawet w Paryżu, gdzie profesor był centralną figurą, te zebrania „wydziałowe” nie miały początkowo szerszej władzy. Pracą uczelni kierował tu przecież ogół doktorów, bez żadnego współudziału studentów. Jednakże powoli pogłębiała się specjalizacja; coraz więcej było problemów wspólnych tylko dla teologów, medyków, kanonistów czy „artystów”. Zebrania profesorów jednego kierunku studiów stawały się coraz częstsze i coraz ważniejsze; przybierały określone formy organizacyjne i zdobywały zwyczajowo pewne kompetencje własne. Tak powstały w Paryżu wydziały, czyli fakultety.

Telogowie zawsze uważali się za coś lepszego od zwykłych „artystów” – i oto już około 1260 roku formalnie wyodrębnił się fakultet teologii od fakultetu sztuk wyzwolonych. Kilka lat później, w roku 1265, także medycy mieli już własnego dziekana, a więc i własną organizację wydziałową. W roku 1277 już zupełnie oficjalnie mówiono o czterech wydziałach paryskiej *universitas studii*: o teologii, prawie kanonicznym, medycynie i sztukach wyzwolonych.

Wydziały uzyskiwać zaczęły własną organizację z dziekanem na czele, własne statuty określające ich uprawnienia. Wyrugowały one w Paryżu dawną strukturę uczelni, opartą o nacje. O tym już mówiliśmy w rozdziale poświęconym sprawom ustrojowym uniwersytetów.

Jednakże należy pamiętać, że wydział był tylko częścią większej całości – uniwersytetu. Uprawnienia wydziału dotyczyły głównie spraw dydaktycznych, organizacji nauczania. We wszystkich najważniejszych sprawach organizacyjnych decydowały nadal władze całego uniwersytetu.

Także w niektórych kwestiach ściśle naukowych uniwersytet paryski występował jako całość. O ile na przykład w Bolonii po ekspertyzy naukowe zwracano się zwykle do poszczególnych doktorów, tych najwybitniejszych, o tyle w Paryżu opinie naukowe wydawał z reguły cały uniwersytet. Zabierał on głos w różnych kwestiach o charakterze religijnym i politycznym. Oto przykład: kiedy król francuski Filip IV Piękny pokłócił się z papieżem Bonifacym VIII na tle sprawy opodatkowania kleru, uniwersytet paryski wypowiadał się w tej sprawie. Często takie ekspertyzy naukowe uniwersytetu były w istocie rzeczy opiniami jednego tylko wydziału, którego specjalności sprawa dotyczyła. Ale na zewnątrz przedstawiano je właśnie jako opinie uniwersytetu w całości, a nie tylko jednej jego części składowej.

Tym, czym w Paryżu był fakultet, w Bolonii XIII wieku stało się *collegium doctorum*. Najwcześniej powstały dwa kolegia prawnicze, jedno dla prawników świeckich, drugie dla kanonistów. Potem dopiero ukształtowały się kolegia innych specjalności. Dla ich organizacji wzorem były zapewne inne podobne organizacje prawnicze: kolegia pracujących w mieście adwokatów i notariuszy. Kolegium doktorskie i tu zajmowało się przede wszystkim sprawami egzaminów, promocji, nauczania. Nie było jednak żadną władzą uniwersytecką w sprawach organizacyjnych. Jeśli nawet umocniło trochę stanowisko doktorów w stosunkach ze studentami, to jednak nie zmieniło samej zasady ustrojowej, oddającej władzę nad uczelnią w ręce studenckie. Dla studentów powstanie kolegium doktorskiego miało nawet sporo dobrych stron. Zapewniało większe gwarancje bezstronności przy egzaminach, sprzyjało ujednoliceniu wymogów egzaminacyjnych. Obecność całego kolegium profesorskiego przy promocji nadawała temu aktowi uroczystą oprawę.

Warto może dodać, że do kolegium zapraszano także doktorów, którzy normalnie nie wykładali (*doctores non legentes*). Czasem chciano wysłuchać ich zdania w kwestiach nauki i nauczania albo przy

egzaminie doktorskim. Jednakże były to tylko zaproszenia jednorazowe.

Na czele kolegium typu bolońskiego stał tzw. *prior*, który mniej więcej odpowiadał paryskiemu dziekanowi. Wybierano go w sposób oryginalny: w drodze losowania. Co dwa miesiące losowano owego przewodniczącego kolegium; odrzucano jednak tych, którzy mieli więcej szczęścia i których los wypadł dwukrotnie, zanim kolejka przewodniczenia obeszła wszystkich doktorów.

Różnica z fakultetem paryskim była tutaj taka, że kolegium miało mniej uprawnień własnych i ograniczało się w zasadzie do kwestii dydaktycznych. Kolegium doktorskie nie zapobiegło rywalizacjom i kłótniom między bolońskimi mistrzami; mamy wiele przekazów źródłowych o karczemnych wręcz awanturach podczas posiedzeń tego dostojnego ciała. Rywalizacje uległy złagodzeniu dopiero po wyrugowaniu systemu wolnej konkurencji, po wprowadzeniu stałych pensji profesorskich.

Kolegium typu bolońskiego spełniało jeszcze jedną rolę: uświetniało uroczystości miejskie. Przy paradnych okazjach poszczególne kolegia występowały *in corpore*. Od XIII wieku rozbudowywano ceremoniał tych „pontyfikalnych” wystąpień uczonych mistrzów. Różne rekwizyty: gronostaje, kolorowe świąteczne togi, birety, łańcuchy, pierścienie itp. wykształciły się właśnie wtedy. Do dzisiaj jeszcze uniwersytety włoskie może najbardziej pieczołowicie kultywują tę tradycję. Nawet zupełnie małe uczelnie we Włoszech akcentują swe starożytne pochodzenie także efektownymi, trochę papuzimi strojami profesorów.

Esprit de corps i spory o pierwszeństwo na uczelni

W miarę jak wprowadzano wszędzie opisaną już reformę finansową uniwersytetów, kolegia doktorskie, a potem wydziały, przenikał coraz silniej duch kastowości, *esprit de corps*. Rywalizacje osłabły, na zewnątrz wydział występował raczej solidarnie. Kastowość umacniało zamknięcie się kolegiów doktorskich. One właśnie kooperały nowych członków (pod kontrolą władz kościelnych, państwowych czy miejskich). Stwarzało to pole dla nepotyzmu, protekcji, popierania „swoich” kandydatów. Pogłębiała się duma doktorów z

zajmowanego stanowiska, które nie było łatwo dostępne nawet dla równie (a może bardziej) uczonych, ale pozbawionych łaski w oczach wysokiego kolegium. Samochwalstwo i pycha doktorów musiały być czymś nierzadkim, skoro stały się w XIV–XV wieku jednym z ulubionych tematów ludowej *commedia dell'arte*. A potem jakże soczystą satyrę na profesorską pychę dał renesans, przede wszystkim w dziele Franciszka Rabelais'go.

Ukształtowanie się kolegiów i wydziałów pogłębiło wreszcie poczucie hierarchii w obrębie grona profesorskiego. Od dawna już teologowie patrzyli z góry na wszystkie inne profesje uniwersyteckie: przecież wszystkie nauki ludzkie są niczym wobec nauki o rzeczach boskich. Cała wiedza doczesna jest służką teologii, *ancilla theologiae*. Kanoniści, prawnicy kościelni, naczelną rolę na uniwersytecie – tak jak i w Kościele – przypisywali z kolei swojej nauce. W centralistycznej maszynie kościelnej tego czasu istotnie prawnik odgrywał często rolę pierwszoplanową. Spór o to, kto jest centralną figurą w Kościele, prawnik czy teolog, odzwierciedlił się nawet w dekretach papieskich i uchwałach synodów. Od XII wieku pojawiały się liczne zakazy studiowania prawa (i medycyny) dla niektórych kategorii kleru, przede wszystkim zakonnego. Uzasadniano je tym, że przecież wiedza doczesna jest głupstwem przed obliczem Boga. Praktycznie chodziło o to, aby nie odrywać kleru od teologii i nie budzić wśród duchownych zamiłowania do lukratywnych zajęć świeckich.*

* O ostrości tych sporów może świadczyć sławny falsyfikat bulli papieża Innocentego IV, sporządzony w połowie XIII wieku, zapewne w środowisku studentów filozofii i teologii uniwersytetu w Oksfordzie. Mowa w nim o zeświecczeniu kleru, który porzuca filozofię i teologię, a tłoczy się na prawo. Prawnicy bowiem dostają tłuste prebendy i beneficja kościelne, a teologowie żyją w nędzy. Mając to na uwadze, fałszywa bulla zakazuje nadawania beneficjów kościelnych prawnikom (chyba że wykazą się kompetencją w filozofii oraz porządnym życiem i obyczajami!) oraz zakazuje w ogóle nauki prawa rzymskiego w Anglii, Francji, Szkocji, Walii, Hiszpanii i na Węgrzech. Kraje te wymieniono zapewne właśnie dlatego, że na studium w Oksfordzie licznie byli reprezentowani studenci tych narodowości. Podobne poglądy odnajdziemy i u największych filozofów angielskich XIII wieku – Roberta Grosseteste'a, a zwłaszcza Rogera Bacona. Bacon żądał od papieża, by oddawali beneficja filozofom; oddawanie beneficjów kościelnych w ręce prawników powoduje porzucanie studium filozofii, pogoń księży za zyskiem, zeświecczenie kleru i ogólny nieład w Kościele.

Papież Honoriusz III w 1219 roku wyrzucił w ogóle z uniwersytetu paryskiego naukę prawa świeckiego. Odtąd przez długi czas w Paryżu wykładano tylko prawo kanoniczne.

Zakazy zabraniające księżom studiowania prawa świeckiego nie zawsze były skuteczne, na co dowodem są urzędnicy państwowi w sutannach, księża biegli w prawie występujący w służbie królewskiej. Warto dodać, że takie zakazy studiów prawniczych świeckich były wodą na młyn teologów w ich konflikcie z kanonistami. Intencje tych przepisów są jasne: teolog, a nie prawnik (nawet prawnik-kanonista) ma być główną postacią w Kościele.

Kanonieści jednak nie dawali za wygraną. Niejeden wybitny papież miał wykształcenie kanoniczne i wspierał często ich ambicje. Wielu luminarzy nauki prawa kościelnego głosiło tezę, że prawo kanoniczne jest królową wszystkich nauk uniwersyteckich. Prawo rzymskie, świeckie – to oczywiście coś o wiele niższego, przyziemnego, dotyczącego spraw doczesnych. Teologia stoi już wyżej – zajmuje się prawem bożym objawionym w księgach Starego i Nowego Zakonu. Kanonieści nie dopatrywali się celów teologii w badaniach filozoficznych, przyznawali jej tylko wyższy rejon badań prawniczych (tj. studia nad prawem bożym). Zdaniem kanonisty problemy ogólne – treść badań uniwersyteckich – mogą być roztrząsane tylko w pojęciach prawnych. I tu najciekawsza teza: prawo kanoniczne stoi na szczycie uniwersyteckiej hierarchii, zarówno nad prawem świeckim (rzymskim), jak i nad teologią, która zgłębia prawo boże. Bo prawo kanoniczne zajmuje się i jednym, i drugim, prawem doczesnym i wiecznym, sprawami ludzkimi i boskimi. Prawo rzymskie i teologia traktują tylko o poszczególnych stronach życia ludzkiego: o ciele albo o duchu, prawo kanoniczne zaś interesuje się obiema naraz.

Największy kanonista XIII wieku, Henryk z Ostii (Hostiensis), powiada zupełnie serio, że prawo kościelne jest tak samo nadrzędne w stosunku do teologii i prawa świeckiego, jak muł jest lepszy od konia i osła z osobna wziętych. Muł jednoczy zalety obu „niższych” zwierząt; kanonista zajmuje się obiema sferami życia – teologiczną i prawną. Prawo kościelne jest więc nauką o najwyższej godności i nie ma wśród innych nauk uniwersyteckich rywala.

Ale pretensje do najwyższego miejsca w hierarchii studiów zgła-

szali także prawnicy świeccy, tzw. cywiliści. Wspomnieliśmy już o ich pogardliwym stosunku do prawa kanonicznego, które uważali za domenę „żebraków”, kradnących pomysły z prawa świeckiego. Jednakże – to znów kapitalny problem – cywiliści stawiali odważnie czoła także prymatowi teologii, zdawałoby się powszechnie uznanemu w średniowieczu. Akkursjusz, twórca monumentalnej *Glosy* do tekstów prawa rzymskiego, powiadał, iż prawnik nie musi interesować się teologią. Wszystko bowiem co potrzebne mu jest do badań naukowych, odnajdzie w księgach prawnych, w kodyfikacji Justyniana.

Jeszcze bardziej stanowczy był znakomity prawnik XIV wieku, Alberik de Rosate. Twierdził on, że nauka prawa stoi na równi z Pismem św. Prawo wydają wprowadzić władcy, ale prawdziwy jego autor – to sam Bóg, bo on daje natchnienie ustawodawcy. Dlatego tylko nauka prawa jest pełna, „skończona”, gdy inne tej cechy nie mają. Nauka prawa rządzi całym światem, prowadzi człowieka do Boga, który jest alfą i omegą wszystkiego*. Prawda, powiada Alberik, teologia nie jest gorsza od nauki prawa, jednakże nie jest też lepsza: wszak prawa mają zupełnie tę samą wartość co Pismo św. I jedno, i drugie pochodzi z bożego objawienia. Niech więc milczą przed prawem inne nauki z wyjątkiem teologii. Jeśli nawet nauka o prawie nie przewyższa teologii, to na pewno dzieli z nią najwyższe miejsce w hierarchii nauk.

Dla średniowiecznych uniwersytetów charakterystyczne są te spory o pierwszeństwo, o hierarchię dyscyplin. Wywyższanie się jednych wydziałów nad drugie nie było tylko akademickim sporem o pierwszeństwo w pochodach. Jak wspomnieliśmy, kryły się za tym także bardzo realne interesy doktorów. Miarą miejsca w hierarchii nauk stały się przecież zróżnicowane płace profesorów, gdy ci zaczęli już wszędzie pobierać stałe pobory. Przypomnijmy, że na uniwersytecie

* *Nec dicat quis me hanc legalem scientiam ultra debitum sublimare, eam aequiparando sacrae scripturae. Nam et hoc dici potest scriptura divina ratione auctorum, qui eam divinitus condiderunt. Nam per ora principum iura ista fuerunt divinitus promulgata ...Videmus enim quod per eam (legalem scientiam) mundus gubernatur ...Aliae scientiae infinitae sunt, haec autem finem habet mirabilem ... et finaliter perducit ad illum, qui est alpha et o, principium et finis...*

w Tuluzie profesor teologii dostawał przeszło dwa razy więcej pieniędzy niż wykładowca *artium liberalium*, a pięć razy więcej niż skromny mistrz gramatyki. Podobnie miało być na krakowskiej uczelni w myśl intencji jej założyciela, Kazimierza Wielkiego: profesorowie prawa mieli zarabiać dwa razy więcej niż mistrzowie medycyny, a cztery razy więcej niż mistrz z wydziału sztuk wyzwolonych.

Ostatecznie powszechnie przyjęło się w uniwersytetach późniejszego średniowiecza, że najwyższe miejsce w hierarchii wydziałów zajmował fakultet teologiczny. Rola papieży w ustawodawstwie uniwersyteckim umocniła jego szczególną pozycję na uczelni. Drugie miejsce wywalczyli dla siebie prawnicy, najpierw kanoniści, potem prawnicy świeccy. Wyprzedzali oni medycynę; profesorowie wydziałów lekarskich mieli trzecie miejsce w hierarchii uniwersyteckiej. Wreszcie na końcu znaleźli się filozofowie, „artyści”; ich wydziały były szczególnie liczne i stanowiły bazę dla całego nauczania uniwersyteckiego, ale hierarchicznie stały niżej od wszystkich trzech pozostałych wydziałów: teologii, prawa, medycyny.

Relikty takiej właśnie hierarchii przetrwały w wielu krajach aż do XX wieku (także u nas do lat tysiąc dziewięćset czterdziestych). A więc na czele hierarchii uniwersyteckiej szli teologowie (tam, gdzie uczelnia obejmuje ten wydział), drugie miejsce przypadało wydziałowi prawa, trzecie – wydziałowi lekarskiemu. Inne wydziały „filozoficzne” (filozofia, historia, filologia, przyroda, matematyka i fizyka) dzieliły się ostatnimi miejscami: rozwinęły się one bowiem powoli z dawnego kopciuszka – wydziału sztuk wyzwolonych. Oczywiście, nawet tam, gdzie taka hierarchia utrzymuje się nadal, nie ma ona nic wspólnego z rzeczywistym znaczeniem poszczególnych wydziałów. Te, które zajmują ostatnie miejsca, nieraz w rzeczywistości odgrywają rolę pierwszoplanową. Miejsce w hierarchii jest tylko pustą tradycją dawnego układu średniowiecznych stosunków, które wywyższały rolę teologii, a lekcewżyły „elementarne”, „przygotowawcze” studia sztuk wyzwolonych.

TECHNIKA PRACY UNIWERSYTECKIEJ

Dni pracy i dni święta

Rok akademicki trwał w średniowieczu dłużej niż obecnie. Reguły określające czas nauki były bardzo zróżnicowane. Podamy tylko tytułem przykładu, że w Paryżu naukę kończono 29 czerwca, w święto apostołów Piotra i Pawła, ale zaczynano już 9 września, w dzień św. Dionizego. W Montpellier było jeszcze gorzej: nauka kończyła się dopiero w ostatnich dniach sierpnia, a początek roku przypadał 19 października. W Bolonii studium prawa, najważniejsze, zaczynało wykłady 10 października, „artyści” zaś – tydzień później. Rok akademicki kończył się tu ledwie z początkiem września. Stopniowo jednak przesuwano koniec zajęć z sierpnia – września na początek sierpnia lub na lipiec.

Krótkie stosunkowo wakacje letnie rekompensowały liczne święta kościelne. Prawie w każdym tygodniu obchodzono święto jakiegoś lokalnie czy powszechnie czczonego patrona. W niektórych tygodniach były nawet dwa albo trzy takie święta. Jeśli jakiś tydzień był wyjątkowo chudy w święta, na uniwersytecie typu bolońskiego istniał (choć nie powszechnie) zwyczaj świętowania we czwartek. Dla zobrazowania ilości dni wolnych od zajęć zacytujemy dwa fragmenty paryskiego kalendarium uniwersyteckiego z XIV wieku, dla początku maja i początku grudnia:

- 1 V Filipa i Jakuba Apostołów. Nie ma nigdzie wykładów.
- 2 V
- 3 V Znalezienie św. Krzyża. Nie ma nigdzie wykładów.
- 4 V
- 5 V

- 6 V Św. Jana. Nie ma nigdzie wykładów.
- 7 V
- 8 V Wigilia św. Mikołaja. Nie ma wykładów od tercji [hora tertia: godz. 9–12] na rue du Fouarre [tj. na wydziale sztuk] i w nonę [godz. 15–18] na rue Bruneau [tj. na wydziale prawa kanonicznego].
- 9 V Przeniesienie św. Mikołaja biskupa i wyznawcy. Nie ma nigdzie wykładów. Początek lata.
- 10 V Nazajutrz po św. Mikołaju. Nie ma wykładów na rue Bruneau.*
- 1 XII Eligiusza biskupa i wyznawcy. Nie ma wykładów na rue du Fouarre i na rue Bruneau. Są wykłady na innych [wydziałach].
- 2 XII Oktawa św. Katarzyny. Święto.
- 3 XII
- 4 XII Św. Barbary dziewicy i męczenniczki. Święto.
- 5 XII Wigilia św. Mikołaja. Nie ma wykładów poza tercją na rue de Fouarre i w nonę na rue Bruneau.
- 6 XII Św. Mikołaja, biskupa i wyznawcy. Nie wykłada się.
- 7 XII Nazajutrz po św. Mikołaju. Nie ma wykładów na rue du Fouarre i na rue Bruneau, są na innych [wydziałach].
- 8 XII Poczęcie Najświętszej Marii Panny. Nie ma wykładów na żadnym fakultecie.
- 9 XII Nazajutrz po Poczęciu. Nie ma wykładów na rue du Fouarre i na rue Bruneau. Są na innych [wydziałach].
- 10 XII

Doliczając wolne niedziele, można powiedzieć, że tydzień pracy nie przekraczał z reguły pięciu dni, niekiedy zaś liczył dwa albo trzy dni. Niezależnie od tego dłuższe wakacje przyznawano pracownikom i studentom uniwersytetów z okazji Bożego Narodzenia, karnewału, Wielkanocy. Jednakże nie przekraczały one kilku dni.

Charakterystyczne jest, że wakacje były początkowo znacznie krótsze na uczelniach typu bolońskiego niż na uczelniach o ustroju pary-

* Święto w dniu 10 maja dodano w XVI wieku.

skim. To rozumiałe: studenci w uczelni o ustroju włoskim chcieli za swoje pieniądze otrzymać jak najwięcej profesorskich świadczeń. O skracaniu wakacji decydowały te same przyczyny, co o zakazie opuszczania zajęć przez profesorów czy też reglamentowaniu treści wykładów (by nie opuszczano żadnych istotnych problemów).

Rozkład zajęć

W miarę jak profesorów uczelni typu bolońskiego zaczęto opłacać z publicznych funduszy, wakacje i tu wydłużały się, struktura roku akademickiego upodobniała się do przyjętej w Paryżu.

Na początku roku szkolnego pedlowie wywieszali na publicznym miejscu informacje o toku studiów. Afisze takie podawały nazwiska profesorów, przedmioty przez nich wykładane, rozkład godzin. Najciekawsze obwieszczenia zachowały się ze średniowiecznego studium bolońskiego. Były to prawdziwe dzieła sztuki: afisze uniwersyteckie spisywano na doskonałym pergaminie, zdobiono je wspaniałymi iluminacjami, ich format był bardzo duży. Wiadomości szczegółowe (spis profesorów, rozkład przedmiotów, godzin itp.) poprzedzano ogólnymi informacjami o uniwersytecie i o komunie bolońskiej. Te bolońskie afisze przechowywały się do naszych czasów w oryginale, bo wywieszano je w publicznym miejscu na 15 dni, a potem pieczołowicie składano w archiwum uniwersytetu.

Godziny zajęć były zróżnicowane na poszczególnych uczelniach. Wspólną zasadę stanowiło, że godziny ranne rezerwowano dla najważniejszych zagadnień; wykładali wtedy tylko profesorowie. Wspomnieliśmy już, że godziny popołudniowe wypełniały wykłady mniej podstawowe, „nadzwyczajne”; tu zajęcia mogli prowadzić i zaawansowani studenci. Od tych „ekstraordynaryjnych” wykładów profesorów odstręczał brak większego audytorium i niechętnie płacenie honorariów. Nieoceniony Odofredus wyjaśniał, że chętnie i starannie robi swój wykład zwyczajny, nie ma natomiast ochoty prowadzić wykładów nadzwyczajnych, za które studenci prawie nic nie płacą. Zajęcia te stawały się domeną aktywności bakałarzy i kursorów, uczących bezpłatnie.

Jako przykład rozkładu dnia zacytujemy znowu klasyczne przepisy bolońskie. Godziny zajęć oznaczano tu wedle rachuby kanonicznej. Pierwsze godziny zajęć, najważniejsze – to *hora prima*, mniej więcej od 6 do 9 rano, i *hora tertia*, od 9 do 12. *Hora sexta* od południa do godziny 15 – to czas wolny. Wykłady popołudniowe przypadły na tzw. nonę, od godziny 15 do 18. Repetycje i dyskusje odbywano czasem także w godzinach wieczornych, od 18 do 21 (tzw. *horae vesperiae*).

Tak więc jednostka czasu wykładowego wynosiła w zasadzie aż trzy godziny. Początek i koniec zajęć wyznaczało bicie „szkolnego” dzwonu (*campana scolara*); w Bolonii był nim dzwon katedry św. Piotra, który długo bił, by wszyscy mogli zauważyć, iż czas już na wykłady.

Póki studenci płacili za naukę, egzekwowali też godziny wykładowe od profesorów. Potem nastąpiły zmiany, podobne jak w strukturze roku akademickiego. Czas przeznaczony na zajęcia kurczył się, w XV wieku regułą były wykłady dwugodzinne. Później podstawą zajęć stała się dzisiejsza godzina wykładowa.

Innym środkiem ochrony interesów studenta-pracodawcy na uczelni typu bolońskiego była tzw. *signatio punctorum*. Zdarzało się, że profesorowie opuszczali ważne partie materiału albo nie kończyli całości przedmiotu na czas – z jawną szkodą dla studentów. Ci ostatni, zgodnie z zasadą: płacę i wymagam, stworzyli system „punktów”, które narzucały ścisłe terminy i określały dokładnie rozkład materiału w czasie. Jedno takie *punctum* obejmowało zwykle dwa tygodnie nauki. Naruszenie „punktów” było karane grzywną przez władze uniwersyteckie; profesor musiał trzymać się ich bardzo ściśle.

Także na paryskim fakultecie *artium* profesorowie wydali w 1255 roku przepisy o sposobie nauczania, „bojąc się grożącej ruiny fakultetu”. Ponieważ uczono bardzo pośpiesznie, nie zważając na obszerność i stopień trudności przerabianych ksiąg, studenci przestawali rozumieć wykłady. Nowe przepisy określały, ile czasu trzeba poświęcić poszczególnym księgom Arystotelesa czy Pryscjana.

Wykład mówiony i wykład dyktowany

Tok wykładu znamy z wielu źródeł ikonograficznych, między innymi z płaskorzeźb na sarkofagach wielkich mistrzów, z miniatur i iluminacji w rękopisach naukowych. Profesor z reguły siedzi na miejscu podwyższonym, „katedrze”. Grupy słuchaczy malowniczo rozkładają się na schodkach, ławkach albo wprost na podłodze, wszyscy w długich sukniach. Śledzą tok wykładu bardzo uważnie, zwykle w rękę mają tekst dzieła, które właśnie jest przedmiotem egzegezy na wykładzie. Nieraz wodząc palcem po tym tekście, słuchają komentarzy, jakimi opatruje go mistrz. Niekiedy wreszcie notują to, co mówi profesor albo wręcz piszą coś zawzięcie pod jego dyktando.

Te różne przekazy ikonograficzne odzwierciedlały różne metody prowadzenia wykładu, które zresztą bywały przedmiotem długich sporów i dyskusji między profesorami. Problem był ciekawy: czy należy wyklądać *ad pennam*, „pod pióro”, dyktując powoli, pozwalając studentowi zapisywać, czy też przeciwnie, mówić dość szybko, aby zmusić do słuchania i uniemożliwić notowanie wszystkiego. Obie metody miały przeciwników i obrońców, obie miały wady i zalety.

Dyktowanie było metodą bardzo lubianą przez studentów. Woleli oni zapisywać na gorąco niż śledzić zawile wywody profesora i rozgryzać je od razu. Oczywiście notatki zapisywano na papierze dopiero znacznie później. W XII–XIII wieku student notował na woskowej tabliczce za pomocą rylca. Taka tabliczka była znacznie tańsza od pergaminu, mogła być zapisywana wielokrotnie, bo zapisy dawały się ścierać, wreszcie ułatwiała robienie notatek, gdy nie było ławek. Studentom, którzy z braku ławek siedzieli na ziemi, twarde tabliczki umieszczone na kolanach ułatwiały pisanie. Notaty z tabliczek woskowych często przenoszono następnie na pergamin – ale już spokojnie, w domu, skracając zapis do najważniejszych rzeczy.

Ta metoda była bardzo dobra w czasach, gdy nie znano jeszcze druku, gdy rękopisy kosztowały poważne sumy i student najczęściej posiadał tylko rękopiśmienne testy podstawowe. Każdy powinien był mieć podstawowe traktaty teologiczne, filozoficzne, medyczne czy prawnicze: bez *Sentencji* Piotra Lombarda, Biblii, dzieł Arystotelesa, Awicenny, bez pomników prawa rzymskiego i *Dekretu* Gracjana.

na – studenci wręcz nie mogli studiować. Ale często nie było ich już stać na kupno wyczerpujących komentarzy profesorskich, które dałyby egzegezę tych tekstów. Dlatego notatki z wykładów stanowiły cenną namiastkę podręcznika czy skryptu. Nieraz notatki takie studenci sporządzali dla celów handlowych; częstokroć były one źródłem utrzymania uboższych scholarów. To wszystko decydowało o popularności wykładów dyktowanych „pod pióro”.

Notatki studenckie

Ale profesorowie nie lubili tej metody. Przede wszystkim skarżyli się, że student zajęty trudną sztuką pisania nie może koncentrować uwagi na zrozumieniu uczonych wywodów mistrza. Kunsztowne i subtelne konstrukcje wykładowcy trafiały w próżnię, bo studenci skupiali się na mechanicznym przeniesieniu jego słów na swoje tabliczki; nie starali się rozumieć o co idzie, ale tylko zdążyć z notowaniem. W efekcie owe notatki były często stekiem pożałowania godnych nieporozumień i błędów. Puszczanie w obieg takich nieautoryzowanych notat z wykładów mogło poważnie narazić na szwank autorytet naukowy i moralne interesy mistrza.

Wzruszająca jest szczerość, z jaką przyznaje się do możliwych pomyłek przy notowaniu paryski student z początków XIV wieku; na końcu długiego rękopisu umieścił on bardzo osobiste i sympatyczne „zamknięcie”, tzw. kolofon:

„W roku Pańskim 1308, gdy papież Klemens [V] rezydował w Poitiers, w piątek, wigilię św. Piotra 29 czerwca. Tu kończą się Quaestiones do księgi Arystotelesa o Fyzyce, wykonane w Paryżu, u szlachetnego i gorliwego znawcy filozofii, mistrza Bartłomieja z Bruges, na rue du Fouarre, przez Franciszka z Citta di Castello. Dalej, jeśli w tych Quaestiones znajdzie się jakiś błąd, niech nikt go nie przypisuje tak wielkiemu mężowi [tj. mistrzowi Bartłomiejowi], zanim sam najpierw nie sporządzi lepszych Kwestii, a tego się teraz nie należy spodziewać. Wiem, że jakikolwiek znalazłby się tu brak, słusznie trzeba go będzie mnie przypisać,

bo chociaż starałem się bardzo uważać, ale jednak nie byłem w stanie w pełni pojąć tak wielkie dzieło i autora. Niemniej jednak dziękuję Stwórcy za to, że tak jak chciałem zapisywać te wykłady od początku, tak też spełniłem to zadanie niczego nie opuszczając, choć wiele razy już wahałem się z nadmiaru pracy.”

W XIII wieku upowszechniała się już inna metoda: profesor mówił szybko – nie tak szybko, aby jego wywód stał się niezrozumiały, ale dostatecznie wartko, aby słuchacz nie był w stanie notować. O upowszechnieniu tej metody świadczą statuty paryskiego wydziału sztuk wyzwolonych, który zalecił ją w XIV wieku swoim mistrzom jako metodę powszechnie stosowaną na innych wydziałach. Była w tym zapewne chęć paryskich „artystów” dorównania innym, „wyższym” wydziałom; kwestią ambicji stało się przyjęcie mniej szkolarskiej metody uczenia. Podkreślano w ten sposób, że wydział *artium* nie jest gorszy od innych. Ale reformę systemu wykładania nakazywały także bezpośrednie interesy i cele dydaktyczne.

Studenci oczywiście nie byli nią zachwyceni. Te same statuty paryskich „artystów” przewidywały surowe kary (wykluczenie z wydziału na przeciąg jednego roku) dla studentów, którzy sami lub przez swych służących czy kolegów będą przeciwstawiać się nowemu sposobowi wykładania. Powiedziano nawet, jakie sposoby wchodzić mogą w rachubę: otóż zakazuje się krzyków w czasie wykładu, gwizdania, tupania i rzucania kamieniami. Na wydziale *artium* młodzież była zawsze szczególnie dziarska.

System pamięciowy

Nowa metoda, wykluczająca dyktowanie, była przyczyną wielkiej kariery, jaką zrobił na uniwersytecie średniowiecznym system pamięciowy. Wskazówka generalna wszędzie była podobna: należy myśleć o tym, co profesor mówił. Myśleć nie tylko na wykładzie, gdzie skupienie uwagi powinno kierować się na zrozumienie, a nie na zapisywanie. Myśleć należało nawet w czasie przechadzki i rekreacji. Robert de Sorbon powiada, że dobry student powinien chodzić

wieczorem na spacer nad brzeg Sekwany (*ad ripam Secanae*), ale nie po to, by się bawić, lecz by powtarzać wykłady i rozmyślać. R retor Buoncampagni opisywał gorliwego studenta, który wstaje jeszcze przed rannym dzwonem, aby czytać; na wykład pierwszy wchodzi, a ostatni wychodzi; w domu powtarza zasłyszane wykłady i nawet przy jedzeniu i we śnie prowadzi uczone dyskusje.

Wielki mistrz XIII wieku Martinus de Fano proponuje, aby każdy student powtarzał codziennie: dziś na wykładzie nauczyłem się tego i tego. Powtarzać to powinien dosłownie wszędzie: na ulicy, przy milczącym posiłku, w łóżku przed snem. Trzeba było wszędzie medytować nad wykładanym materiałem, szukać analogii, zbliżonych przypadków i problemów. Należało umieć stosować nowo nabytą wiedzę w różnych przypadkach życiowych: czy to będą problemy grzechu i sumienia u teologa, czy kazusy prawnicze u prawnika, czy przypadki medyczne u lekarza. Zalecano wymyślanie jak największej liczby takich fikcyjnych przypadków i rozstrzyganie ich wedle dyrektyw uzyskanych na wykładzie. Uczono sztuki przewycięzania sprzeczności w tekstach. Podstawę nauki uniwersyteckiej stanowiły przecież teksty bardzo złożone, wielowarstwowe. W Biblii, w *Dekrecie* Gracjana, w traktatach medycznych greckich i arabskich, w tekstach filozoficznych Arystotelesa i Ojców Kościoła, w pomnikach prawnych Justyniana – aż roiło się od sprzeczności, które trzeba było (mniejsza o to, czy zasadnie) rozwiązać i pogodzić. Wykład uniwersytecki miał nauczyć umiejętności (wcale niemałej!) powoływania autorytetów we właściwym miejscu i przypadku, w każdej możliwej sytuacji, z jaką teolog, prawnik, lekarz mógł się zetknąć w życiu. Wszystko to wymagało ogromnego wysiłku pamięci, którą wzmacniano różnymi metodami. Wiersze, skróty i inne sposoby mnemotechniczne pozwalały uczniom średniowiecznym opanować pamięciowo monumentalne teksty, które obejmowały setki i tysiące stron rękopisu. Była to praca prawdziwie benedyktyńska i dawała rezultaty zadziwiające. Filozof Albert Wielki znał na pamięć – jeśli wierzyć świadectwu współczesnych – całą Biblię i dużą część dzieł Arystotelesa. Dzisiaj może śmiesz to mechaniczne przyswajanie sobie setek stron tekstów. Ale to już zagadnienie wkraczające w sferę oceny średniowiecznego kultu autorytetów.

Dużą pomocą w tym heroicznym gwałceniu pamięci były regularne repetycje, które urządzano nie tylko w szkole wyższej. W Paryżu czy na uczelniach angielskich organizowano je także w kolegiach; po wykładzie studenci musieli jeszcze powtarzać materiał świeżo poznany. Kolegia stawały się ważnym ogniwem pracy dydaktycznej. Z biegiem czasu na niektórych uczelniach główny ciężar pracy spoczął właśnie na kolegiach: słuchacz spędzał na uczelni ledwie 2–3 godziny, a resztę dnia pracy organizowało mu kolegium.

Oczywiście, odejście od systemu pamięciowego i zakazy dyktowania wykładów nie przyniosły likwidacji notatek studenckich. Nadal w pewnym zakresie pisanie w czasie wykładu było i możliwe, i niezbędne. Jakże na studium medycznym obejść się bez pisania przy formułach farmaceutycznych! Tak samo i na innych wydziałach; podstawowe punkty studenci notowali, a potem odtwarzali sobie z nich cały tok argumentacji profesora. Listy studenckie do krewnych ciągle jako jedno z uzasadnień potrzeby pieniędzy podawały koszt przyrządów do pisania. „Robimy notatki i na to potrzebujemy pieniędzy (*Glosulas facimus, nummos debemus*).” Studenckie zeszyty z notatkami nadal pozostawały obiektem profesorskich lamentów: teraz może bardziej nawet niż wtedy, gdy zapisywano je pod dyktando. Dyktowanie pomniejszało liczbę błędów. A teraz studenci zapisują tylko podstawowe punkty. Ponieważ to nie wystarcza – odtwarzają sobie potem całość wywodów, a nieraz zaopatrują argumenty mistrza swymi prywatnymi refleksjami.

Roger Bacon żalił się, że w tych studenckich zbiorach notatek (tzw. *kwaterniony*, *quaterni*) słuchacze często umieszczają błędy i zmyślane przez siebie dziwactwa. Popisują się tam ozdobnym, kwiecistym stylem. Czasem nawet próbują przedmiot wykładu streścić wierszem! Bacon jest oburzony: taki studencki zeszyt nie odzwierciedla żadnej wiedzy, przeciwnie, jest tylko dowodem dziecinnej, nieskończonej głupoty (*infinita puerilis stultitia*).

Zdarzało się więc nieraz, że ten czy ów uczony, zaatakowany za treść swoich poglądów, tłumaczył się i bronił tym, że jego autentyczne opinie zostały wypaczone przez niedokładne studenckie streszczenia. Tej formy obrony nadużywano pewno nieraz w dyskusji naukowej. Ale prawdą jest, że studenci często wulgaryzowali treść nauki,

którą im podawano. Spróbujmy to pokazać w krótkiej dygresji na temat losów awerroizmu na paryskim fakultecie sztuk.

Wulgaryzacje: „awerroizm” studencki

Największy filozof arabski XII wieku, Ibn Roszd zwany Awerroesem, komentował dla Arabów hiszpańskich pisma filozoficzne Arystotelesa. Jego wnioski były niejednokrotnie sprzeczne z nauką muzułmańskich fanatyków. Stąd twierdzenie Awerroesa: każda klasa ludności ma swą własną sferę aktywności intelektualnej. Awerroes był daleki od chęci podważania wpływu religii na lud. Owszem – religia jest właśnie formą aktywności duchowej ludu, ona go utrzymuje w granicach porządku moralnego. Ale filozof ma inną sferę aktywności intelektualnej. Dla mędrca jest nią filozofia, która ujawnia prawdę absolutną. A więc nie ma tu próby pogodzenia filozofii świeckiej z religią, jest tylko przyznanie, że religia zawiera część prawdy. Religia jest potrzebna dla moralności społecznej.

Awerrości krajów chrześcijańskich (przede wszystkim Francji) zaostrzyli te tezy, sformułowali koncepcję teoretycznej separacji religii i filozofii; niektórzy zaakceptowali nawet zasadę „podwójnej prawdy”: polegała ona na przyznawaniu cechy prawdziwości dwu sprzecznym twierdzeniom, z których jedno ma charakter filozoficzny, a drugie religijny. Wielcy awerrości: Siger z Brabantu czy Boecjusz Duńczyk swobodnie filozofowali i nie troszczyli się o zgodność swoich konkluzji z dogmatami wiary. A konkluzje te były wręcz rewolucyjne.

Z nauki Arystotelesa, wzbogaconej komentarzami Ibn Roszda, awerrości zachodni wyprowadzali wnioski o wiecznym istnieniu świata, o nieubłaganym mechanizmie przyczyn i skutków, który światem rządzi i nie pozostawia miejsca ani dla wolnej woli ludzi, ani dla Opatrzności; o tym, że nigdy nie było stworzenia świata ani „pierwszych ludzi” itd. Była to nauka całkowicie sprzeczna z dogmatami Kościoła. W ciągu XIII wieku przyjęły ją niezbyt liczne, ale bardzo ruchliwe środowiska intelektualne filozofów, „artystów” – przede wszystkim na wydziale sztuk wyzwolonych uczelni paryskiej.

Przeciw awerroistom piorunował biskup paryski Stefan Tempier, obzuwając ich klątwami i potępiając ich naukę. Bonawentura, Albert Wielki, Tomasz z Akwinu podejmowali z nimi polemikę na wyższym poziomie argumentacji, próbując ratować zagrożone dogmaty kościelne. Awerroizm był największym wydarzeniem w filozofii zachodniej XIII wieku; przeciw niemu Tomasz z Akwinu stworzył swój system recepcji Arystotelesa, adaptującej naukę greckiego filozofa do potrzeb doktryny chrześcijańskiej; tak właśnie powstał tomizm.

Ale oprócz awerroizmu wielkich mistrzów, którzy wstrząsnęli fundamentami nauki Kościoła zachodniego, był także awerroizm potoczny, studencki, rozpowszechniony zwłaszcza wśród słuchaczy paryskiej uczelni, a tu – szczególnie na wydziale sztuk wyzwolonych. Wśród tych studentów, nierzadko gołowąsów, szerzyła się uproszczona wersja filozoficznych „nowości”. Studenci wychwytywali z nauki awerroistów przede wszystkim to, co dogadzało ich młodzieńczym aspiracjom, tęsknotom, oczekiwaniom. Awerroizm studencki był bardzo interesujący, ale i bardzo prymitywny. Pewne jego odzwierciedlenie znajdziemy w sławnym poemacie zwanym *Roman de la Rose*, którego szczególnie ciekawe fragmenty wyszły spod pióra Jana z Meung.

Awerrościści twierdzili między innymi, że człowiek nie ma innego celu, jak wsłuchiwać się w apel natury i pójść za tym apelem. Cnotą jest działanie zgodne z naturą. Stąd zakwestionowanie niektórych cnót chrześcijańskich, takich jak pokora i czystość. Tezy te entuzjastycznie przyjęto w środowisku studenckim – czemu trudno się dziwić. *Roman de la Rose* z nauki Arystotelesa w awerroistycznej wersji wyprowadzał program prymitywnie hedonistyczny. Zgodne z naturą jest szukanie doczesnych przyjemności, prowadzenie wesołego życia: *Pensez de mener bone vie!* Anarchia i nihilizm, uszlachetnione hasłami życia w zgodzie z naturą, przenikają cały poemat Jana z Meung. Autor posyła do diabła wszystkie władze tak duchowne, jak świeckie. Nie cierpi prałatów i klechów – ale jest też bardzo kiepskiego mniemania o władzy świeckiej. Nonkonformizm studenckiego burzyciela świata prowadzi jednak do formułowania szeregu dobrych rad, jak żyć wygodnie i przyjemnie. Gryząca satyra studenckiego „filozofa” ma tyle akurat nośności, aby potępić abstynencję,

czystość, pokorę, a przede wszystkim ubóstwo, bo ono głównie przeskadza dobrze przeżyć swoje życie. „Ubóstwo to bardzo brzydka rzecz” – *Trop est povretez laide. chose.*

Tak na przykładzie jednego z najciekawszych epizodów w historii myśli uniwersyteckiej XIII wieku można pokazać upraszczanie nauk wielkich mistrzów przez studenckie „pospólstwo”. Bardzo często do przekonania słuchaczy trafiały tylko jakieś wyrwane z całości hasła i punkty doktryny profesorów; przeinaczano je, dopasowywano do aspiracji i ambicji studenckich, zubożano i wulgaryzowano. Tak zresztą było zawsze: nawet na uniwersytetach nielicznym tylko dane jest nie być powierzchownym...

Wartości łaciny średniowiecznej

Wróćmy do drobnych spraw techniki uniwersyteckiej. Wykłady wygłaszano oczywiście w uniwersalnej podówczas łacinie. Wspomniane już wyjątkowe sytuacje – na przykład wykłady medycyny po hebrajsku na studium w Salerno – nie utrzymały się dłużej. Łacina uniwersyteckiego wykładu nie przypominała oczywiście języka Cyserona i Kwintyliana. Była to łacina często nieelegancka, pełna gallicyzmów czy italianizmów. Ale nie należy wybrzydzać na średniowieczną „zepsutą” łacinę, jak to robili puryści językowi z czasów renesansu. To „zepsucie” było po prostu rezultatem rozwoju języka, który jeszcze w XII i XIII wieku był językiem żywym. Po łacinie zawodowi intelektualiści nie tylko wykładali i dyskutowali, ale także pisali prywatne listy i prowadzili potoczne rozmowy. Język łaciński musiał więc dostosować się do nowych zjawisk życia, które miał odbijać. Co więcej, należy podziwiać twórczą inwencję średniowiecza, które potrafiło przystosować łacinę do potrzeb rozwoju filozofii. Język starożytnych Rzymian – to przede wszystkim język administratorów, żołnierzy, prawników, chłopów. Nie był on zdatny do oddania wszystkich subtelności filozoficznego rozumowania. Tę giętkość i subtelność odcieni znaczeniowych zapewniła mu praca średniowiecznych środowisk uniwersyteckich. Mogli tego nie doceniać ludzie renesansu, ale dzisiaj należy oddać średniowiecznej łacinie to, co się jej należy.

Wykłady czytane, elokwencja profesorska

W pracy uniwersyteckiej bardzo chwalono żywe słowo (*viva vox*). Ale mimo tych pochwał wielu profesorów rezygnowało z niego i pomagało sobie notatkami albo po prostu czytało z kartki. Tych ostatnich studenci nazywali ironicznie „kartkowcami” (*chartacei*). Czytanie z kartki nigdzie nie było dobrze widziane. Pozbawiało wykład siły wyrazu, podważało autorytet mistrza, przyzwyczajało studentów do klepania tekstów bez zapału, do uczenia się bez wysiłku skierowanego na zrozumienie o co idzie. Odofredus żali się niejednokrotnie, że studenci mają skłonność do takiej właśnie niechlubnej metody uczenia się. Wreszcie czytanie wykładu sprzyjało zarzuconej metodzie dyktowania.

Te wszystkie rekryminacje pod adresem czytających swój wykład znalazły później (w XIV wieku) odbicie w przepisach uniwersyteckich. Zakazywano więc wykładania przy świecy. Ponieważ wykład doktorski odbywał się często we wczesnych godzinach porannych, a prawdziwe szkło w oknach sali wykładowej było rzadkim luksusem, taki przepis bardzo utrudniał korzystanie z książki czy z notatek. Oczywiście, utrudniał też dyktowanie.

Poziom elokwencji profesorskiej bywał bardzo nierówny, jednakże wykładowca musiał posiadać przynajmniej minimum talentów oratorskich. Sama wymowa bez wiedzy jest jak miecz w ręku furiata – powiada Alberyk z Rosate. Ale sama wiedza bez wymowy jest jak miecz w ręku paralityka...

Trzeba więc było mieć przynajmniej trochę elokwencji. Domagano się przede wszystkim, aby doktor wykładający umiał jasno przedstawić problemy i aby doskonale rozumiał, jaki jest sens wykładanych przezeń tekstów czy pojęć. To żądanie świadczyłoby o pokrywaniu przez niektórych doktorów niewiedzy i braku pewności sądu zawiłą grandilokwencją. Jan z Salisbury powtarzał, że wymowa bez wiedzy na nic się nie przydaje. Dialektyka pomaga, jeśli wsparta jest wiedzą; inaczej jest ona jak miecz w ręku Pigmeja. A miecz jedynie w prawicy Achillesa i Hektora działa jak piorun.

Wielki prawnik, Martinus de Fano, oburzał się na skłonność do przesadnej ozdobności wykładu, do zawiłości i „barokowej” – jak

dziś powiedzielibyśmy – wymowy. Odofredus ironicznie powiada, że tylko najwięksi doktorzy przemawiają zawile i w podniosłym stylu (*obscure et in supremo stylo*). Alberyk z Rosate konstatuje po prostu: nowocześni mistrzowie są zwolennikami zwięzłości (*gaudent brevitate moderni*); wielosłowie nie jest wcale rzeczą godziwą (*multitudo verborum nihil habet honesti*). Zdaniem Piotra de Belleperche wielomówność zawsze prowadzi do błędów albo błędy zawiera (*multiloquio non deest peccatum*). Elokwencja, dobra wymowa, jest rzeczą pożyteczną; ale – powiada Łukasz z Penny – na cóż przyda się * wspaniała wymowa, za którą nie może nadażyć umysł słuchacza.

Podobne wypowiedzi odnajdziemy u każdego wybitnego mistrza. Nieustanne powtarzanie tego zdaje się jednak świadczyć, że fałszywe krasomówstwo, niezrozumialstwo, zawiłość stylu były plagą uniwersytetów. Wiemy o tym zresztą i z bezpośrednich przekazów – z tekstów wielu „lektur” uniwersyteckich, które przechowały się do naszych czasów.

Studenckie hałasy na wykładzie

Może te wady wielu wykładowców były przyczyną – a przynajmniej jedną z przyczyn – studenckich awantur i hałasów w czasie trwania wykładu. Nie dziwi nas to na uczelni typu paryskiego, gdzie przychodziło po naukę wielu młodzików z mlekiem pod wąsem. Tu studenckie hałasy (*strepitus scholarium*) były rzeczą ogólnie znaną. Profesorowie ciągle napominali swoich słuchaczy, stawiali im za wzór dobre maniery dziewcząt, żądali, aby studenci zachowywali się *more virginum*, jak panienki.

Ale – rzecz ciekawa – nawet „dorosły” uniwersytet boloński nie uniknął tej samej plagi. Hałasy i przeszkadzanie w czasie wykładu i tu zdarzały się nierzadko. Odofredus skarżył się, że studenci w czasie wykładania ciskali w niego książkami (*pulsabant libros contra eum*). Kapitalne, a i bardzo uczone, są rozważania prawnicze wielkiego Bartolusa de Saxoferrato: czy profesor może przerwać wykład z powodu studenckich hałasów (*propter strepitum scholarium an possit doctor cessare legere*).

Krasomówcy i metoda dialektyczna

Wielu mistrzów wykładało jednak świetnie. W XII wieku filozof paryski Wilhelm z Champeaux był tak znakomitym wykładowcą, że mówiono o nim: „... można wierzyć, iż to anioł z nieba mówi, a nie człowiek”. W początkach XIII wieku międzynarodową sławę wykładowcy o złotych ustach zdobył w Bolonii Azon, jeszcze wcześniej – Bulgarus, którego też nazywano *os aureum*.

Średniowieczny wykład ożywiała lepiej od ornamentów stylu metoda dość powszechnie przyjęta. Polegała ona na odwoływaniu się do zarzutów, kontrargumentów, opinii przeciwnych, które wypadało obalić, aby ugruntować swój pogląd. Dlatego teolog, prawnik, medyk, artysta – z reguły przedstawiał argumenty pro i contra. Ta metoda, zwana dialektyczną (ojcem jej był Abelard) prowadziła w przekonaniu średniowiecznej uczoności do najbardziej ugruntowanych wyników naukowych. Dlatego właśnie w wykładach nieustannie komentowano zdanie przeciwników i powoływano się na nie. Wybór między argumentami za i przeciw sprowadza zawiłe problemy naukowe na płaszczyznę pasjonujących zagadek intelektualnych. Argumenty przeciw były tak szeroko przedstawiane, że jeszcze dziś czytelnik wciąga się w tę zabawę, z zainteresowaniem śledzi, jak też autor da sobie radę z rozgromieniem swego oponenta. Oczywiście, z reguły dawał sobie radę i bił przeciwników na głowę. Wiadomo, że nigdzie nie odnosi się łatwiejszych zwycięstw, jak na kartach własnej książki. Ale dodajmy jeszcze, że obalenie opinii przeciwników dokonywało się przy akompaniamencie żywych i nieraz bardzo osobistych uwag i refleksji. „To jest bzdura” (*truffa est*), „to fantazja, a nie nauka”, „ta opinia jest fałszywa jak Judasz Iskariota” – oto tylko niektóre z ocen polemicznych sławnego Bartolusa de Saxoferrato. Takie komentarze, wygłaszane na wykładach, stanowiły jeszcze jeden instrument rywalizacji między profesorami.

Wiek XIII: próby syntezy

Aktywność intelektualna przejawiała się początkowo bardzo żywo właśnie w uniwersyteckim wykładzie. Wykłady Abelarda z filozofii i teologii czy Azona z prawa ściągały tłumy; wykład był tą formą naukowej działalności, gdzie rodziły się nowe teorie, śmiałe poglądy, odważne propozycje rozwiązań. Wiek XIII przyniósł sumowanie wcześniejszego dorobku całych pokoleń naukowych. Takim podsumowaniem w dziedzinie nauk prawnych były wielkie dzieła Akkursjusza (sławna *Glosa*) czy Henryka z Ostii (*Złota Summa*). W doktrynie kościelnej duże znaczenie miała *Summa teologiczna* Tomasza z Akwinu. Ten ostatni studiował w Paryżu, gdzie widać nie wyróżniał się początkowo: koledzy ze studiów nazwali go milczącym wołem sycylijskim (Tomasz pochodził z królestwa sycylijskiego, z Rocca Secca koło Akwinu). Później wykladał na tym samym studium paryskim i w Neapolu. Jego *Summa* jest próbą kompletnego wykładu filozofii chrześcijańskiej, zmodernizowanej niektórymi elementami arystotelizmu, dostosowanego do potrzeb nauki kościelnej. Była to replika na szerzenie laickich prądów w filozofii, na wpływy awerroizmu.

Wielkie dzieła sumujące dorobek nauki w określonej dziedzinie na niejednym wydziale wpłynęły niekorzystnie na postęp wiedzy. Wykład uniwersytecki częstokroć zaczynał się sprowadzać do przewznowiania wcześniejszych rozwiązań, do rozważań bardzo analitycznych, nieraz zupełnie jałowych. „Nowe wykłady naszych współczesnych mistrzów już nie glosują glos, ale glosują głosy do glos” – żalił się włoski uczony XV wieku. Tak dokonywała się degeneracja metod scholastycznych, powszechnie wyśmiewana przez ludzi renesansu. Ale to już zupełnie inna historia.

Repetycje, dysputy

Wykład nie był oczywiście jedyną formą działalności dydaktycznej średniowiecznego uniwersytetu. Do klasycznych form należały też repetycje i dysputy. Pokażemy ich strukturę i znaczenie na przy-

kładzie bolońskiej jurysprudencji oraz paryskiej teologii i filozofii. Na prawie repetycja – to ćwiczenie egzegetyczne na podstawie tekstu skomentowanego już na wykładzie. Punktem wyjściowym była wiedza przekazana przez profesora w czasie wykładu. Zwykle raz w tygodniu, zresztą nie przez cały rok akademicki, zbierano się po południu, aby pod kierunkiem mistrza czy bakałarza „repetować” tekst. Wynajdywano nowe trudności, szukano argumentów pro i contra, uzgadniano wreszcie rozstrzygnięcie tych trudności (*solutio*).

Nieco inny charakter miały dysputy publiczne. Rozwijano je wokół jakiegoś przypadku prawniczego (*casus legis*), a więc kwestii praktycznej, wymyślonej lub wziętej z żywej praktyki sądów. Prowadził dysputę wyłącznie profesor, tzw. *doctor disputans*. Temat dyskusji ogłaszano na tydzień wcześniej: studenci przygotowywali się do niej, a potem zgłaszali swoje uwagi i zastrzeżenia (*oppositiones*). Odpowiadał na nie *doctor disputans*. W takim streszczeniu sprawa wygląda prosto, ale w praktyce sztuka prowadzenia dysputy nie była łatwa ani mała. Metody dyskusji stanowiły nawet przedmiot osobnych traktatów naukowych (*libelli disputationis, modi arguendi*). Jak bardzo ceniono owe dysputy świadczą zapisy rękopiśmienne, potem często drukowane, licznych dyskusji (*quaestiones disputatae, quaestiones sabbatinae*: ta ostatnia nazwa pochodzi stąd, że dysputy chętnie odbywano w soboty).

U „artystów” repetycje przeprowadzano częściej i miały one znaczenie bardziej praktyczne. Na niższych szczeblach nauczania „sztuk” były to zwykle dyktanda, wprowadki w naukę pisania; na studium właściwych *artes liberales* – częste były ćwiczenia piśmienne mające na celu kształtowanie stylu. Wiele świadectw – między innymi relacja Jana z Salisbury – pozwala przypuszczać, że dość powszechnie stosowano tu zwyczaj repetycji codziennych. Studenci *artium* w Paryżu, ale i na innych uczelniach francuskich czy angielskich, odprowadzali ćwiczenia i repetycje codziennie. Miejsцем były kolegia, kierownikiem – starszy student lub mistrz gramatyki. Jak już wspomnieliśmy, stopniowo na tę formę nauczania przeniesiony został główny ciężar aktywności dydaktycznej wydziału *artium*. Także na teologii repetycje były częstsze i popularniejsze niż na prawie. Warto wspomnieć o innej formie ćwiczeń praktycznych, zbliżonych do repetycji, o tzw.

resumptio: piśmiennym streszczeniu, przygotowywanym w kolegium na podstawie ранego wykładu. Wspominał o takich streszczeniach już w XIII wieku Robert de Sorbon.

Repetycje i inne ćwiczenia praktyczne, prowadzone przez młodszych pracowników naukowych, i na teologii stopniowo zajmowały coraz więcej miejsca w planie studiów. W XV wieku nierzadkie już były wypadki, kiedy profesorowie przestawali przywiązywać wagę do wykładów i do tego, czy studenci na nie chodzą. Troskę o codzienną działalność dydaktyczną pozostawiono bakałarzom, kursorom. Stanowisko profesorskie dla wielu stało się już tylko lukratywną i poważaną w świecie synekurą.

Dysputa naukowa (*quaestio disputata*) także miała dużą popularność na wydziałach „artystów” i teologów. Bardzo żywy opis takiej dysputy naukowej zawdzięczamy paryskiemu studentowi, potem sławnemu pisarzowi XII wieku, Janowi z Salisbury. Wiemy więc, że odbywano dysputy regularnie, w określone dni roku szkolnego. Przedmiotem było jedno zagadnienie (*quaestio*); jeśli poruszano kilka problemów, to musiały one stanowić jakąś całość tematyczną. W toku dyskusji uczestnicy proponowali różne rozwiązania i przytaczali najróżniejsze argumenty za i przeciw. Potem jeden ze studentów lub bakałarzy próbował sumować, dawał tzw. *responsio*. Wreszcie profesor przedstawiał swoje podsumowanie, tzw. *determinatio*, które zamykało dyskusję. Było wielkim honorem dla studenta dającego *responsio*, jeżeli profesor w swej *determinatio* powtórzył tylko jego argumenty, nie korygując ani nie uzupełniając respondenta.

Kwodlibety

Tak wyglądała zwykła dysputa regularnie odbywana w ciągu roku szkolnego i należąca do normalnego toku studiów. Studenci obowiązani byli chodzić na te zwykłe dysputy swego mistrza. Ale oprócz tego istniały jeszcze dysputy nadzwyczajne, stanowiące szczególne święto dla całego wydziału. Odbywano je podczas uroczystości uniwersyteckich albo w związku z wielkimi świętami: Bożym Narodzeniem, Wielkanocą. Nazywało się to *quaestio quodlibetalis*, *quodli-*

bet. Nazwa pochodzi stąd, że w toku tej solennej dysputy występowało wielu dyskutantów a tematów nie określano ściśle: można było dyskutować *de quolibet*, tzn. o dowolnej kwestii. Prowadzili takie kwodlibety tylko najzdolniejsi, najwybitniejsi mistrzowie. A i dla nich kwodlibet była nieraz ciężkim orzechem do zgryzienia. Mogło paść każde pytanie, na wszystkie trzeba było być przygotowanym. Kole-dzy-profesorowie i studenci tylko czekali na kompromitację czy choćby na sypnięcie się odpowiadającego: to zawsze budziło (i budzi!) dużą satysfakcję słuchaczy.

Wiele tych *quaestiones quodlibetales* znamy w pełnym tekście. Gdy odpowiadał wybitny mistrz słuchacze często spisywali pytania i odpowiedzi. Czasem sam profesor redagował swoje odpowiedzi na zadane podczas *quaestio quodlibetalis* pytania. Zbiory tych kwodlibetów są lekturą pasjonującą. Oczywiście, zadawano bardzo wiele pytań poważnych i bardzo trudnych. Niektóre pytania i odpowiedzi są popisem subtelności filozoficznych, znajomości na przykład logiki albo metafizyki Arystotelesa. Ale to tylko jedna strona medalu.

Dyskutanci w czasie kwodlibetów nie krępowali się zadawać pytań podchwytliwych, niekiedy wręcz drastycznych. Nie było takiej dziedziny życia, która by nie została poruszona w czasie kwodlibetów. Względ na obyczajność nie pozwala wręcz cytować wielu pytań frywolnych.

Pytano: „Czy kształt głowy musi być okrągły”; „Czy człowiek rudy grzeszy niewiernością”; „Czy pijak trzeźwieje po wypiciu oliwy”; „Czy z odciętego ogona węża odrośnie nowy wąż”; „Czy melancholicy są rozrzutni”; „Czy ptak może fruwać pod wiatr”; „Czy odcięta głowa może przemawiać”; „Czy łysieje się od czubka głowy, czy od tyłu”; „Czy węże bardziej gryzą w początku miesiąca niż przy końcu”; „Dlaczego mężczyźni miewają brody i łysiny, a kobiety nie”. Największe świętości wciągano do tych rozważań, pytano: „Czy Chrystus mógłby mieć dzieci”. Interesowano się zjawiskami świata zewnętrznego: „Czy słońce grzeje mocniej na górze, czy na dole” i świata transcendentnego: „Czy anioł na zachodzie zna myśli anioła przebywającego na wschodzie”; pytano także o cechy psychiki człowieka: „Czy głupcy są głupszy podczas pełni niż podczas nowiu” (*Utrum stulti sint magis stulti in plenilunio quam in novilunio*).

Na takie pytania uczony profesor odpowiadał najpoważniej w świecie, obficie powołując uznane autorytety, traktując temat w ścisłych kategoriach uczoności. Ten kontrast treści i formy, w jaką oblekano odpowiedź na niektóre kwodlibetalne pytania, jest czymś szczególnie smakowitym. Jednakże, aby się delectować humorystyczną stroną zjawiska, trzeba dobrze znać średniowieczną łacinę i średniowieczną terminologię filozoficzną. Nie cytujemy więc odpowiedzi mistrzów; dla pełnego efektu trzeba by je przytaczać po łacinie. Dodajmy tylko, że niejedna odpowiedź urastała do rozmiarów małego traktatu.

Te igraszki intelektualne były początkowo raczej marginesem kwodlibetów, a tym bardziej całej pracy uniwersyteckiej. Dopiero później, w miarę upadania scholastycznej wiedzy, margines zajmował coraz pocześniejsze miejsce. Jaskrawym świadectwem tego jest złośliwa krytyka późnej scholastyki w epoce renesansu: ot, przypomnijmy sobie choćby, ile kart poświęcił temu Rabelais.

Publiczne czytanie nowych dzieł

Wśród różnych form aktywności intelektualnej uniwersytetu istniał też zwyczaj publicznego czytania nowych dzieł, napisanych przez profesorów. Auditorium stanowili koledzy autora – inni profesorowie (nie tylko zresztą z tego samego wydziału) oraz studenci uniwersytetu.

Tak na przykład sławny mistrz retoryki Buoncampagni czytał w 1215 roku w katedrze bolońskiej swoje dzieło *Rhetorica antiqua*, a w 1226 roku ponownie referował je w Padwie. W Paryżu mistrz Wawrzyniec z Akwilei czytał dzieło *Ars dictaminis*, w Padwie Rolandinus z Padwy referował publicznie jedną ze swych prac historycznych. Często po takiej publicznej lekturze słuchacze urządzali autorowi owację, uwieńczyli go wieńcem laurowym, obdarzali burzą oklasków – tak przynajmniej twierdzą zainteresowani autorzy. Niekiedy lektura nowych dzieł odbywała się w gronie zaproszonych gości, w domu autora, a więc nie publicznie. Tak już w końcu XII wieku Giraldus Cambrensis przez trzy dni z rzędu czytał w Oksfordzie swój utwór *Topographia Hibernica*.

Sens takich zebrań naukowych jest zrozumiały: rozpowszechnienie nowych dzieł postępowało zwykle powoli, druku przecież nie było, a przepisywanie trwało bardzo długo. Lektura nowego dzieła pozwalała zapoznać szybko środowisko kolegów z jego zawartością.

Technika wydziałów medycyny

Kilka osobnych słów wypadnie poświęcić technice pracy uniwersyteckiej na wydziałach medycznych. Wspominaliśmy już o tendencji uniwersytetów średniowiecznych, aby nadać medycynie charakter nauki spekulatywnej, o silnym podkładzie filozoficznym. Traktaty wielkich filozofów-medyków i tu były podstawą dydaktyki. Poddawano je wyczerpującej egzegezie, komentowano i rozwijano. To była forma właściwa wyższemu kursowi medycyny. Ale i tutaj, a już zwłaszcza na niższym kursie, przyuczającym praktyków medycyny, wdzierała się do nauczania sztuki lekarskiej metoda empiryczna. Średniowiecze było znacznie mocniejsze w diagnostyce niż w terapii. Potrafiono już nieźle klasyfikować choroby, opisywać ich objawy, analizować problem zakaźności. Podstawą takich postępów wiedzy medycznej były oczywiście studia kliniczne w szpitalach, które przeprowadzano na wszystkich wydziałach medycyny. Nieprzypadkowo studium lekarskie w Montpellier rozwinęło się tak wspaniale i zdobyło międzynarodową sławę: Montpellier już przed powstaniem uczelni stanowiło wielki ośrodek szpitalnictwa. Tak samo w Salerno czy Bolonii praca w szpitalu, demonstracje praktyczne, studia kliniczne stanowiły ważny element dydaktyki uniwersyteckiej.

Znacznie gorzej było z terapią. Służyła tu medykom średniowiecznym przede wszystkim wiedza empiryczna, nagromadzona przez Greków i Arabów, dotycząca właściwości leczniczych wielu ziół i innych leków pochodzenia roślinnego. W znacznie mniejszym stopniu używano lekarstw mineralnych. Uzasadnienie stosowania tych środków było często zupełnie bajkowe. Teoria choroby wynikającej z zakłócenia równowagi między „czterema humorami” w człowieku wydaje się dziś tylko zabawna. Ale bez względu na dorabiane uzasadnienia teoretyczne wiele recept i środków leczniczych stanowiło

rezultat solidnych obserwacji empirycznych, owoc wiekowego doświadczenia lekarskiego o niebagatelnej wartości.

Wspomniane już reguły zdrowia szkoły salernitańskiej – kompilacja różnych czasów i szkół – dawały wcale mądre rady: wstawać rano, myć dobrze ręce, twarz, zęby i włosy; unikać smażonego i solonego mięsa; jeść jajka, pić wino, mleko. Romański gust do wina – a jest tu cała apologia tego trunku – przeciwstawiony jest pogardzie dla wody.

Kapitałne rady zawiera list bolońskiego medyka, Piotra Fagaroli, do synów, studentów z Tuluzy, pisany w roku 1315. Mądry profesor medycyny radzi synom nie jeść za dużo wieczorem, nie mieszać mleka z winem lub rybą, unikać świeżej wieprzowiny itd. Wodę zaleca dobrze gotować, a zęby płukać po jedzeniu winem. Przed snem wypada zrobić spacer, a spać należy około 6 godzin. Kwaterę trzeba wybierać tam, gdzie jest powietrze czyste i niewilgotne. Troskliwy ojciec radzi synom, aby ucząc się w nocy kładli szlafmycę i owijali gardło. Przykazuje też sprzątać pokój, myć nogi, a głowę przynajmniej co 2 tygodnie. Należy dużo i szybko chodzić, grać w piłkę, a gdy pogoda jest zła – gimnastykować się w domu (machać grubym kijem, skakać itd.).

Oczywiście była i odwrotna strona medalu. Salernitańskie reguły zdrowia poważnie wymieniają jako lekarstwo takie specjały, jak na przykład uryna psa i mysia krew. Na wzmocnienie serca pomaga spożywanie pereł itd.

Jeśli wspominamy tu o błędach i słabościach terapii, to dlatego, że sprawa wiąże się z poważnym brakiem studiów medycznych. W technice wydziałów lekarskich anatomia zajmowała miejsce stosunkowo skromne. Stąd naiwne poglądy na fizjologię człowieka, stąd też i słabości chirurgii. Anatomia nie mogła kwitnąć w średniowieczu, gdyż Kościół kategorycznie zabraniał sekcji zwłok. Dlatego właśnie chirurgia nie zajmowała ważniejszego miejsca na uniwersytetach francuskich czy angielskich. Chirurg wyższej rangi – to po prostu specjalista od zszywania ran i od połamanych kości. Na niższym szczeblu – to wędrowny cyrulik, który golił, strzygł, wyrывał zęby, nastawiał zwichnięte kończyny.

Na uczelniach włoskich sytuacja przedstawiała się bez porówna-

nia lepiej. Chirurg praktykujący musiał się tu przyuczać na uniwersytecie. Poziom wiedzy chirurgicznej był nierównie wyższy, bo i wiedza anatomiczna stała wyżej. Na studium medycyny w Salerno sekcje zwłok nie były rzadkością: przypomnijmy, że sporą rolę odgrywali tu w początkach studium doktorzy żydowscy, których nie dotyczyły kościelne zakazy sekcjonowania. Także i potem zajęcia praktyczne wydziału lekarskiego nie ograniczały się tylko do badań klinicznych w szpitalach; przeprowadzano również ćwiczenia na zwłokach. Wiadomo, że podczas wielkiej zarazy, tzw. czarnej śmierci, która nawiedziła Włochy w połowie XIV wieku, fakultet medycyny w Bolonii przeprowadzał sekcje ciał gwałtownie zmarłych i w ten sposób próbował powstrzymać epidemię, pogłębić możliwości terapii.

Podręczniki

Ważnym zagadnieniem jest kwestia pomocy naukowych w nauczaniu uniwersyteckim. Podstawę tego nauczania – mówiliśmy już o tym parokrotnie – stanowi komentowanie dzieł uznanych za podstawowe. Parę słów o tym, co czytano i komentowano na poszczególnych wydziałach.

Właściwy, wyższy kurs wydziału sztuk wyzwolonych przekształcił się w XIII wieku w dość kompletny wykład filozofii. Nieprzypadkowo w tym stuleciu pojawia się niekiedy określenie *facultas philosophiae* jako równoznaczne pojęciu *facultas artium*. Przede wszystkim w XIII wieku czytano tu i komentowano bardzo szeroko pisma logiczne i metafizyczne Arystotelesa. Oczywiście, nie po greku, podstawą nauczania były przekłady łacińskie – Aristoteles Latinus. Roztrząsania logiczne i filozoficzne były szczególnie eksponowane w kursie sztuk wyzwolonych. Ważne miejsce zajmowała także gramatyka, nie w znaczeniu elementarnym, mieściła się tu bowiem dość szeroko pojmowana nauka o języku. Studiowano w tym zakresie klasyczne dzieła Priscjana, Donata, później także traktat Aleksandra de Villedieu *Doctrinale*. Kapitalne znaczenie miało wprowadzenie w szerokim zakresie kursu nauk przyrodniczych, a więc „fizyki” obejmującej tzw. filozofię naturalną i kosmologię. Z tej nauki przy-

rodniczej na wydziale *artium* wyodrębniły się potem fakultety medyczne, oczywiście z wyłączeniem Salerno i Montpellier, gdzie medycyna miała najstarsze i samodzielne tradycje uniwersyteckie. Studiowano więc fizykę w dzisiejszym znaczeniu tego słowa, chemię, botanikę z zoologią, astronomię z kosmologią.

Ogromnym postępem dla rozwoju tych nauk było wprowadzenie na uniwersytety pism przyrodniczych greckich i arabskich, oczywiście znowu w łacińskich przekładach Wilhelma z Kremony, Dominika Gundisalvi i innych. Niektóre dziedziny wiedzy doczekały się podstawowych traktatów łączących tradycje uczoneści wczesnośredniowiecznej z nowym impulsem nauki arabskiej. Tak na przykład astronomię i kosmologię wykładano wedle trzynastowiecznego traktatu Jana de Sacrobosco. Ten *Tractatus de Sphaera* próbował połączyć tradycyjną we wczesnym średniowieczu astronomię ptolemejską z dorobkiem nowszej astronomii arabskiej (Al Bitrogi oraz arabscy komentatorzy Arystotelesa).

Przy nauczaniu matematyki i geometrii podstawą dydaktyki były dzieła Euklidesa i Boecjusza.

Dawna retoryka zmieniała swój charakter na trzynastowiecznym wydziale *artium*. Przekształciła się w kurs praktyczny tak zwanej *ars dictaminis*. Z licznych podręczników tej *ars dictaminis* uczono sztuki układania listów. *Ars dictaminis* przygotowywała także do niższych usługowych zawodów prawniczych, uczyła bowiem między innymi redagowania aktów i dokumentów prawnych. Kurs retoryki otwierał drogę do różnych posad kancelaryjnych, kształcił specjalistów od sztuki pisania, redagowania, rejestrowania. Skądinąd wiemy, że kurs retoryki nawet w filozoficznej uczelni paryskiej miał bardzo wielu słuchaczy, których nęciła taka kancelaryjna „kariera”. Słuchacze tego kursu byli nie tylko liczni; byli też bardziej aktywni, bardziej dziarscy od zwolenników innych, ściśle filozoficznych sztuk wyzwolonych. W poemacie satyrycznym z XIII wieku o „wojnie siedmiu sztuk” mowa jest o alegorycznej armii uniwersytetu paryskiego. W tej armii najbardziej wojowniczym oddziałem jest właśnie retoryka: ona walczy na pierwszej linii, wspierana przez chciwych jurystów i adwokatów, bogacących się na krzywdzie ludzkiej. Charakterystyczne jest to podkreślenie związku retoryki właśnie z nauką prawniczą.

Na medycynie znano i komentowano antyczne traktaty lekarskie, przede wszystkim Hippokratesa w przeróbce Galena; posługiwano się też pismami Pliniusza, Kolumelli. Ale szczególną karierę zrobiła tu znowu nauka arabska, przejęta z Hiszpanii, w części za pośrednictwem uczonych żydowskich. Wczesna medycyna arabska z wieku IX i X miała charakter przede wszystkim empiryczny. Uniwersytety zachodnie – najpierw Salerno – znały ją z tłumaczeń mnicha Konstantyna Afrykańczyka. Zbiór arabskich traktów medycznych ułożony i przetłumaczony na łacinę przez Konstantyna miał w ciągu wielu lat duże powodzenie w nauczaniu uniwersyteckim. Nie wyparły go nawet wpływy nauki „neoarabskiej” z XI–XII wieku, która przyniosła wielkie dzieła Awicenny i Awerroesa. Były one bodźcem dla rozwoju medycyny teoretycznej, o silnym podkładzie filozoficznym. Być może dlatego już stosunkowo wcześniej zainteresowano się medycyną na filozofującej uczelni paryskiej.

Traktaty Awicenny, Awerroesa i ich interpretatorów poddawano uczonej egzegezie, komentowano wedle wszelkich reguł dialektycznej sztuki. Wielki profesor medycyny często był zarazem wybitnym filozofem: przykładem niech służy sławny Taddeo Alderotti, mistrz studium medycznego w Bolonii. Zagadnienia takie, jak konieczność śmierci, sen, przyczyny powstawania chorób bardzo się nadawały do filozoficznej interpretacji i refleksji.

Nie zanikały jednak i dawne metody oraz dawne dzieła. Oprócz zbioru Konstantyna znano na uczelniach oryginalne podręczniki o dużym znaczeniu praktycznym i podkładzie empirycznym. Ogromny autorytet miał zbiór recept, *Antidotarius*, pochodzący jeszcze z X–XII wieku, któremu kształt ostateczny nadali doktorzy z Salerno z XII wieku. Stanowił on podstawę średniowiecznej farmakologii. Oryginalna twórczość podręcznikowa XII wieku była dość obfita i różnorodna. Dotyczyła chirurgii (podręcznik Rolanda z Parmy), anatomii (dzieło Cophona), okulistyki (*Practica Oculorum* – podręcznik, który napisał Benvenutus Grapheus) itd.

Na prawie kanonicznym podstawą nauczania były oczywiście zbiory przepisów kościelnych. Ogromnym autorytetem cieszył się dwunastowieczny zbiór magistra Gracjana, zwany *Dekretem*. Sumował on i porządkował materiał prawny Kościoła zachodniego aż do po-

łowy XII wieku. Było to dzieło prywatne, ale powszechnie poważane, komentowane, glosowane. Od drugiej połowy XII wieku narażało coraz liczniejsze ustawodawstwo papieskie, tzw. dekretały. W ciągu wieku XIII i na początku XIV ułożono kilka zbiorów tych dekretalów. *Dekret* Gracjana i zbiory dekretalów stanowiły podstawę nauczania na kanonistyce. Zbiory komentarzy profesorskich do tych tekstów prawnych były bardzo liczne. Spośród nich szczególnie autorytet zdobyły takie podręczniki, jak wielka *Summa* Huguccia z Pizy, zbiory komentarzy Jana Niemca (Ioannes Theutonicus) i Bernarda z Pawii, *Złota Summa* Henryka z Ostii, komentarze papieża Innocentego IV, *Speculum iuris* Wilhelma Duranda i in.

Studium prawa świeckiego przyjęło za podstawę nauczania antyczne prawo rzymskie. Ogromna kodyfikacja tego prawa, dokonana w VI wieku przez cesarza Justyniana, była przedmiotem naukowej egzegezy i coraz obszerniejszych komentarzy (*głos*). Kodyfikacja justyniańska stanowiła rzeczywiście dzieło monumentalne; zawierała ona materiał prawny tak bogaty, że dawał nieograniczone wręcz możliwości badań naukowych, interpretacji, subtelnych rozumowań prawniczych. Pierwsi wielcy profesorowie prawa, tzw. glosatorzy (Irnerius, Bulgarus, Martinus, Azo, Hugolinus), dokonali gigantycznego dzieła egzegezy justyniańskiego pomnika. Nie było to wcale łatwe: należało wyjaśnić sens wielu przepisów justyniańskich, pisanych trudną, nieznaną już średniowieczu łaciną prawników starożytności. Tak samo sens wielu instytucji prawnych nie był dobrze zrozumiały: wyrosły one na gruncie zupełnie odmiennych sytuacji faktycznych, innych stosunków społecznych i politycznych. Do potrzeb średniowiecznej Europy, jej ustroju i jej ideologii trzeba było prawo rzymskie dopasować w drodze starannej reinterpretacji.

Dorobek tych badań prawniczych do połowy XIII wieku sumowała wspomniana już wielka *Głosa* profesora bolońskiego Akkursjusza. Okres późniejszy, od połowy XIII wieku, to czasy tzw. postglosatorów. Uczeni profesorowie prawa, postglosatorzy, mniej już zajmują się egzegezą sensu justyniańskich przepisów, więcej – ich adaptowaniem do aktualnych potrzeb. Komentarze do kodyfikacji justyniańskiej coraz szerzej uwzględniają żywe prawo: zwyczajowe prawo feudalne, prawo statutowe miast. Dostojne prawo rzymskie dostarcza

siatki konstrukcji teoretycznych, na którą postglosatorzy nakładają nowe treści społeczne; daje teoretyczne podłoże, formalną konstrukcję juredyczną dla postępu żywego prawa. Komentarze takich wielkich postglosatorów, jak Odofredus, Jakub de Révigny, Piotr de Belleperche, Cinus z Pistoii, Bartolus de Saxoferrato cechuje coraz silniejszy sens praktyczny uczonych dociekań. Ich zbiory komentarzy zdobyły duże powodzenie w uniwersyteckim nauczaniu prawa XIV wieku.

Na teologii głównym przedmiotem egzegezy i komentarzy były księgi biblijne oraz wielkie dzieło teologiczne, *Sentencje* Piotra Lombarda. Przerabiano je wielokrotnie i bardzo szczegółowo. Teologia miała być ukoronowaniem uniwersyteckiej wiedzy filozoficznej. Z wyzryn najwyższej prawdy miała traktować szerzej i głębiej o zagadnieniach filozoficznych, poruszanych już na fakultecie artium. Dyskutowano więc także pisma Ojców Kościoła, traktaty filozoficzne Arystotelesa.

W XIII wieku sumowano wiedzę teologiczną epoki w wielkich dziełach Alberta Wielkiego, Henryka z Gandawy, Bonawentury, Tomasza z Akwinu i in.

Nie należy jednak sądzić, że badania teologiczne miały wyłącznie akademickie cele. Zadaniem wydziałów teologii w Paryżu, Tuluzie czy Oksfordzie było rozwijanie doktryny kościelnej, zwalczanie średniowiecznych herezji, niebezpiecznych dla katolicyzmu, a często także dla doczesnego porządku, którego Kościół bronił. Przy innej okazji wspominaliśmy już o roli Tomasza z Akwinu w konflikcie Kościoła z żywą, atrakcyjną doktryną awerroizmu, zdobywającą pole na ruchliwych wydziałach sztuk wyzwolonych. Teologowie uniwersyteccy mieli stać na straży czystości dogmatów, mieli też szkolić kler w podstawowych zagadnieniach ideowych.

Bez względu na to, jaką naukę uprawiał student średniowiecznej uczelni – czy był teologiem, prawnikiem czy medykiem – musiał przede wszystkim posiadać księgi komentowane na wykładzie. W przeciwnym razie studia były prawie niemożliwe. Stosunkowo rzadko studenci kupowali zbiory profesorskich glos i komentarzy. Pierwszym zadaniem było zdobycie tekstu podstawowego: traktatu Arystotelesa na fakultecie artium, kodyfikacji justyniańskiej na pra-

wie, *Sentencji* Piotra Lombarda na teologii, traktatu Awicenny na medycynie itd. Kupowano więc albo pożyczano do kopiowania „gołe” teksty. Kiedy już student był zaopatrzony w taki „goły” tekst, mógł w czasie wykładu lub (częściej) w domu uzupełnić go komentarzami podanymi przez profesora. Nazywało się to glosowaniem tekstu. Jeśli glosa była krótsza – umieszczano ją między wierszami tekstu, jeśli była długa – zapisywano ją na dość szerokim marginesie z boku tekstu. Tekst zaopatrzony glosami był oczywiście znacznie wartościowszy i przydatniejszy. Nazywano go aparatem (*apparatus*): tekst „goły” plus glosy dają aparat.

Studenci artium, po części też medycyny i teologii, ograniczali się raczej do kupowania lub kopiowania samych tekstów. Te studia były tańsze, studiowali tu – zwłaszcza na *artes* – ludzie nie tak znowu zamożni, by płacić ciężkie pieniądze za zbiory komentarzy. Natomiast wśród prawników – bogatszych – częściej korzystano ze zbiorów komentarzy. Zresztą studentowi prawa trudniej było samodzielnie glosować teksty prawne: niejedna glosa urastała tu do rozmiarów pokaźnego traktatu naukowego. Kupowano zatem lub pożyczano summy prawnicze, zbiory glos; studenci prawa lubili też zbiory przypadków (kazuśów) sądowych, skrócone zbiory zasad prawnych, tzw. *brocarda*, zbiory kwestii dysputowanych itd.

Jakość rękopisów

O większej sile nabywczej studentów prawa świadczy wyjątkowe bogactwo rękopisów prawniczych XII–XIV wieku w archiwach różnych krajów. Także jakość rękopisów prawniczych była na ogół wysoka. Używano na nie często droższego i znacznie trwalszego pergaminu ze skóry baraniej (*carta pecorina*). Tańszy pergamin ze skóry koziej (*carta edina*) nie był ani tak efektowny, ani tak trwały. Pergamin stanowił materiał bardzo cenny; wydawano specjalne przepisy, regulujące jego sprzedaż. Wedle statutów paryskich z 1291 roku pergamin należało składać w klasztorze St.-Mathurin; tam wyceniała go komisja ekspertów. Zabroniono pergaminiarzom chować towar „pod ladę” i układać się z obcymi kupcami o podbijanie ceny.

Mistrzowie paryscy i studenci mieli pierwszeństwo przy zakupie. Studentom zakazano odprzedaży zakupionego pergaminu. Widać spekulacje pergaminowe odbywały się wedle wszelkich reguł sztuki spekulowania.

Wiele droższych rękopisów ozdabiano pięknymi miniaturami i iluminacjami, co podwyższało cenę książki: iluminacje były prawdziwymi dziełami sztuki i wymagały wielkiej cierpliwości artysty, ponadto barwniki kosztowały bardzo dużo. Za to jakość iluminacji średniowiecznych jest znakomita; barwy wielu lepszych rękopisów po dziś dzień zachowały olśniewającą świeżość i blask.

Technika pisania

Dodajmy jeszcze, że cena rękopisu zależała nie tylko od materiału. Ceny kształtowały się rozmaicie w zależności od pisma. Przy mniej starannej, szybszej w pisaniu kursywie, rękopis był tańszy; przy staranniejszym zaś i wyraźniejszym piśmie (trzynastowieczna litera bolońska) – droższy.

Byłoby błędem przypuszczać, że rozpowszechnienie pisma bardzo starannego, kaligraficznego, stanowiło wyraz wyższej kultury pisarstwa i czytelnictwa. W gruncie rzeczy sprawa przedstawiała się chyba odwrotnie. Społeczeństwo, w którym analfabetyzm panował powszechnie a umiejętność pisania i czytania ograniczała się do wąskiej elity możnych i duchownych, z zamiłowaniem kultywowało pismo kaligraficzne. W klasztornych *scriptoriach* cyzelowano każdą literkę wtedy, gdy ciemnota była najbardziej powszechna. Szerokie stosowanie mniej porządnej, ale szybszej kursywy w wieku XIII wynikało z nowych stosunków i nowego społeczeństwa, w którym potrzeba pisania stawała się powszechna i bieżąca. Uczony żyjący z pracy intelektualnej, urzędnik i sędzia w nowym systemie administracji państwa czy Kościoła, kupiec i bankier mieszczański – potrzebowali pisma na co dzień, posługiwali się pisaniem i czytaniem nie od święta, ale w normalnej pracy. Wraz z nowymi potrzebami rodziła się i nowa technika pisania: pióro gęsie, poręczniejsze i szybsze, wypierało starą, zaostrzoną trzcinkę klasztornych skrybów.

Niemniej jednak koszt rękopisów nadal sięgał często astronomicznych sum. Niektóre obszerne i porządnie wykonane rękopisy kosztowały całą fortunę. W aktach miejskich zachowały się kontrakty na przepisanie pewnych dzieł, opiewające na sumę stu kilkudziesięciu lirów bolońskich. Dla porównania: uposażenie profesora uniwersytetu na bogatym wydziale prawa nie przekraczało na ogół 200 lirów rocznie, a koszty utrzymania studenta ze średnio zamożnej rodziny – około 100 lirów.

Student i książka

Trudno się dziwić, że studenci ubożsi, zwłaszcza na wydziale sztuk, woleli kopiować sami dla siebie. Ale tych rękopisów robionych niefachową ręką studenta, niestarannym na ogół pismem, bez ozdób i iluminacji, na gorszym materiale – nie przechowywano już tak starannie. Dlatego stosunkowo niewiele takich rękopisów zachowało się do naszych czasów. Większość zachowanych manuskryptów – to dzieła zawodowych kopistów, wykonywane na specjalne zamówienie.

Czasami student kopiował jakieś dzieło dla kolegów i w ten sposób zarabiał na utrzymanie. Ani zawodowi kopiści, ani zawodowi księgarze nie mieli monopolu na przepisywanie i handlowanie książkami. Studenci przepisywali rękopisy jeden dla drugiego i handlowali nimi swobodnie.

Zresztą nie tylko handlowali. Z akt sądowych zdaje się wynikać, że wśród wszystkich kradzieży studenckich najczęściej występowały dwie kategorie: niewinna stosunkowo kradzież jedzenia i kradzież cennych rękopisów. Ta ostatnia była czymś bardzo brzydkim, jeśli zważyć, że student często nie miał nic cenniejszego w swoim dobytku poza książką.

Anonimowy student prowansalski z XIII wieku, który opisywał walki gwelfów i gibelinów w Bolonii, oburzał się szczególnie na łupienie księgarni i rabowanie rękopisów („kodeksów”) w czasie walk wewnętrznych. Wszyscy studenci, „których pragnienie przyгнаło do morza filozofii”, oplakiwali zgodnie te nikczemności, powiada anonim-Prowansalczyk.

Książka była dla studenta bardzo cenna nie tylko jako źródło wiedzy, jako niezbędna pomoc w zrozumieniu wykładu. Książka była często także ostatnią deską ratunku, gdy nikt nie chciał otworzyć kredytu i gdy wierzyciele-lichwiarze żądali wartościowego zastawu. Nawiasem warto wspomnieć, że niektóre uniwersytety przyznawały studentom szczególne przywileje przy zaciąganiu pożyczek pod zastaw rękopisów. Mianowicie wierzyciel nie zatrzymywał zastawionej książki w swoim posiadaniu, ale na prośbę studenta oddawał mu ją w tzw. użytkowanie *modo precario*. Książka zabezpieczała zwrot długu; jeśli zwrot nie nastąpił w terminie – przepadała na rzecz wierzyciela. W zasadzie jednak, póki termin zapłaty nie minął, student mógł korzystać z zastawionego manuskryptu. Było to bardzo korzystne dla dłużnika, ale stanowiło spore ryzyko dla wierzyciela.

Kopiści zawodowcy

Zawodowym kopiowaniem rękopisów zajmowali się kopiści zwani *scriptores*. Wcześniej ośrodkami ich działania były niemal wyłącznie instytucje kościelne, przede wszystkim klasztory. W XIII stuleciu rozwój uniwersytetów i postępy wiedzy spowodowały laicyzację tego procederu. Kopiowanie stawało się zawodem równie dobrym, jak inne rzemiosła. I tak np. w Paryżu chwalono pracowitość kopistów irlandzkich, choć zarzucano im, że cały tygodniowy zarobek przepijają w ciągu niedzieli. Wzrost liczby kopistów spowodował z kolei obniżenie poziomu kopii. Przepisywano dużo, prędko, byle więcej zarobić.

Roger Bacon żalił się, że kopiści są nieuczeni, illiterati, i że populi tekst ksiąg świętych (tj. pism Ojców Kościoła i teologów). Dla tego też XIII wiek przyniósł upowszechnienie systemu kontroli uniwersyteckiej nad kopiami uczonych dzieł. Sprawowały ją władze uniwersyteckie z rektorem; w praktyce powierzano badanie rękopisów kompetentnym funkcjonariuszom. W Bolonii funkcje te spełniali tzw. pecjarjusze (*pecarii*). Zbierali się oni co tydzień, aby weryfikować teksty przepisanych rękopisów. Jeśli tekst był poprawny, stawiali na nim swoją parafę: *cor [rectum]* i wyceniali wartość ma-

nuskryptu. Na uniwersytetach francuskich istniał zwyczaj, że książki uznane za skażone, niepoprawne, konfiskowano na rzecz uniwersytetu i potem albo poprawiano, albo – jeśli błędów było za wiele – przeznaczano na spalenie.

Przemysł księgarski

Kontrola uniwersytecka nie ograniczała się do samych tylko kopistów. Władze uczelni dążyły do objęcia nadzorem całego przemysłu księgarskiego. Był to przemysł rozbudowany: w dużych ośrodkach uniwersyteckich uprawiali go kopiści, księgarze (*stationarii*), introligatorzy (*ligatores*), miniaturzyści. W Bolonii ludzie związani z przemysłem księgarskim składali corocznie przysięgę na ręce rektora, że będą wykonywać rzetelnie swoje obowiązki zawodowe.

Obrót księgami na dużą skalę prowadziła księgarnia – *statio*. Był to skład rękopisów i sklep jednocześnie. Przedsiębiorcy księgarscy, *stationarii*, nieraz reprezentowali bogaty patrycjat miejski. Nierzadko księgarz – to zamożny bankier lub producent miejski. Handel książkami był bowiem i lukratywny, i nie dla każdego dostępny: wymagał dużych wkładów pieniężnych. Stationarius na ogół nie był uczonym; nie ograniczał się też do obsługiwanego jednego wydziału i jednej dyscypliny naukowej. Handel książkami na dużą skalę prowadzili wyłącznie księgarze; studenci czy mistrzowie mogli handlować tylko niepublicznie i niehurtowo. Wydawano zakazy w tym przedmiocie; studenci i profesorowie nie mieli nawet prawa utrzymywać spółek z księgarzami i robić z nimi interesów na wielką skalę.

Cennym materiałem dla poznania handlu książkami były rejestry wielkich księgarzy, w których zawarte są informacje, komu sprzedali rękopisy, komu pożyczili, za jaką sumę, pod jaki zastaw. Księgarze ogłaszali także swoje katalogi z oficjalnymi cenami, ustalonymi przy pomocy biegłych z uniwersytetu. Cena zależała nie tylko od objętości dzieła, ale też od stanu rękopisu, jakości pisma i pergaminu, ozdobości rękopisu itd. Te katalogi były w wielkich miastach uniwersyteckich wcale bogate. W początkach XIV wieku katalogi takie liczą nieraz powyżej 100 tytułów. Dla porównania warto powiedzieć, że

biblioteka papieska w końcu XIII wieku gromadziła 443 tytuły. Dodajmy, iż liczba tytułów nie jest bynajmniej równa liczbie tomów; wiele dzieł składało się z szeregu tomów. Aby otrzymać liczbę woluminów, należy liczbę tytułów powiększyć przynajmniej o połowę.

Niekiedy też statuty uniwersyteckie podawały wykazy książek, które *stationarii* winni mieć „na składzie”. Te wykazy są bardzo cenne dla historii nauki. Pokazują one, jakie prądy i tendencje panowały w różnych dyscyplinach wiedzy, kto był „modnym” autorem itd.

Pecje

Każda książka składała się z pecji. Bolońska pecja liczyła 4 karty dużego formatu, a więc 8 stron. Na każdej stronie znajdowały się dwie kolumny pisma. Każda kolumna składała się mniej więcej z 60 wierszy, a w każdym wierszu winny być w przybliżeniu 32 znaki pisarskie.

Podział wielkich rękopisów na pecje miał duże znaczenie praktyczne, ponieważ często jedna pecja stanowiła osobną całość. Książka nie była wtedy oprawiona w jeden duży wolumen; poszczególne pecje można było pożyczać od księgarza do czytania albo dla skopiowania czy streszczenia (*ad laborandum*). W ten sposób książka składająca się ze 100 pecji mogła jednocześnie obsłużyć aż 100 studentów – należało jedynie ustalić porządek zwrotów i pożyczek.

Najczęściej pożyczano książki i ich fragmenty do czytania lub kopiowania (streszczania) we własnym zakresie. Świadczą o tym krótkie terminy pożyczek: zawodowy kopista przeważnie żądał długich terminów, wielkie dzieła przepisywał często nawet przez cały rok. Pożyczający musiał zwrócić dzieło w terminie i w dobrym stanie. Kary pieniężne za uszkodzenie lub zgubienie rękopisu były bardzo wysokie.

Nie pozwalano też wywozić pożyczonych rękopisów poza granice miasta, chyba że pożyczono książkę wedle specjalnej, wysokiej taryfy i z odpowiednimi gwarancjami. Zdarzało się, że profesorowie wędrowali do odległych miast, aby konsultować jakiś cenny manuskrypt, którego właściciel nie chciał wypuścić z rąk, pożyczyc do obcego miasta.

Final: egzaminy

Finałem pracy uniwersyteckiej były – a przynajmniej powinny być – egzaminy. Egzamin w cechu ludzi uczonych był tym samym, co majstersztyk w cechu rzemieślniczym albo pasowanie na rycerza. Nie zawsze do egzaminów końcowych student docierał, nieraz zniechęcał go w połowie studiów wysoki koszt nauki i utrzymania w obcym mieście albo trudności obranego przedmiotu. Świetnie można zrozumieć, że dla młodych chłopców studiujących na wydziale artium Arystoteles często był tak samo zrozumiały, jak tureckie kazanie. Mówiliśmy o tym, jak wielu niezdolnych i leniwych uciekało jeszcze przed bakalaureatem, jak wielki był – mówiąc dzisiejszym językiem – „odsiew”.

*Oxoniam veniunt multi,
redeunt quoque stulti*

Liczni przybywają do Oksfordu
i wyjeżdżają tak samo głupi

Ale często na egzamin nie stawiał się nawet ten, kto wysłuchał pełnego kursu wykładów i bywał na wszystkich zajęciach. Bo egzamin był i bardzo trudny, i zwłaszcza bardzo kosztowny.

Czas trwania studiów określano bardzo różnie na różnych uczelniach i wydziałach; dlatego trudno tu ustalić reguły. Ale na ogół studia artium nie trwały krócej niż 4 lata (na właściwym, wyższym kursie sztuk wyzwolonych). Studia prawnicze i medyczne to nie mniej niż 5–6 lat, teologiczne trwały jeszcze dłużej.

Egzaminy po ukończeniu pełnego kursu dzieliły się w zasadzie na dwie kategorie: egzamin prywatny, ściśle naukowy, bardzo trudny, i egzamin publiczny, mniej lub więcej formalny, ale za to szczególnie uroczysty.

Nie zdawano egzaminów po każdym roku studiów. Kontrolę pracy własnej studenta dawały tylko nieustannie odbywane repetycje, a po części i dysputy. W zasadzie bez odbycia określonych repetycji i dysput nie można było ani zostać bakałarzem, kursorem, ani być

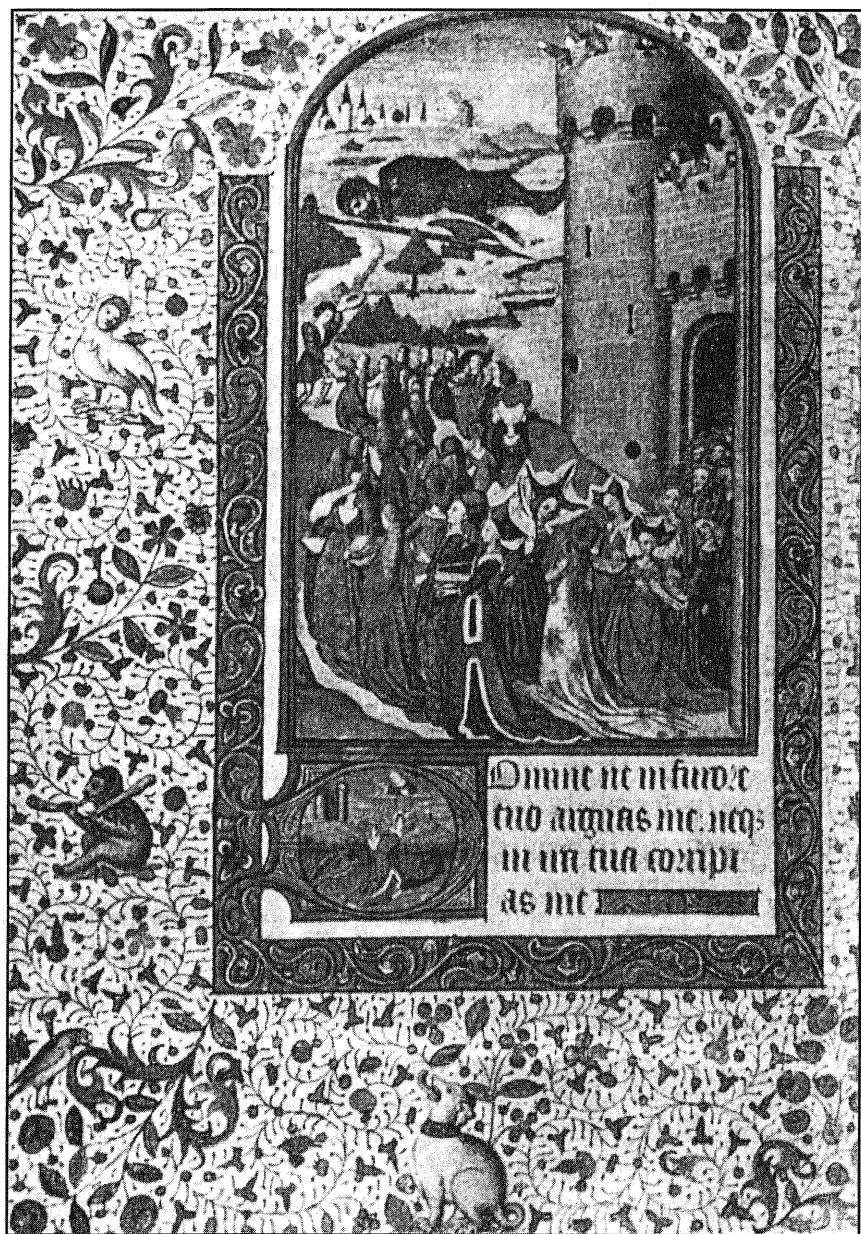
dopuszczonym do egzaminów końcowych, chyba że kolegium profesorskie dało kandydatowi, na wniosek promotora, dyspensę od tych warunków wstępnych (na przykład od odbycia określonych dysput). Później takie dyspensy dawano dosyć często.

Bardzo formalne przepisy określały egzaminy, które trzeba było złożyć w Paryżu, aby uzyskać tytuł bakałarza sztuk wyzwolonych. Najpierw należało wziąć udział w dyskusji z mistrzem (*responsiones*). Potem dopiero można było zdawać egzamin dla bakałarzy (*examen determinantium*). Statuty nacji angielskiej z roku 1252 zastrzeżały, że egzaminatorzy nie mogą kierować się żadnymi sympatiami i antypatiami, nie mogą słuchać prośb ani przyjmować prezentów. Delikwent z kolei musiał przysiąc na Biblię, że jeśli się „zetnie” – nie będzie łżył egzaminatorów, groził im, ani też nie wyrządzi im żadnej krzywdy. Bakałarz po zdanym egzaminie musiał jeszcze odbyć szereg wykładów (w czasie wielkiego postu) i wykazać swą przydatność do pracy dydaktycznej. Nazywało się to *determinatio*.

Po ukończeniu całego kursu studiów zaczynały się wreszcie egzaminy – jak dziś powiedzielibyśmy – dyplomowe. Różnice między wydziałami i uczelniami były tu dość duże. W zasadzie jednak wszędzie szczególnie ważny był pierwszy egzamin, prywatny. Student musiał niekiedy najpierw przedstawić świadków, potwierdzających czas jego studiów; jego kierownik naukowy zapewniał, że kandydat jest zdatny. Jeśli był rzeczywiście przygotowany i przebrnął szczęśliwie przez zasadzki egzaminu prywatnego, nazywano go licencjatem. Ale nie każdemu udawało się przebrnąć przez ten egzamin.

Odbywał się on niepublicznie, w niewielkim pokoju (*in camera*) albo w zakrystii któregoś kościoła. Egzaminowało kolegium doktorów danego wydziału w pełnym składzie, lub tylko komisja (np. 4 doktorów). Promotor (*doctor praesentans*) przedstawiał kandydata. Promotora należało mieć koniecznie, bez niego cała ceremonia na nic. Student mógł zdawać egzamin na innej uczelni niż ta, na której studiował, ale pod warunkiem, że jeden z profesorów zgadzał się wystąpić w roli promotora.

Na egzaminie prywatnym trzeba było wylegitymować się znajomością całego kursu danej dyscypliny i w ciągu jednego dnia zdać sprawę z wielu lat dociekań, refleksji, pracy pamięciowej. O ile można



Dwie miniatury ...



z piętnastowiecznych rękopisów francuskich



Sceny szkolne na średnio-
wiecznych miniaturach



się zorientować ze skąpych materiałów, nie było początkowo w zwyczajach traktować studentów liberalnie. Wymagano rzeczywiście wiedzy o przedmiocie i to wiedzy rzetelnie ugruntowanej. Nikt nie musi studiować – powiadano – ale skoro chce mieć dyplom doktorski, niech udowodni, że nań zasłużył. Wydaje się, że takie stanowisko do dziś nie przestało być racjonalne.

Przepisy statutów brały zresztą studentów w obronę przed zbyt surowością profesorów. Nie chodziło oczywiście o zaniżanie wymagań naukowych. Żądano tylko bezstronności i życzliwości dla stremowanego kandydata. W myśl niektórych statutów kolegium winno traktować egzaminowanego bez jakiegokolwiek stronniczości; każdy z profesorów miał stosować do niego taką samą miarę, jaką by stosował do własnego syna.

Jedną z gwarancji bezstronności była metoda wyciągania punktów do dyskusji egzaminacyjnej z urny. Punkty układano tak, aby dały podstawę do szerokiej dyskusji, obejmującej wielkie płaszczyzny wiedzy. Każdy członek kolegium doktorów mógł zadawać pytania. Niekiedy limitowano liczbę pytań, które mógł zadać jeden doktor (np. nie więcej niż trzy pytania każdy).

Robert de Sorbon ostrzegał studentów, że ich kariera może zależeć od zapamiętania jednego słowa na egzaminie. Ale z drugiej strony nie wystarczało tylko wykuć na pamięć teksty ksiąg, które były w programie. Ten sam Robert pisze: „Gdyby ktoś znał na pamięć literę ksiąg, ale nie rozumiał ich sensu, nie przebrnie przez kanclerski egzamin.” Próba wiedzy była także często próbą nerwów: znowu u Roberta de Sorbon odnajdujemy interesującą anegdotę o uczonym opacie, który przy egzaminie był tak zmieszany autorytetem egzaminatora, że nawet nie potrafił czytać mszału i recytować *Pater noster*!

Po egzaminie przystępowano do głosowania, czy uznać wynik za pozytywny. Do urny wrzucano głosy „tak” lub „nie” – na przykład w postaci ziarenek czarnej i białej fasoli.

Egzamin prywatny miał różne znaczenie w różnych uczelniach. Na uniwersytecie typu paryskiego dawał często prawo wykładania. Na wydziale sztuk w Paryżu nazywano go kanclerskim albo egzaminem św. Genowefy. Po jego złożeniu licencjat stawał się pełnoprawnym wykładowcą. W Bolonii tego nie było. Wykładanie na uniwer-

sytecie stawalo się tu możliwe dopiero po złożeniu drugiego, uroczystego egzaminu doktorskiego.

W każdym jednak wypadku egzamin prywatny stanowił tylko wstęp do końcowego egzaminu dyplomowego. Stanowisko licencjata nie miało być trwałe; przeciwnie – było czymś tymczasowym, sytuacją wyraźnie przejściową. Bezpośrednio niemal po zdaniu egzaminu prywatnego (na przykład w ciągu 6 miesięcy) licencjat mógł przystąpić do egzaminu uroczystego, publicznego, uwieńczonego nadaniem dyplomu doktora.

Przyczyny odkładania egzaminów

A jednak stan tymczasowości niejednokrotnie przedłużał się nadmiarę, licencjat nie decydował się na zdawanie końcowego egzaminu. Zjawisko to – dość częste – na ogół nie tłumaczy się obawą przed egzaminem, treścią, niepewnością wyniku. Bo egzamin końcowy był bardziej solenny niż trudny. Prawda, trzeba było poddać się publicznej próbie sił. Na egzamin publiczny mogli przychodzić – i przychodzili – studenci, koledzy doktoranta. Zrozumiała jest ich chęć wykazania naukowej bystrości, wprawienia w zakłopotanie kandydata stojącego już o krok od profesorskiej godności, ale jeszcze należącego do studenckiego grona. Dlatego kandydat musiał być przygotowany na najbardziej zagmatwane, a nawet złośliwe pytania, które mogły paść z sali. Tak przynajmniej zdarzało się na uczelniach typu bolońskiego, gdzie studenci odgrywali bardzo aktywną rolę w egzaminie końcowym. W Paryżu egzamin końcowy – to uroczysty wykład (inceptio), po którym dyskusja często była raczej formalna.

Ileż złośliwości zawarto w listach bolońskich studentów, którzy opisywali egzaminy dyplomowe kolegów. Delikwent „siedział jak kozioł na katedrze i dla szyderstwa nazywano go rabbi; nie było chłopca, który by go jawnie nie zagmatwał w sofizmaty, a on nie potrafił przy odpowiedzi dać sobie rady. Zaproszeni na ucztę goście dostali potem takie jedzenie, że im przeszła ochota do picia”. Dowiadujemy się też, że już jako mistrz niefortunny uczony musi podkupywać studentów-nowicjuszy, bo nikt by nie przychodził na jego

wykłady. W innym liście czytamy, że delikwent na egzaminie publicznym dobrze odpowiadał na pytania, ale potem, ku zabawie wszystkich obecnych, nie potrafił rozwiązać problemu, który sam zaproponował innym.

Ciekawe, że listy pisane po własnej obronie doktorskiej brzmiały zupełnie inaczej. Anonimowy student boloński z XIII wieku szeroko opisuje, jak na wszystko odpowiedział bez żadnego błędu i nikt nie umiał zbić jego argumentów; potem urządził wspaniałą ucztę, „podczas której wszyscy, i biedni, i bogaci, uczczeni zostali wspanialej niż kiedykolwiek przedtem”; jako mistrz autor listu zaczął już wykladać, ma bardzo liczne audytorium i odebrał słuchaczy wielu innym profesorom (*vacuavit scholas multorum*).

Czasami w obawie przed koleżeńskimi złośliwościami kandydat załamywał się i odstępował od egzaminu. Anonimowy niemiecki poemat satyryczny z końca XIII wieku *Occultus Erfordiensis* opisuje taką właśnie przygodę młodego szlachcica turyńskiego, Henryka z Kirchberg. Studiował on *artes* na uczelni paryskiej, a potem – już jako *magister artium* – pojechał do Bolonii na studia prawnicze. Kiedy uczył się już wiele lat, zdobył wiedzę równą tej, jaką miał jego profesor, „a może nawet większą”. Zdał też egzamin prywatny i został licencjatem.

I tu zaczął się dramat: Henryk stchórzył przed egzaminem publicznym. Obawiał się podchwytliwych pytań, które mogli mu zadawać złośliwi, a może nawet niechętni koledzy. Absolwent dwu fakultetów opuścił więc haniebnie Bolonię – cichaczem, ukrywając swoje manuskrypty w worku z sianem dla konia. W ten sposób niepostrzeżony uciekł do Padwy i tam złożył egzamin doktorski przed audytorium złożonym ze studentów mniej złośliwych, nie pożądanym jego skóry.

Czy takie wypadki zdarzały się często – można wątpić. Tu chyba wyjątkowo biedny Niemiec naraził się jakoś swoim kolegom. Normalnie licencjat był już dostatecznie otrzaskany ze studenckimi złośliwościami: zwykle przecież prowadził zajęcia, repetycje i wykłady nadzwyczajne przynajmniej przez rok. Zdanie egzaminu prywatnego potwierdzało dobre przygotowanie naukowe: kandydat, który „nie dał się” profesorom, był dostatecznie uczony, aby odparować także podchwytliwe pytania młodszych kolegów-studentów.

Istniały jednak inne przyczyny, które powodowały odkładanie – nieraz na długi czas – egzaminu publicznego. Oto egzamin taki był niezmiernie kosztowny. Już za licencjat student musiał płacić, ale w porównaniu z kosztami egzaminu publicznego – niewiele. Koszty te były zresztą niejednakowe: na uczelni typu bolońskiego wyższe niż na uniwersytecie o ustroju paryskim, a w obrębie tej samej uczelni – wyższe na przykład u prawników, niższe u medyków czy „artystów”. Wytłumacz memu ojcu – pisze student prawa do przyjaciela – „bo tylko umysł laika w swej prostocie tego nie pojmuje”, że jedynie brak pieniędzy uniemożliwia mi zdobycie stopnia doktorskiego...

Pokażemy koszty egzaminu na przykładzie studium bolońskiego, gdzie były one szczególnie wyśrubowane. Otóż przede wszystkim za licencjat płacono 60 lirów. Drugi egzamin, publiczny, kosztował 80 lirów. Opłata egzaminacyjna przypadała promotorowi (on dostawał największą część), wszystkim członkom kolegium profesorskiego i archidiakonowi bolońskiemu, który miał ogólny nadzór nad wydawaniem dyplomów doktorskich.

Temu samemu archidiakonowi trzeba było osobno dostarczyć zwyczajowo określone ilości wina oraz zapłacić odrębną sumę za... przemówienie pochwalne na cześć nowego doktora, które dygnitarz ten wygłaszał podczas egzaminu publicznego. Tę przyjemność nowy doktor musiał sam opłacić i to wcale drogo. Musiał także zafundować sobie samemu insygnia godności doktorskiej, które mu następnie uroczyście wręczano: biret, pierścień doktorski, uczoną księgę, doktorską togę.

Osobno trzeba było zapłacić notariuszom uniwersyteckim za sporządzenie dyplomu na ozdobnym pergaminie, osobno opłacić niższych funkcjonariuszy uniwersyteckich, pedlów, odgrywających bardzo ważną rolę przy celebrowaniu promocji doktorskich.

Zwyczaj nakazywał, że uczestnicy kolegium doktorskiego, którzy egzaminowali doktoranta, otrzymywali od niego – niezależnie od oficjalnych opłat egzaminacyjnych – prezenty prywatne. Bogatszym wypadało „postawić się” i dawać w prezencie pierścienie, futra i tym podobne rzeczy, umilające egzystencję kapłanów nauki. Skromniejszy student przynosił jakieś materiały, atlasy, sukna, różne prezenty „praktyczne”.

I na tym jeszcze nie koniec. Jedyny średniowieczny zwyczaj, którego ślady (niestety, tylko ślady) przechowały się do naszych czasów – to urządzenie uczty doktorskiej. Promowany „graduat” wyprawiał bankiet dla profesorów i kolegów, przy czym należało do dobrego tonu urządzać ucztę bardzo elegancką, w czasie której grały orkiestry a alkohole lały się strugą. W średniowieczu ludzie nie mieli tylu przyjemności, ile my dzisiaj mamy; ale za to jest pewne, że klasy zamożne lub nawet średnie lubiły i potrafiły zjeść i napić się; robiono to lepiej, niż my dziś robimy. Porządną ucztę celebrowano jak wielkie święto. Oczywiście to znowu ważny składnik bardzo wysokich kosztów doktorskiej promocji.

W rezultacie koszty te odstraszały niejednego zdolnego, ale uboższego licencjata. Wiele trzeba było wyrzeczeń, pracy i oszczędności, aby podolać ciężarowi finansowemu, jakim był egzamin publiczny. W aktach municypalnych miast włoskich zachowały się kontrakty bardzo poważnych stosunkowo pożyczek, jakie zaciągali doktoranci na koszty promocji. Kwoty pożyczane sięgały nieraz kilkuset lirów.

Wycofywanie się biedniejszych studentów przed egzaminem uderzało i w mistrzów, którzy tracili korzyści materialne związane z promocjami. Dlatego też liczne statuty uniwersyteckie zaczęły w XIII–XIV wieku interweniować w sprawy kosztów egzaminacyjnych. Ograniczano przede wszystkim te wydatki, które miały charakter zwyczajowy (uczty, orkiestry itd.) i które onieśmiały skromniejszych studentów, nie chcących łamać zwyczaju. W ten sposób przepisy władz uniwersyteckich starały się przynajmniej w części wyrównać możliwości studenckie, łagodzić działanie hamulców finansowych. Zakazywano więc używania „trąb i innych instrumentów” przy okazji promocji; określano maksymalne kwoty, które wolno było wydać na ucztę po doktoracie oraz osoby, które na taką ucztę wolno zaprosić (spośród kolegów – tylko współmieszkańców z jednego domu i krewnych doktoranta). Wydaje się jednak, że te ulgowe przepisy tylko w nikłej mierze zmniejszały ciężar finansowy egzaminu doktorskiego.

Zanim wydano komukolwiek dyplom doktorski, władze kontrolujące uniwersytet (kościelne lub świeckie) badały „dobre obyczaje” kandydata. Te interwencje mogły być bardziej lub mniej skuteczne i wnikliwe, na ogół jednak nie miał wielkich szans ktoś, kto się nara-

ził miejscowej władzy zachowaniem lub sposobem myślenia. Przez to sito trudno było się przedostać ludziom nielojalnym wobec panującego porządku, jeśli nawet udało im się dobrać na uniwersytet i przetrwać całe studia. Od tej kontroli lojalności czy „obyczajów” kandydata należy odróżnić kontrolę naukowego poziomu egzaminu. Na uniwersytecie średniowiecznym w zasadzie egzamin był wewnętrzną sprawą profesorów, autonomicznych w tym zakresie. Jednakże istniały już elementy egzaminów państwowych, na przykład na studium medycyny w Salerno, gdzie w komisji egzaminacyjnej zasiadali asesorowie królewscy. Te egzaminy dawały lekarzom – nie uczonym doktorom medycyny, ale po prostu medykom – prawo wykonywania praktyki (*licentia medendi*). Za leczenie ludzi bez takiej licencji w królestwie sycylijskim groziły surowe kary. Nawet od chirurgów żądano tu rocznej praktyki przy profesorach anatomii i chirurgii, rzecz doprawdy niezwykła w średniowieczu, kiedy praktykę chirurgiczną dość powszechnie wykonywali cyrulicy i fryzjerzy. Na uniwersytecie salernitańskim wiadomości o systemie egzaminów państwowych sięgają jeszcze pierwszej połowy XII wieku.

Egzamin publiczny nowego doktora odbywał się w zwyczajowo określonym kościele, przy pełnej gali uniwersyteckiej. Władze uczelni i kolegium doktorów pojawiały się w uroczystych togach, pedlowie jechali konno przed kandydatem udającym się na miejsce egzaminu... Potem odbywał się publiczny wykład doktoranta, nad którym dyskutowano – często raczej dla formalności niż na serio, tak samo jak to i dziś bywa na wielu obronach doktorskich. Między uczelniami występowały różnice w szczegółach: na uczelniach włoskich często dyskutowali z kandydatem tylko studenci, we Francji dyskusja odbywała się z udziałem profesorów.

Promocja

Po wykładzie i dyskusji następował najważniejszy moment. Władza, która miała formalne prawo kontroli wydawanych dyplomów (a więc archidiakon w Bolonii, kanclerz katedralny w Paryżu, biskup w Montpellier) uroczyście ogłaszała, że kandydat otrzymuje prawo

nauczania na wszystkich uniwersytetach świata (*licentia legendi ubique terrarum*). Nowy doktor odbierał od swego promotora insygnia doktorskiej godności: pierścień, rękawice, książkę, biret, oraz pocałunek, symbol braterskiej równości. Ten obyczaj przechował się gdzieś niedługo po dziś dzień. Nawiasem mówiąc, ten właśnie obowiązkowy pocałunek sprawił, że brytyjska królowa Elżbieta II zrezygnowała przed laty z nadanego jej doktoratu honoris causa starożytnego uniwersytetu w Coimbrze. Perspektywa całowania się z dwoma tuzinami starszych panów nie była widać dość zachęcająca.

Wszystkie ceremonie promocji odbywały się w bardzo podniosłej atmosferze. Wysocy dygnitarze miejscy lub państwowi brali udział w tych uroczystościach. Na uniwersytecie w Neapolu pojawiali się nawet w czasie egzaminów publicznych rządzący tutaj królowie z dynastii Andegawenów. W początkach XIV wieku rządził tam król Robert – najuczestniejszy bodaj ze wszystkich władców średniowiecza. Tradycja przekazała, że Robert nie tylko przychodził na egzamin publiczny, ale nawet zabierał głos w dyskusji naukowej.

Najbardziej uroczyste, „pontyfikalne” formy promocji wykształciło prawo, gdzie tytuł doktorski był najstarszy. „Artyści”, medycy, teologowie byli skromniejsi w pompie promocyjnej. W Bolonii prawnikom zakazywano odprowadzać nowego doktora aż do jego kwatery. Profesor prawa zbyt się cenił, by dopełniać tej ceremonii. Natomiast „artyści” czy medycy stali niżej w hierarchii – profesorowie tych wydziałów obowiązkowo odprowadzali do domu nowego kolegę.

Egzamin doktorski kończył wiele lat studenckiego życia. Przed nowym „graduatem” otwierały się liczne drogi kariery: naukowej, politycznej, kościelnej. Za nim pozostawały długie lata wyrzeczeń, ciężkiej pracy, czasem niedostatku. Warunki studiów naprawdę nie były lekkie. Wystarczy porównać sposób zdobywania doktoratu dawniej i dzisiaj, aby ocenić humanitarne obyczaje naszej epoki.

Ale i wtedy lata studiów wspomniano nieraz jako najprzyjemniejszy okres życia. Kto nie zaznał goryczy, ten nie ma prawa do późniejszych dóbr – powiada stary wiersz łaciński. I dodaje: a czym jest prawdziwa radość, o tym wie tylko ten, kto miał szczęście studiować.

Wydawnictwo „Żak”
poleca między innymi:

- Historię wychowania I i II tom – Stanisława Kota
- Materiały do ćwiczeń z historii wychowania (3 części)
- Dzieje oświaty polskiej I i II tom – Ryszarda Nawroczyńskiego
- Z dziejów edukacji w Polsce XVIII w. – red. Ireny Szybiak
- Studia z dziejów polskiej szkoły i pedagogiki lat międzywojennych – Leonarda Grochowskiego

